

ANDRE NORTON

ZWYCIĘSTWO NA JANUSIE

TYTUŁ ORYGINAŁU VICTORY ON JANUS
TŁUMACZYŁA MAŁGORZATA PUKACKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Posępne zimowe słońce czerwieniało nad powierzchnią Janusa, a jego blade promienie niechętnie ujawniały wstrząsający obraz zagłady Lasu. Lśniące maszyny wrywały korzenie, odbierając życie drzewu po drzewie. Drżące gałęzie wystukwały ostrzeżenie, które rozeszło się lotem błyskawicy i dotarło nawet do od dawna martwego Iftcanu.

A w sercu potężnego drzewa. Iftsigi, ostatniego z Wielkich Koron, w którym wciąż płynęły żywotne soki i które niezmiennie co wiosnę okrywało się liśćmi, poruszający się wolno mieszkańcy mozolnie wydobywali się z głębi zimowego snu.

Nagle z pradawnej pamięci, nieomal tak starej jak sama Iftsiga, nadeszło to wezwanie. Larshowie! Półludzkie bestie niosące śmierć... Wyjdźmy bracia, brońmy Iftcanu sercem i mieczem! Stawmy czoła Larshom...

Niechętne oczy nie chciały się otworzyć. Ayyar szamotał się z okryciem. Tu, w samym rdzeniu gigantycznego drzewa, było ciemno. Znikły letnie girlandy świecących larw lorgas — spały one, jak wszyscy ukryte w zacisznych szczelinach kory. Nagle ogarnął go niepokój; zdało mu się, że wokół niego ściana drży i dygoce. I chociaż nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem słyszał alarm Leśnej Cytadeli, rozpoznał go natychmiast.

— Zbudźcie się! Nadchodzi niebezpieczeństwo!

W trzewiach czuł bicie potężnego pulsu. Lecz jakże ciężko było ruszyć się. Letarg, który ogarnął go jesienią wraz z całym rodem, nie ustępował stopniowo, jak chciała tego natura. Ayyar nie czuł się jeszcze gotów na przyjęcie nowej żywiołowej wiosny. Z trudem wypełznął spomiędzy mat.

— Jarvas? Rizak? — zawołał do pozostałych ochryłym zardzewiałym głosem. Ostrzeżenie wzmagало się, przynaglając go do... ucieczki!

Jakże to? Twierdza, której nawet starożytni Wrogowie nie potrafili opanować, wydaje im rozkaz wycofania się?

Pozostawienia jej na pastwę nieznanego wroga. bez jednej nawet potyczki? Czyż potężnego drzewa nie zasadzono w legendarnych czasach Błękitnego Liścia? Czyż nie wyrosło na schronienie rasy Iftów w dniach Zielonego oraz Szarego w czasie ostatniej klęski? Nie przetrwało gniewu Larshów? Przecież zostało ocalone, aby plemię Iftów miało gdzie się odrodzić! Oto była Iftsiga, Nieśmiertelna... A jednak ostrzeżenie brzmiało jednoznacznie...

— Uciekajcie! Ratujcie się!

Ayyar podczołgał się do najbliższej ściany, położył drżące ręce na tętniącej życiem powierzchni. Pod zimną wierzchnią warstwą poczuł ciepło, jakby siły żywotne drzewa osiągnęły najwyższe napięcie.

— Jarvas? — Podciągnął się i stanął, wspierając o ścianę. Coś poruszyło się na pozostałych dwu posłaniach.

— Czy to Larshowie? — To pytanie nadeszło z mroku po prawej.

— Nie, Larshowie to przeszłość, zapomniałeś?

Raz jeszcze spróbował zespolic obie pamięci, bowiem tak jak wszyscy inni przebywający teraz wewnątrz Iftsigi, nosił w sobie wspomnienia dwu różnych istot. Przedtem był Naillem Renfro, przybyszem spoza planety, niewolnikiem. Na to wspomnienie jego wargi ściągnięte w złym grymasie odsłoniły zęby. A potem Naill znalazł w lesie zakopany skarb—pułapkę Iftów. Gdy wydobył go z ziemi, został zainfekowany Zieloną Przemianą.

Z owej straszliwej niemocy wyłonił się jako Ift, bezwłosy, zielonoskóry mieszkaniec lasu. Stał się Ayyarem. Kapitanem Straży Zewnętrznej w ostatnich. dniach Iftcanu, lecz wszystko, czym dysponował oprócz tych informacji, to mizerne strzępy wspomnień. Jako Ayyar—Naill odnalazł innych mu podobnych przemienionych. Byli to: Ashla z osady Himmer, która

przejęła osobowość Illylle — byłej kapłanki Zwierciadła. a także Jarvas–Pate, Lokatath–Derek, Rizak–Munro, Kelemark–Torry.

Gdzieś za Morzem Południowym przebywali jeszcze inni, którzy już dawniej ulegli tej samej przemianie. Było ich jednak bardzo niewiele, gdyż nie wszyscy pochodzący spoza planety mogli być poddani przemianie zaplanowanej przez dawnych Iftów w przededniu zagłady ich gatunku; jedynie ci, którzy mieli odpowiednią osobowość. Żaden z przemienionych nie stał się spójną całością. Wewnątrz nich utrzymywała się niestabilna równowaga; jedna osobowość przeciwstawiona drugiej. Czasami był więc Ayyarem, czasami Naillem, aczkolwiek ostatnio Naill rzadko uaktywniał się i Ayyar zyskał przewagę.

— Nadeszło ostrzeżenie... — powiedział Ayyar. — Na zewnątrz śmierć zbiera żniwo.

— To prawda, ale zostaliśmy obudzeni przed czasem odparł Jarvas — i najpierw musimy napić się napoju przebudzającego.

W mroku Jarvas powłókł się na czworakach do przeciwległej ściany. Szukał czegoś w tkance drzewa. grzebiąc rękami na oślep.

— Iftsiga pamięta o nas! — zawołał z wyrazem zachwytu i spełnionej nadziei w głosie.

Ayyar chwiejnym krokiem podszedł do Jarvasa, który pił z wylotu wbudowanego w ścianę. Nie oglądając się na kubek, łąpał słodki sok w obie dłonie. Ayyar poszedł za jego przykładem.

Ciepło rozeszło się po całym ciele, a uczucie wewnętrznej chłodu znikło. Z łatwością mógł się poruszać, a jego umysł rozjaśnił się.

— Co się dzieje? — Rizak pił jako ostatni.

— Śmierć... śmierć grozi Iftsidge! — Jarvas wyprostował się. — Słuchajcie!

Pomrukiem, trzaskaniem gałęzi o gałąź pradawne drzewo walczyło o porozumienie z Iftami — czy pół-Iftami — znajdującymi się w jego wnętrzu. Jarvas obrócił się.

— Coś nadchodzi ze wschodu!

Na wschodzie leżały karczowiska. piętna czarnej śmierci na obszarze Lasu. Znajdowały się tam również budynki portu, w którym lądowali przybysze z innych światów.

— O co tu chodzi? — Rizak, wzmocniony sokami żywotnymi, odwrócił się. — Wiosna jeszcze nie nadeszła, a zimą przecież nie karczują.

— Musimy znaleźć odpowiedź na wiele pytań. — odparł Jarvas. — Iftsiga zbudziłaby nas tak wcześniej tylko w przypadku śmiertelnego niebezpieczeństwa...

— A co z pozostałymi? — Ayyar podszedł do drabiny prowadzącej przez środek komnaty w górę i w dół, łączącej wszystkie poziomy wysokiego jak wieża drzewa.

— Jarvas? Ayyar? — W chwili gdy postawił stopę na stopniu drabiny, z dołu dobiegło przyciszone wołanie. Spojrzał prosto we wzniesioną ku niemu twarz.

— Śpieszcie się, błagam śpieszcie się! — Głos Illylle nabrał siły. — Nie zwlekajcie ani chwili!

Przesunęła się przed nim. wspinając ku wyższemu poziomowi, gdzie poupychanych pod ścianami stało mnóstwo skrzyneczek.

Byli tam pozostali, Kelemark i Lokatath, w szalonym pośpiechu ciągnący skrzynie do drabiny wiodącej w dół, do komór w korzeniach Iftsigi, głęboko w ziemi.

— Nasiona! — Illylle podniosła jedną ze skrzyneczek. — Musimy ocalić nasiona!

Dopiero te słowa uświadomiły Ayyarowi w jak poważnej sytuacji się znaleźli. Każda z owych skrzyneczek zawierała nasiona służące odrodzeniu Iftów. Znajdowały się w nich pułapki mające wprowadzić do plemienia następnych przemienionych. Jeśli cokolwiek zniszczyłoby owe skrzynki, przepadłoby ich marzenie o odrodzeniu plemienia. A więc przede wszystkim muszą uratować nasiona.

— Dokąd?

Jego wrodzony zmysł widzenia w ciemności poprawił się i mógł już bez trudu zobaczyć rozpacz w twarzy Illylle.

— Do komór w korzeniach!

Wybór pomieszczeń w korzeniach oznaczał, iż Iftsiga nie ma najmniejszej szansy na przetrwanie. Cóż jej groziło? Jedyna Illylle czuła z niezachwianą pewnością, że wie co należy zrobić.

— Natychmiast przenieśmy nasiona! — Już stojąc na drabinie odwróciła się, by przywołać Jarvasa i Rizaka.

Jarvas skinął głową.

— Do komór w korzeniach. Nie pytał, lecz rozkazywał.

Po wielekroć wspinali się mozolnie i schodzili, dźwigając bezcenne skrzynki zawierające uspioną pamięć i osobowości Iftów. Chowając je w najodleglejszych krańcach długich korzeni, zdawali sobie sprawę, że oto Iftsiga przestaje być Cytadelą. Przez wieki liczniejsze, niżby ludzie lub Iftowie mogli zliczyć, była bastionem, a teraz mieli ją zostawić wrogowi. Zabijali drzewo, które było schronieniem i azylem ich rasy.

Alarm wciąż potężniał. Poganiani wewnętrznym przymusem biegali, pchali, dźwigali; opróżnili jedną komorę, drugą, trzecią, czwartą... Gdy wreszcie skończyli, Jarvas wraz z Illylle uszczelnili ciasne przejścia, przez które uprzednio czołgali się, pchając swoje brzemię. Użyli do tego tkanki drzewa, ziemi i magicznych słów do związania składników.

Następnie wspięli się do komory wejściowej, wychodzącej wprost na konar i spuścili drabinę. Zgromadzili i spakowali zapasy, a Jarvas objął dowództwo.

— Nawet swoją śmiercią Iftsiga może zaszkodzić swym prześladowcom. Do dzieła...

On i Illylle podeszli, każde do jednej ze ścian, kładąc ręce na rozedrganej powierzchni drzewa i przemówili prawie jednym głosem:

O, Potężne, nie pozwól swemu duchowi odejść beztrosko,
Lecz ukarż dotkliwie tych, co nadciągają.
Ze wszystkich dni ten najgorszym jest Dla tych, co cię skrzywdzą.
Polegnij w bitwie; uczynj ze swych konarów miecze,
Ostrza rozdzierające z gałęzi,
Z soków palącą truciznę,
Z pnia twego miażdżący ciężar.
Umrzyj, jak żyłeś — przyjacielu, opiekunie Iftów,
A twe nasionka znowu zakiełkują.
Iftsigo, oto nasza obietnica
Twoje nasienie wyrośnie wraz z naszym.
Krew Iftów, soki drzewa staną się jednością.
Iftowie drzewu, drzewo Iftom!

Wokół nich drzewo zakołysało się; z pnia i gałęzi dobył się — nie jęk, raczej pomruk bestii.

Potem Jarvas wydał rozkazy.

— Musimy rozpoznać nieprzyjaciela. skąd nadchodzi i jakie ma zamiary. Trzeba wysłać zwiad na północ i wschód!

A ty, Siewczyni Nasion — ów stary tytuł przynależał Illylle — zwróć się do tego, co może służyć nam pomocą, stać się nam ratunkiem, do Zwierciadła...

Potrząsnęła z powątpiewaniem głową.

— Raz mi się udało, lecz czy i drugi raz się uda... To nic pewnego... Illylle nie jest tylko Illylle. Mam zbyt wiele wspomnień nie pochodzących od Iftów, lecz uczynię co w mojej mocy. — A wy, bracia — zwróciła się ku nim — nie Pozwólcie, aby śmierć was zabrała. Nawet jeżeli gwiazdy nam nie sprzyjają, to nie zapominajcie, że jesteśmy załączkiem nowego życia!

Gdy wyszli na zewnątrz panowała noc, pora Iftów. Wokół trwał gorączkowy ruch. Frenki sunęły chyżo wzdłuż gałęzi dając susy z konaru na konar, a ich futerka srebrzyły sil w świetle księżyca. Niżej chrząkały i prychały borsundy a przeróżne latające stworzenia przeszukiwały przestrzeń powyżej. Wszyscy mieszkańcy Lasu dokądś śpieszyli. Większość z nich wprawdzie właśnie zbudziła się ze snu zimowego, ale poruszali się żwawo. Iftowie na razie nie wyczuwali zagrożenia. choć oczywiście i wrogie zwierzęta mogły już krążyć po Lesie.

— HUUU—rurru...

Ta płaczliwa skarga okazała się powitaniem. Pokażny ptak, który usadowił się w pobliżu Iftów, odwrócił czubatą głowę, lustrując ich sennym, posepnym spojrzeniem. Był to żerec, Stary towarzysz polowań. Ayyar otworzył swój umysł na myśli ptaka.

— Łamią... rozdierają... zabijają! — wyczuł krew i okrucieństwo.

— Kto?

— Pełzające! Polują na nieprawdziwych! Zabijają, zabijają, zawsze zabijają!

— Dlaczego...?

Żerec zasyczał i oddalił się na szeroko rozpostartych skrzydłach.

— Pełzające... — powtórzył Rizak. — Karczownicy! — Korzystając z ludzkiej części swej pamięci próbował do pasować opis podany przez ptaka do czegoś znajomego.

Przy odpowiednim nakładzie czasu i determinacji ludzi maszyny mogły zmienić oblicze każdej planety. A jednak na Janusie nie było ich zbyt wiele. Planeta ta, prawie w całości Pokryta lasami, została opanowana przez członków Surowo religijnej sekty Czcieli Nieba. Bronili oni maszynom wstępu wszędzie, z wyjątkiem terenu portu; pozwalali tylko na pracę ręczną, jedynie z pomocą zwierząt Na Janusie nie było miejsca dla maszyn do karczowania. Chyba że od czasu, kiedy Iftowie zapadli w sen zimowy, zaszła jakaś poważna zmiana.

— Rzeczywiście, port leży na północnym wschodzie rzekł Kelemark. — Ale dlaczego mieliby oni używać maszyn w lesie? Trzymają się wewnątrz swych własnych linii granicznych. Zimą zaś nie zezwoliliby na użycie „potworów”.

Nie, Osadnicy nie stosowaliby „potworów”, jak nazywali maszyny, ani nie zwabiliby łowców do Lasu.

— Ludzie z Osad nie użyliby urządzeń mechanicznych — potwierdził stanowczo Lokatath, który był jednym z nich przed zainfekowaniem Zieloną Przemianą.

— Szkoda czasu na zagadki, trzeba działać. — Ayyar Naill powrócił do tematu; jako żołnierz był człowiekiem czynu i nie przywykł wiele mówić.

— Pomyśl dwa razy, abyś nie żałował pośpiechu! ostrzegła Illylle.

Uśmiechnął się do niej:

— Odkąd tylko przybyłem na tę planetę nieustannie rzucam śmierci wyzwanie. U boku noszę miecz i nie waham się stawiać czoła skalcowi. — Przywołał imię najbardziej przerażającego w całym Lesie wroga.

— Rozdzielmy się. — powiedział Jarvas, podczas gdy wędrowali między oszronioną roślinnością. — Po wykonaniu zadania niech każdy wraca na szlak wiodący do Zwierciadła. Myślę, że to nasza ochrona.

Wtopili się w Las; każdy wybrał własną drogę wiodącą na północ lub wschód. Mijali teraz tylko nieliczne zwierzęta; niektóre poruszały się ospale, zupełnie jakby dopiero przed chwilą obudziły się ze snu.

Wyczulone na odór skalca Ayyara rozszerzyły się, segregując wonie. Należało wystrzegać się spotkania człowieka — dla Ifta uosabiał on śmierć zadawaną Lasowi. Następnym alarmującym zapachem mógł być smród maszyn.

Wyczuwał jedynie obecność człowieka. Minał dwie Wielkie Korony, martwe i białe jak kość — prawdopodobnie trwały tak od czasów, gdy Larshowie szturmowali Iftcan.

Mimo że Ayyar był wówczas jednym z obrońców, najmniejsze nawet światełko nie rozjaśniało wspomnień o tamtych czasach... Czy ów pierwszy Ayyar „zginął” podczas ataku?

Nie mieli pojęcia, w jaki sposób ich osobowości zostały umieszczone w skarbach— pułapkach, a następnie przeniesione przez Zieloną Przemianę w kobiety i mężczyzn spoza planety. W dawnych czasach Ayyar był strażnikiem i wydawało się, że Ayyar–Naill ma pełnić podobną rolę.

Przed świtem wiatr przyniósł odór, który skutecznie zagłuszył inne zapachy. Był to swąd spalenizny towarzyszący osadnikom przy wypalaniu ziemi.

Nadchodził świt. Ayyar sięgnął do wewnętrznej kieszeni swej zielono–brązowo–srebrnej tuniki. Kelemark — niegdyś Torry Ladion — był w przeszłości pracownikiem służb medycznych. Wymyślił on i zrobił gogle wykonane z kilku warstw wysuszonych liści, które miały zapewnić ochronę oczu Iftów przed oślepiającym światłem dnia. Tak wyposażeni mogli podróżować, wystrzegając się jedynie godzin południowych.

Silny swąd spalenizny mógł skutecznie stłumić zapach człowieka — odtąd więc był zdany jedynie na wzrok. Młode drzewka i zarośla stały wokół nagie, bezlistne. W cieniu leżały łąty niebiesko zabarwionego śniegu; smugi dymu znad tłących się kłaków Poczerniałych włókien poruszały pasma mgły i ogrzewały powietrze. Patrzył przez zeschnięte badyle na szeroko rozciągające się pustkowia i jego wargi ponownie wykrzywił grymas.

Gdy spali, rzeka oddzieliła resztki Iftcanu od osad, teraz jednak wypalone ścieżki sięgały daleko w głąb Lasu. Były zadziwiająco proste, jak gdyby do ich wytyczenia użyto wiązki promieniowania. Niewątpliwie stanowiły dzieło maszyn, a nie osadników. Urzędnicy z portu nie łamałyby prawa, a przecież karczowanie było zabronione. Kto to mógł zrobić?

Ayyar przemknął chyłkiem wzdłuż krawędzi pokrytego pylistym popiołem pasa. Mijając co bardziej cuchnące obszary raz po raz zasłaniał ręką nos i usta. Rzuciło się w oczy, że układ ścieżek nie był dziełem przypadku, że zaplanowano go w jakimś szczególnym celu — ktoś ingerował w strukturę Lasu.

Przed nim, na wypalanej rozległej równinie, widniała maszyna — ciemne pudło przycupnięte ponuro na protektorach. Przyczajona, gotowa, by przemierzać surowy i nierówny teren. Nieco dalej stał karczownik, z wlotem wzniesionym teraz i nieruchomym; za nim zryta i огоłocoła z roślinności gleba.

Brzask okazał się zbyt jaskrawy dla oczu Ifta — Ayyar nawet w goglach mrużył oczy. Z tyłu, za maszynami widniała ogromna półkula; wyglądało to, jakby torturowana ziemia wydała z siebie brudny, ciemnobrązowy bąbel. Obozowisko!

Nie mogło ono należeć do osadników — był to rodzaj schronienia, jakiego używają ludzie przenosząc się z miejsca na miejsce. Ayyar spróbował z pomocą pamięci Nailla znaleźć jakikolwiek oficjalny symbol, który pomógłby mu zidentyfikować obóz.

Wkrótce po odkryciu, około stu lat temu, planeta Janus została oddana Konsorcjum Karbon, które nie zdołało rozpocząć eksploatacji złóż. Galaktyczne zmagania, niweczając dawniejsze przymierza, spustoszyły światy i uczyniły Nailla Renfro jednym z rzeszy bezdomnych tułaczy. Czcielom Nieba Stworzyły natomiast niepowtarzalną okazję do wykupienia udziałów zbankrutowanego Konsorcjum. Wojna zadała śmiertelny cios ekspansji kosmicznej i na pewien czas pozbawiła ludzkość możliwości swobodnego przemieszczania się. Janus, ze swymi rozległymi, gęsto porośniętymi lasami kontynentami, wąskimi morzami i brakiem jakichkolwiek wartościowszych bogactw naturalnych, nie budził większego zainteresowania i dostał się pierwszemu, kto zechciał go uznać za swoją ojczyznę — czyli Czcielom Nieba.

Z chwilą przejścia planety przez osadników władze pozaplanetarne straciły prawo do ingerencji w ich wewnętrzne sprawy. Ich jurysdykcja obejmowała wyłącznie tereny portu kosmicznego. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że systematycznie dewastowały Las.

Żaden znak nie widniał ani na półkulistym namiocie, ani też na dwu małych, rozbitych bliżej rzeki. Ayyar usadowił się, zdecydowany czekać i prowadzić obserwację. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie mogłaby go narazić zbyt duża pewność siebie — był

jednak przekonany, że nikt w tym obozie nie jest w stanie odkryć Ifta skrytego w lesie. Mogłyby go zaniepokoić psy, ale nie wyczuwał ich zapachu.

Słońce świeciło coraz jaśniej. Od czasu do czasu zerkał przez ramię na Las. Wielkie Korony przypominały martwe kości. Wkoło ich potężnych pni korzenie skręcały się w gigantyczne sploty, między którymi widniały czarne jamy.

W dawnych czasach każde stuknięcie było natychmiast powtórzone i w ten sposób wiadomości momentalnie docierały z jednego końca Iftcanu na drugi. Dziś na taki alarm odpowiedziałyby chyba tylko duchy Iftów niezdolne nawet do obrony swych grobów... Ta myśl Poruszyła pamięć Ayyara; bezwiednie wyszeptał:

— Ujmij w dłoń miecz martwego wojownika. a strzeż się, aby jego duch nie przyszedł upomnieć się o swoją broń — i o ciebie...

Miał taki miecz u boku! Gładki i prosty — tylko ująć rękojeść w dłoń. Naill zabrał go ze sobą, był teraz Ayyarem, bohaterskim wojownikiem.

Coś poruszyło się w bliższym z namiotów. Ukazał się człowiek. Nie był to osadnik — nie miał rozczapierzonej brody ani nie nosił szaroburych, szorstkich ubrań, lecz mundur Straży Portowej. A więc była to oficjalna wyprawa. Cóż wydarzyło się w czasie snu Iftów?

Ayyar na oko ocenił odległość od maszyn i obozowiska. Powierzchnia ziemi była zbyt ogołocona z roślinności, aby ryzykować zbliżenie się. Co więcej, owa fizyczna i psychiczna przemiana, która tak gwałtownie przekształciła Nailla w Ayyara, zmieniła także jego nastawienie wobec dawnego gatunku. Już sama myśl o bliższym kontakcie z jego przedstawicielami wywołała w nim fale mdłości.

Aby poznać prawdę, musiał podkraść się do obcego na odległość słuchu. Nie ośmielił się też zwlekać — gdyby wsiedli do maszyny mógłby dostać się w zasięg wiązki promieniowania.

Z pomieszczeń sypialnych wyszli następni; dwaj nosili mundury straży, pozostali ubrania robotników portowych.

Jak Ayyar zauważył, wszyscy byli uzbrojeni, i to nie w paralizatory, będące zwyczajną planetarną bronią przyboczną, lecz w blastery, których użycie było dozwolone jedynie na najniebezpieczniejszych, nie zamieszkanym światach! Stanowiło to kolejny powód, by trzymać się poza ich zasięgiem — miecze Iftów nie mogły równać się z blasterami.

Mężczyźni weszli do jednej z półkul — prawdopodobnie mesy. Potem Ayyar usłyszał warkot i znieruchomiał ukryty pod peleryną w barwach ochronnych. Z portu nadlatywał filiter, który mógł wylądować w pobliżu jego kryjówki.

Z kabiny wysiadło dwóch mężczyzn. Zamiast do obozu, ruszyli w stronę generatora promieniowania. Jeden z nich skierował wylot celując wzdłuż śladów, które wypaliła wiązka.

— ... wypalanie potrwa długie miesiące. Mamy do wykarczowania cały kontynent!

Ten, który celował, obejrzał się przez ramię.

— Nie możemy dłużej czekać na pomoc spoza planety. Osadę Smatchza dopadli jako trzecią. Póki mają te lasy za osłonę, nie dajemy rady ich śledzić.

— Ale czym oni są?

Pytany wzruszył ramionami: — Dowiemy się, jak któregoś złapiemy żywcem. Biorąc pod uwagę, jak używają słowa, dla mnie są zielonymi diabłami. Byłem podczas wojny... — zawahał się, przesuwając pieścziotliwie rękę wzdłuż rury promiennika — ...na Fenrisie i Lanthorze, a Osada Smatchza była gorsza od cegokolwiek, co tam widziałem. Mamy do czynienia z najtrudniejszym do odparcia sposobem prowadzenia działań wojennych: atak z zaskoczenia i natychmiastowe wycofanie się, i to przy całkowitej przewadze wroga. Jedyne sposob, aby wypędzić te zielone demony, to wypalić ich osłonę!

— Cóż, im szybciej skończymy, tym...

Wrócili do obozowiska, a Ayyar obserwował, jak zatrzymali się w pobliżu jego schronienia. W powietrzu coś jakby załśniło: zrobili krok do przodu i znów zamigotało — ale

już poza nimi. Pole siłowe! Obóz był opasany polem siłowym! A to oznaczało, że znajdujący się w środku owej bariery byli przygotowani na spotkanie z jakimś mrozącym krew w żyłach niebezpieczeństwem.

Zielone demony z lasu? Ayyar spojrział na swoją własną, szczupłą rękę, na zielone ciało. Czyżby mieli na myśli Iftów? Nie, to niemożliwe. Mieszkańcy Iftsigi byli, prócz współbraci zza Morza Południowego, jedynymi przedstawicielami plemienia. „Zielone demony” nie mogły być Iftami... ale w takim razie kim lub czym byli?

ROZDZIAŁ DRUGI

Iftowie mieli z dawien dawna Wroga bardziej przerażającego aniżeli ktokolwiek pochodzący z osad lub portu nazywali go Nienazwanym, Które Czyha. Dawno temu Larshowie byli jego nieprzyjacielską armią wyruszającą z jałowego Pustkowie przeciw Iftom. Paradoksalnie, na tej samej ponurej pustyni znajdowało się ostateczne schronienie Iftów, sanktuarium Zwierciadła Thanth. A teraz, oświetlony słońcem — bronią Nienazwanego — Ayyar wstąpił na prastary trakt wiodący ku kolebce wulkanu, ku Zwierciadłu. Czy uda się im ponownie przywołać Potęgę Zwierciadła?

Wiele miesięcy temu Illylle i Jarvas wezwali je na pomoc do walki ze sługami Nienazwanego. Nadeszły straszliwe burze i powódź, która przelała się przez skalne wargi Zwierciadła i zmyła wiele zła z Pustkowie.

Choć w przeszłości Zwierciadło uczyniło dla nich tak wiele, to wciąż nie mieli pojęcia, do czego jeszcze byłoby zdolne.

Czy można go użyć przeciw ludziom i maszynom spoza planety, nie zobowiązanym do przestrzegania naturalnych praw Janusa? Każda planeta posiadała swoje tajemnice i siły, które były narzędziem lub bronią jej naturalnych mieszkańców, ale nie miały najmniejszego wpływu na najeźdźców z innych planet. Iftowie uważali Zwierciadło i to, co przezeń działało, za przejaw działania sił nadnaturalnych. Dla obcych mogło ono być zaledwie jeziorem mieszczącym się w zagłębieniu skały.

— Ayyar...

Podniósł głowę i oderwał wzrok od pradawnego gościńca pod stopami. Rozpoznał głos Kelemarka, który najwidoczniej dotarł tu przed nim.

Podobnie jak Ayyar, Kelemark miał na sobie pelerynę, i miecz. Lecz przez illla i podarty kawałek materiału. Wydzielał on tak ohydny zapach, że Ayyar zmarszczył nos z obrzydzeniem.

Nie była to woń człowieka ani maszyny, lecz czegoś innego, podstępnego i zdradliwego. Raz wciągnięta w nozdrza, zatruwała każdy następny oddech. Co dziwne, zielono-brązowo-srebrna szmata wyglądała na fragment peleryny Ifta.

— Co to? — zapytał Ayyar.

— Znalazłem to na kolczastym krzewie.

Kelemark wyciągnął ramię. Nieoczekiwanie szmata skrzyła się, wijąc jak żywe stworzenie. Zaskoczony Kelemark strząsnął ją z siebie, zaśmierdziało mocniej i obaj cofnęli się, instynktownie przyjmując postawę obronną.

Ayyar trzymał broń za ostrze, tuż poniżej rękojeści, chociaż wcale nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób ją wy dobył.

Oreż Ifta to miecz Ifta,

Słabnie światło, Ift chwyta za broń.

Chłód w ciemności, ogień w południe —

Zieleń drzew przeciw Złu...

Poruszał mieczem tam i z powrotem, w górę i w dół, a słowa jedno po drugim pojawiały się same w jego głowie. Nie był Mistrzem Zwierciadła ani Siewcą, ani Dozorcą, ani Strażnikiem — był wojownikiem dawnej armii walczącej przeciw Nienazwanemu.

Nagle miecz w jego dłoni zapłonął zielonym światłem, które spłynęło na ziemię i okrążyło poruszający się kawałek materiału. A jednak ogień nie zniszczył go; oddzielił go tylko od otoczenia. Ayyar usłyszał wołanie dochodzące ze schodów wiodących do Zwierciadła i głucho dudnienie biegnących stóp.

W pośpiechu nadbiegli Illylle i Jarvas. Gdy ujrzeli, co leży otoczone ogniem na gościńcu, zatrzymali się.

— Kto to znalazł i gdzie? — zapytał Jarvas.

— Wisiało na kolczastym krzewie w pobliżu pogorzeliska — odparł Kelemark. — Pomyślałem... obawiałem się, że to nasze. Gdy to podniosłem zrozumiałem, że się mylę.

Czuję, że to coś ważnego...

Illylle opadła na kolana. wpatrując się w szmatę. Z torebki przy pasku wyciągnęła białą drzazgę długości palca. Na drodze z łatwością można było znaleźć zagłębienia wypełnione piaskiem; jedno z nich znajdowało się w pobliżu. Illylle skierowała koniec drzazgi na to, co leżało wewnątrz ognistego pierścienia. a następnie zetknęła drewnienko z piaskiem.

Trzymała je lekko, starając się go nie upuścić. Nagle drzazga poruszyła się, robiąc na piasku jakieś znaki. Ku ich zaskoczeniu ukazał się rysunek drzewa z trzema dużymi liśćmi — Ift! Lecz drzazga ponownie drgnęła, przekreślając uprzednio narysowane liście i zmieniając je w rosochate, nagie gałęzie.

Ayyar przyglądał się znakom. Miał wrażenie, że gdzieś, kiedyś widział już podobny ideogram.

— Ift... nie-Ift... coś wrogiego...! — Jarvas przemówił prawie szeptem. — Co to ma znaczyć?

Spojrzał pytająco na Illylle, która w napięciu studiowała rysunek na piasku — potrząsnęła powątpiewająco głową.

— To — wskazała na strzęp materiału — tylko pozornie wygląda na własność Ifta — pochodzi przecież z Białego Lasu! Nic z tego nie rozumiem. — Upuściła drzazgę i przyłożyła dłoń do czoła. — Tak niewiele pamiętam! Gdybyśmy byli Iftami pełnej krwi, rozumielibyśmy o wiele więcej. Czuję jednak wyraźniej, że ten kawałek materiału ma coś wspólnego z naszymi nieprzyjaciółmi.

Jarvas odwrócił się do towarzyszy i zapytał:

— Czego się dowiedzieliście?

Kelemark zdał sprawę pierwszy.

— Nieprzyjaciele znajdują się po naszej stronie rzeki; zaczęli od wypalania. a teraz karczują drzewa. Są zdecydowani unicestwić Las wraz ze wszystkimi zwierzętami i roślinami w nim żyjącymi.

— Niedaleko stąd jest obóz ludzi z portu — dodał Ayyar i powtórzył podsłuchaną rozmowę.

— Zielone demony najechały na osady?! — przerwa mu Jarvas. — Ależ to my jesteśmy tymi potworami, których obawiają się w swojej ignorancji. Co więcej, jesteśmy jedynymi Iftami po tej stronie Morza Południowego.

— Jest tylko jeden sposób, by dowiedzieć się czego więcej — podniosła się Illylle. — Zadam pytanie Zwierciadłu. Ty zostań — nakazała Kelemarkowi. — Nie możesz zbliżyć się do Thanth po tym, jak dotykałeś tego złego przedmiotu.

Nie objęty tym zakazem Ayyar podążył za nimi, wspinając się po stopniach wiodących aż na krawędź krateru ponad cichym jeziorem — siedliskiem niepojętej mocy.

Raz jeszcze Illylle padła na kolana na krawędzi występu skalnego, wyciągając ramiona nad wodą.

— Błogosławiona niech będzie woda niosąca życie... zaintonowała i zapadła cisza. Zamoczyła czubek palca i podniosła go do ust tak, aby słowa mogły dać potrzebną odpowiedź, i otworzyła umysł dla Zwierciadła. Gdy przemówiła, nie patrzyła na swych towarzyszy, lecz w dal, ponad taft jeziora. Otaczała ją aura kogoś obdarzonego mocą.

— Ift to nie Ift... Zło ma pozór prawdy ... Jedna przegrana bitwa nie kończy wojny ... Ziarno zagrożone już przed siewem...

Dla Ayyara sens tych słów był niejasny. Ujrzał jednak że Jarvas posiadający wiedzę Mistrza Zwierciadła, sposepniał i położył dłoń na głowie Illylle. Zamrugła jakby przebudzona i stała się na powrót sobą.

— Chodźcie! — Prowadzeni przez Jarvasa wrócili na drogę, gdzie zastali już także Rizaka i Lokatatha.

— Jarvas, dowiedziałem się, że Iftowie są gdzieś w pobliżu... — zaczął Lokatath.

— To nie Iftowie, nie prawdziwi Iftowie! — krzyknęła Illylle. — Mogą sobie nawet wyglądać jak my, ale oni działają na rozkazy Białego Lasu, a nie Zielonego, jak my!

Jarvas przytaknął:

— To prawda. Myśleliśmy, że Nienazwane zostało raz na zawsze pokonane; teraz wydaje się, że zbudziło się i próbuje nastawić przeciw nam ludzi przybyłych spoza planety.

— Ktoś najechał na osady — poinformował Lokatath. — Schowałem się między kamieniami w rzece i podsłuchałem, jak w obozie mówiono o tym. Owi fałszywi Iftowie siali śmierć i zniszczenie w tak okrutny sposób, że osadnicy i mieszkańcy portu zapomnieli o wzajemnych uprzedzeniach i o dzielących ich różnicach. Teraz wszyscy zjednoczyli się w zamiarze zmiecienia z powierzchni planety plemienia Iftów wraz z całym Lasem!

— To niewykonalne — Illylle spojrzała na Jarvasa. — Las jest przecież taki ogromny! Czy mogą to rzeczywiście zrobić?

— Na razie jest ich niewielu — odpowiedział rzeczowo — ale z pewnością musieli już posłać po pozaplanetarną pomoc; z takim wsparciem będą w stanie unicestwić Las.

Ręka Ayyara powędrowała na rękojeść miecza:

— Jeśli Nienazwane używa ich tak jak wykorzystano Larshów przeciw nam...

— Pamiętam epokę Zielonego Liścia, a nie Szarego — odezwał się Jarvas. — Larshowie stali się narzędziem Nienazanego znacznie później. Myślę jednak, że mogłoby Ono wykorzystać przybyszów w taki sam sposób, a nawet pokusić się o zwycięstwo z ich pomocą.

— Zastanawiam się — powiedział z namysłem Ayyar — czy Nienazwane musi zawsze używać innych jako swych narzędzi? Ja i Illylle zostaliśmy w poprzednim wcieleniu wzięci do niewoli przez tajemniczy skafander kosmiczny. Wydaje się, że w środku był on pusty — kto w takim razie nim sterował? Czyż nie tak samo Nienazwane uwięziło was? Jego psy gończe polowały na nas i czuliśmy wpływ Jego mocy w czasie ucieczki do Zwierciadła. W czasach Ayyara wysłało Larshów, aby zrównali Iftcan z ziemią. Dzisiaj z kolei przybysze spoza planety są podburzani przeciw nam, co w efekcie jest na rękę Nienazanemu. Nigdy jednak nie ukazują się Ono we własnej postaci. Dlaczego? Co pamiętacie z Kłątwy Kymona?

— Chodzi ci o naturę Nienazanego? — zapytał Kelemark. — Nienazwane jest myślą, Jarvas. Ale dlaczego jest aż tak potężne?

— Kymon wszedł do Białego Lasu, walczył z Nienazanym i nałożył nań Kłątwę, której moc utrzymywała się podczas epok Błękitnego i Zielonego Liścia, aby zostać przezwyciężona w czasach Szarego. — Illylle powtórzyła doskonale znaną historię.

— Ale jaka była natura Nienazanego, które spotkał w Białym Lesie? — nalegał Ayyar.

Potrząsnęła głową.

— Jarvas? — Zwróciła się z kolei do niego.

— Nie wiadomo — odparł. — Jak wszyscy wiemy, Nienazwane sprawuje kontrolę nad psychiką swoich sług. Poza tym — wzruszył ramionami — najwidoczniej teraz ma we władzy również Iftów, lub istoty przypominające Iftów. Musimy ich wytropić.

— Zapach nas zaprowadzi. — Rizak skinął w kierunku kawałka tkaniny.

— A tymczasem Las umiera — przypomniała Illylle. — Pamiętacie co było naszą nadzieją? Odtworzenie plemienia i w legalny sposób uwolnienie się od pozaplanetarnej kolonii. Jeśli zagłada naszego rodzinnego środowiska potrwa dłużej, zginiemy wraz z nim.

— Ona ma rację. — zgodził się Rizak. — Musimy uświadomić im, co tu się naprawdę dzieje, zanim sprawy zajdą za daleko.

— I co, jak byś to zrobił? — rzucił Lokatath.

— Pojmałbym jednego z fałszywych Iftów — odparł Ayyar — i wykazał dzielącą nas różnicę.

Wpatrywali się w niego, a potem Jarvas zaśmiał się:

— Proste, a jednak może najlepsze rozwiązanie. A więc zapolujmy na Wroga! Myślę, że oznacza to poszukiwania wzdłuż rzeki.

— Czy możesz przewidzieć, któredy przejdą? — Kelemark zwrócił się do Illylle.

— Nie, gdyż gdy przemieszczając się, są otoczeni opieką swego władcy, a ja nie umiem przez nią przeniknąć. Musimy ich wytropić za pomocą naszych zmysłów.

Postanowiono podążyć wzdłuż brzegu rzeki, kierując się na południe od wejścia do Zwierciadła. Ciemność dałaby im przewagę, gdyż wszystkie zmysły Iftów były przystosowane do nocnego trybu życia. Teraz jednak nadchodził świt. Owinęli się więc w peleryny, legli wzdłuż pobocza drogi i zapadli w sen.

O zmroku pomknęli wybranym szlakiem. Suche zimowe trzciny, znacznie wyższe od nich, zasłaniały ich. Temperatura, jak zwykle wieczorem, spadała i niektóre zapachy zaostzały się, inne słabły. Zewsząd dobiegały przeróżne dźwięki: skrobanie jaszczurki lądowej wlokącej rzeczny robaka tam i z powrotem po żwirze; nawoływania szybujących lub czworonogich myśliwych. W pewnej chwili przykucnęli w ciszy, czekając aż ogromny kot wypłucze resztki upolowanej ofiary spomiędzy zębów. Dotarł do nich zapach świeżej krwi.

W powietrzu jednak nie wyczuwali żadnej niezwyklej woni. Obszar oczyszczony przez Zwierciadło pozostawili z tyłu, a po prawej zaległa ciemność nad jałowym Pustkowiec. Na północy natomiast niebo było całkiem jasne.

— Używają promienników w nocy — Lokatath skonstatował to, co i tak było oczywiste.

— Zniecierpliwili się lub są coraz bardziej wystraszeni — odparł Kelemark.

Ayyar zastanawiał się, czy Iftsiga stała już w ogniu? I co się dzieje ze skrzynkami zawierającymi nasiona? Czy ich kryjówka w korzeniach Cytadeli okaże się wystarczająco głęboka, by uchronić je przed ryjącymi ziemię karczownikami?

Nad rzeką zalegała mgła. Tu podjęli trop, którego szukali. Lokatath splunął, a Ayyar poczuł w ustach gorycz gromadzącej się śliny. Smród strzępka odzieży był wstrętny, ale to było nieskończenie gorsze. Raz wciągnięte w nozdrza, zdawało się wypełniać płuca stęchłym, obmierzłym osadem.

— Świeży ślad? — utwierdził się Rizak.

— Tak, i wiedzie przez rzekę do osad.

Obludzone kłody i kamienie, których powierzchnie ledwie wystawały ponad wąski w zimie strumień, tworzyły coś na kształt mostu, po którym Iftowie przeprawili się na drugą stronę.

— Ach... — cichy okrzyk Illylle przyciągnął uwagę Ayyara. Zmarszczyła brwi, obracając głowę w lewo i prawo, jak ktoś próbujący rozpoznać na poły zapomniane punkty orientacyjne terenu.

— O co chodzi?

— Czy ta droga nie prowadzi do osady Himmer?

Południowy zachód... Zgadza się, to niedaleko stąd; sam będąc dopiero od niedawna Iftem, Ayyar był świadkiem przemiany Ashli Himmer w Illylle. Pomógł jej przetrwać pierwszy, najcięższy szok — odkrycie, że odtąd dla ludzi należy do obcego gatunku. Z początku nie uwierzyła, nalegała na powrót do osady, aby odszukać ukochaną młodszą siostrzyczkę. Dopiero gdy osłabła odraza, jaką czuli do siebie, dała się przekonać, że krewni Ashli są całkowicie obcy dla Illylle. Teraz odezwało się w niej echo dawnych emocji.

Ślady zrazu nie przekraczały rzeki i wydało im się, że ci, za którymi podążają, tropią kogoś na własną rękę. W pewnym momencie gdzieś w oddali zaszczekały psy. Czy z osady Himmer? Ayyar nie był pewny, ale miał wrażenie, że źródło hałasu leży bardziej na zachód.

Trop prowadził teraz prosto, ruszyli więc biegiem, naturalnym dla Iftów tempem. Lesisty teren, na który wkroczyli, nie był wprawdzie Lasem, ale mieć wokół siebie drzewa — nawet nagie i zmarznięte — przynosiło ulgę jak łyk chłodnej wody w upalny dzień.

W lesie brakowało wielu z jego pierwotnych mieszkańców, gdyż osadnicy wykarczowali tereny leżące na północ i wschód. Co przezorniejsze i bojaźliwsze stworzenia wyniosły się stąd już dawno. Choć nie wszystkie; niektóre wciąż jeszcze zamieszkiwały dziuple i nory w ziemi, teraz jednak spały głębokim zimowym snem.

Zapach stawał się intensywniejszy, a ujadanie psów głośniejsze. Ich właściciele już dawno powinni poczuć niepokój. Mając w pamięci los, jaki spotkał inne osady, powinni być teraz o wiele czujniejsi. Uzbrojeni w blastery, czekają pewnie na atak.

Oddział Iftów powinien zachowywać największą ostrożność; byłoby głupotą dać się pojmać i być wziętym za Wroga. Ayyar zauważył, że Jarvas szybkimi gestami dzieli ich na dwie grupy, prawą i lewą. Ayyar zwrócił się w prawo, Illylle za nim, a Rizak nieco z tyłu.

Obeszli dookoła niebezpieczne chwytne gałęzie wielkiego kolczastego drzewa. Teraz zapach osłabł, a Ayyar wyczuł fetor śmierci otaczającej każdą osadę, wokół której drzewa, krzewy, całe bujne, zielone życie zginęło, odbierając okolicy jej naturalną urodę. Znów poczuł nienawiść do ludzi niosących śmierć i zniszczenie jego rodzinnej planecie.

Zapytał Illylle, czy mogłaby to być osada Himmer. Rozejrzała się i potrząsnęła przecząco głową:

— Toza daleko na wschód. Możliwe, że to osada Tolfreg. Ayyar miał wrażenie, że ujadanie traci na intensywności — mniej psów szczekało? Między drzewami zamigotało światło; czyżby pochodnie?

Zwolnili kroku i przemykali się ukradkiem, aż wyrzeli poprzez uschnięte zarośla na surową połąć ziemi. Sterczały na niej ogromne pnie, zwęglone przez tygodnie, a może nawet miesiące trwającej działalności ognia.

Światło pochodziło z pochodni płonących na ostrokole, za którym widniały budynki osady. Podpalono też stos suchego drewna ułożony przed wejściem, tak aby w razie oblężenia rozniecony ogień oświetlał otwartą przestrzeń dookoła. Na szczęście każdy nadpalony pień stojący na pogorzeliśku rzucał sporą plamę cienia. Cztery psy gończe wyszczerzając kły i niepewnie trzymając się na łapach stały, przyciskając zady do okratowanej bramy ogrodzenia. Krew spływała z ran na bokach i barkach; jeszcze jedno zwierzę leżało, bez powodzenia próbując się podnieść.

Na przestrzeni między lasem a bramą spoczywało bez ruchu co najmniej dalszych sześciu czworonogich wartowników. Wyglądało jakby zostali poświęceni po to, aby ich panowie mogli zyskać na czasie. Illylle szepnęła:

— Ukryjmy się za tym rozwidlonym pniem na prawo. Wypalony w środku pień przypominał swym dziwnym wyglądem czarny skrzep. Ocalałe obrzeża wznosiły się tworząc coś na kształt zwierzęcej głowy, z nastawionymi uszami, czujnymi na każdy dźwięk.

Pomiędzy tymi uszami coś się poruszyło i na chwilę wychynął spomiędzy nich okrągły cień. Była to głowa... Ifta! Widziany z tyłu wyglądał na ich współplemieńca, ukrytego pod rozpostartą wokół peleryną. Illylle zacisnęła palce na ramieniu Ayyara. Ani czas, ani miejsce nie sprzyjały zdemaskowaniu fałszerstwa. Rizak szepnął:

— Czy Nienazwane byłoby w stanie pojmać członka starej rasy i uczynić zeń swego sługę?

— Kto wie? Ten jednak, kimkolwiek jest, na pewno jest Wrogiem. — Tego Ayyar był pewien. — Ilu ich jest?

Jego bystre oczy myśliwego i wrażliwy nos zlokalizowały jeszcze pięciu. Można by było podwoić lub potroić ich przypuszczalną liczbę, gdyż nie stanowili zwartej grupy.

Illylle wciągnęła nerwowo powietrze.

— Czekają, ale na co?

Odpowiedzią stał się przeraźliwy wrzask, jaki mógłby wyrwać się z ludzkiego gardła tylko pod wpływem największego przerażenia i bólu: Z zarośli po prawej wykuśtykała, niepewnie stawiając chwiejne kroki, kobieta w poszarpanych strzępach odzieży. Wyjąc zataczała się między ukrytymi napastnikami, którzy, nie zwracając na nią uwagi, kierowali się ku bramie. Ayyar dostrzegł fałszywego Ifta sunącego śladem kobiety, który nawet nie próbował jej pomóc.

— Ona jest kluczem, który otworzy im bramę — stwierdził Rizak.

Psy zniweczyły jednak ewentualną szansę. Dwa z nich rzuciły się, prawie jednocześnie, lecz nie na skradające się cienie, tylko na kobietę. Ostre kły przewróciły ją na ziemię; wrzask urwał się jak nożem uciął. Zawyły, gdy trafiła je wiązka promieniowania z ostrokołu; właściciele musieli uważać je za wściekłe.

Jeden z fałszywych Iftów wypadł na otwartą przestrzeń, złapał bezwładnie leżącą kobietę za ramię i przeciągnął ją w cień pnia. Dwu jego kompanów odwlokło ciało dalej.

— Tam w górze! — Rizak uniósł głowę.

Na tle nocnego nieba ujrzeli jeden z portowych fliterów; ogień z niego wystrzelony smagał ziemię.

Ayyar pociągnął Illlylle do tyłu i rzucili się biegiem. Uciekali przed pewną śmiercią w objętym pożogą lesie.

— W dół rzeki, na południe — wysapał Rizak w chwilę później.

Miał słuszość — piasek i skały nie zajmą się ogniem.

Była to więc ich jedyna szansa ocalenia. Jak dotąd promieni używano tylko w zasięgu oczyszczonego terenu wokół osad, mogłyby jednak działać i na większą odległość.

I tak mieli dużo szczęścia, gdyż długo trwało zanim drzewa zajęły się ogniem. Prawdziwe piekło rozpętało się dopiero w chwili, gdy płomień dopadł niższej roślinności.

Usłyszeli w zaroślach hałas wywołany przez czyjaś ucieczkę i nagle na polanę po lewej wypadły dwie postacie — fałszywi Iftowie. Z ramion jednego z nich zwisały resztki spalonej peleryny, jakby był nieczuły na ból i gorąco. Obaj gnali prosto do rzeki.

Byliby to jedyni ocaleni spośród napastników? Ayyar był przekonany, że kilku z nich musiało zginąć od pierwszego uderzenia ognia.

— Nie... damy... rady... — wykrztusił Rizak kaszłąc w kłębach dymu.

— Na prawo! — Krótki rzut oka ukazał Ayyarowi drogę ocalenia.

Wieki temu runęło tu drzewo, rozmiarami prawie dorównujące Wielkiej Koronie. Jego korzenie sterczały w niebo ponad głęboką jamą, z której wionął z dawna znany Ayyarowi odór skalca. W takiej samej norze został niegdyś pojmany w sieć. Fetor dawno zwiędł, a więc jama była nie zamieszkana. Być może została porzucona, gdy gruba zwierzyna przeniosła się dalej od osady.

— Do środka! — Wskoczył, pociągając za sobą Illlylle i wylądowali razem na cuchnącym rumowisku, a Rizak wśliznął się zaraz za nimi.

To, czego szukał, znajdowało się przed nim: wejście do podziemnej nory, okolone zwisającymi strzępami sieci. Było tu pusto i bezpiecznie, a więc ruszył wprost do wnętrza gniazda skalca.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przeciskali się w głąb ciasnym korytarzem — gdzieś w pobliżu powinna znajdować się boczna komora, w której dawny gospodarz miał swoje gniazdo. W niej mogliby znaleźć bezpieczne schronienie przed szalejącym ogniem. Leżeli razem w cuchnącej norze, a serce Ayyara wciąż waliło jak oszalałe.

Usłyszał szept Illylle:

— Jarvas, Kelemark, Lokatath...?

Tak, co z nimi? Czy wykorzystali tę odrobinę bezpieczeństwa oferowaną przez brzeg rzeki? Lecz Rizak myślał już o następnym ruchu.

— Wypalona okolica ułatwi wszelkie poszukiwania. Jeśli spuszczą psy...

— Takie nory mają więcej niż jedno wyjście — Ayyar pamiętał to ze swych dawnych, przerażających doświadczeń.

— I wszystkie biegną prosto. Któreś z pewnością wyprowadzi nas nad samą rzekę.

— Rizak, kiedy pojawią się nasi pobratymcy zza Morza Południowego? — zapytała Illylle.

— Zostaliśmy wcześniej obudzeni w tym roku, a oni przybędą wraz z prawdziwą wiosną.

— I zastaną cały kraj podburzony przeciw nim.

— Z pewnością będą bardzo ostrożni po tak długiej nieobecności, bo nigdy nie wiadomo, co mogło się zmienić wiać w obronę współplemieńców. Jesienią głęboko zaszczepiony instynkt nakazał im zastawienie pułapek w ostępach leśnych. Wiosną mieli oni zamiar odnaleźć nowych Iftów i powitać jako nowych braci i siostry.

— Lecz nigdy jeszcze nie stawiali czoła takiemu niebezpieczeństwu jak to — ostrzegł Ayyar. — Może się zdarzyć, że po powrocie zamiast Lasu zastaną tu tylko polujących nań myśliwych. Nienazwane obmyśliło idealny plan, zaatakowało zimą, kiedy pozostajemy w jednym miejscu.

— Nie mogę uwierzyć, aby Zwierciadło mogło nas zawieść! — Głowa Illylle spoczywała na jego ramieniu; było tak ciasno, że Ayyar z każdym wypowiedzianym słowem czuł na szyi ciepło jej oddechu. — Widzieliśmy gigantyczną powódź i burzę nawiedzające Pustkowie. Nienazwane nie byłoby w stanie uniknąć zagłady...

— Przecież nie znamy Jego natury — przerwał jej Ayyar. — Może w obliczu zagrożenia Nienazwane zmobilizowało siły i pozyskuje nowe wpływy, gromadzi ludzi. Jeśli kiedyś z pomocą Larshów zrównało z ziemią Iftcan, to teraz wraz z przybyszami spoza planety obróci w czarny pył resztki tego co pozostało. Istnieje tylko jeden sposób, by stawić Mu czoło...

— Zgadza się, sprawdźmy, czy ci w porcie znają prawdę!

Ayyar czuł, że przez Illylle przeszedł taki sam dreszcz, jaki przebiegł i jego ciało. Czy fizycznie i emocjonalnie będą w stanie stanąć oko w oko i rozmawiać z ludźmi?

Gdyby tak można było skontaktować się na odległość, bez konieczności osobistego spotkania!

Myśli Rizaka zapewne podążały tym samym torem, gdyż zapytał Illylle:

— Osadnicy używają zapewne komunikatorów, aby kontaktować się z portem?

— Skądże, w ich pojęciu są one częścią zdemoralizowanego świata zewnętrznego — padła błyskawicznie odpowiedź Illylle, dawnej mieszkanki osady. — Coś takiego znajdziesz tylko w porcie.

— Lub może w tamtym obozie — poprawił ją Ayyar.

Rizak kontynuował poprzednie rozważania:

— Każdy obóz będzie teraz doskonale strzeżony, gdyż na pewno spodziewają się ataku w odwecie za pacyfikację Lasu.

Ayyar niewiele pamiętał ze swego pobytu w porcie; wylądował w nim z transportem robotników, ogłupiały po wyjściu ze stanu hibernacji. Przypominał sobie jedynie stojący

szeregiem ludzki towar, poddany krytycznej ocenie brodatego olbrzyma Kosberga. Potem pomagał przeladować pęki kory z wozów na platformy. Nigdy też więcej nie ujrzał portu na Janusie.

— Czy znasz port? — zapytał Rizaka.

— Port? Nie, wcale tam nie lądowałem. Wydostałem się z kapsuły ratunkowej, która opadła na powierzchnię planety głęboko w Lesie. Kiedy przelatywaliśmy przez ten układ planetarny, część załogi, w tym i ja, zapadła na tajemniczą chorobę zakaźną. Rozpaczliwie poszukiwaliśmy pomocy, ale zanim nadeszła, reszta załogi wsadziła nas do kapsuły i pośpiesznie wysłała na dół. Ledwie żywy wylądowałem, i okazało się, że byłem jedynym, który przeżył.

Znalazłem jedną z pułapek i stałem się Iftem. Tak więc zupełnie nie znam portu na Janusie.

— Lokatath był osadnikiem. — Ayyar oceniał możliwości towarzyszy po kolei. — Ale Kelemark pracował w służbach medycznych portu.

— Był, ale w czasach Konsorcjum Karbon. — przypomniał mu Rizak — W ciągu ponad pięćdziesięciu lat wiele musiało się zmienić. A Jarvas został przysłany w oddziale Pierwszych Zwiadowców, jeszcze przed wybudowaniem portu.

— Za to ja spędziłam tam dwadzieścia dni — powiedziała Illylle. — i było to niezbyt dawno. Znam port. Ayyar, czy ty zastanawiasz się nad wyprawą do portu?

— Tak, dobrze byłoby zdobyć jakiś komunikator, choćby najprostszy model o małym zasięgu.

— Portu wprawdzie nie znam — odparł Rizak — ale to dobry pomysł, aby porozmawiać z nimi przez komunikator. Najpierw jednak musimy znaleźć wyjście z tej nory.

I miał rację, Ayyar zaczął się bowiem właśnie obawiać, czy wybrane przezeń schronienie nie okaże się ich grobowcem. W miarę jak płomienie na zewnątrz zużywały tlen, było im coraz trudniej oddychać, zapadali w stan półodrętwienia podobny do hibernacji. Gdy po jakimś czasie ocknęli się ponownie, można było swobodniej oddychać, mimo przenikliwego swądu.

Illylle rozkaszała się, a Ayyar poczuł jak dławiące wyziewy gryzą go w nosie i gardle. Należało wyruszyć natychmiast, nawet gdyby to oznaczało konieczność przejścia przez ogień. Zdecydował się wczłochać do tunelu.

— Słuchajcie!

Ayyar nie potrzebował ostrzeżenia Rizaka; usłyszał szum padającego na zewnątrz deszczu. Nie oczekiwał aż takiej ulewy; może do wiosny było bliżej, niż przypuszczali. [jamy zmieniło się w kałużę pełną ściekającej wody. Zaczął się czołgać, pozostali podążyli za nim.

Wylot okazał się zawałony masą na pół zwęglonej roślinności, lecz bez trudu wyrąbał przejście mieczem. Wychynęli w półmrok, wywołany przez grubą warstwę chmur. Dookoła szalała lodowata burza. Wiązki promieniowania z blastera dosięgły krzewów i koron drzew, ale ogromne pnie, opalone i zwęglone, wciąż stały niewzruszenie. Torując sobie drogę między nimi przedostali się na brzeg rzeki.

Ciała znaleźli między dwoma głazami, leżące na prowizorycznym, kamiennie-drewnianym moście. Ayyar ujrzał najpierw odrzucone na bok ramię ze sflaczałą dłonią, zwróconą do góry, jakby chciała nałapać ulewnie padającego deszczu. Odwrócił się szybko i próbował odciągnąć Illylle, jednak na próżno. Przepięła się obok niego i spojrzała w dół.

Przerażenie zniknęło, pochyliła się bardziej, niż Ayyar i Rizak jej pozwalali. Ujrzeli ludzką twarz, pozbawioną wszelkiego wyrazu, w sposób nie kojarzący się ze spokojem śmierci. Gardło i górna część klatki piersiowej zostały rozszarpane na strzępy przez psy, co obnażyło metal, kable i inne części mechanizmu.

— Robot! — pamięć podsunęła Naillowi właściwe słowo.

Rizak przykucnął i przesunął badawczo palce wzdłuż ramienia.

— Tu też, dotknijcie!

Pełen obrzydzenia Ayyar poszedł za jego przykładem.

„Ciało” było zimne i mokre od deszczu, ale na pierwszy rzut oka wydawało się prawdziwe. Poszarpana tkanka nie była jednak zakrwawiona, a pod nią bez wątpienia dawał się wyczuć metal.

— To jest sztuczne! — zawyrokowała Illylle. — Jeśli jednak ktoś tego nie wie...

— Ich klucz. — przytaknął Rizak. — Poślij ją, wyjąca jak nieboskie stworzenie, a bramy osady staną otworem.

Tyle że tym razem coś im nie wyszło, bo psy, nieszczęsne bestie, wyczuły prawdę. Zginęły broniąc swych nic nie rozumiejących panów. Fałszywi Iftowie, dbając o zachowanie tajemnicy, musieli odciągnąć ją jak najdalej, bo była ważna w ich planach. Potem dla jakiegoś powodu, porzucili ciało tutaj. Moim zdaniem to niedopatrzenie może się okazać ich najbardziej brzemienną w skutki pomyłką!

— Jak to? — zaciekawiała się Illylle.

— Potrzebowaliśmy dowodu i oto mamy tu coś, co zadziwi każdego, gdyż nie przypomina żadnego robota, jakiego widziałem do tej pory, lecz to jest robot. Połóżmy ją w widocznym miejscu. Przypuszczam, że niedługo przyślą tu kilku zwiadowców i jeśli ją znajdą, to dopiero będą mieli nad czym się zastanawiać! Ayyar wiedział, że Rizak miał rację. Jeśli podsunie się władzom portu tego robota, to łatwiej uwierzą w istnienie prawdziwych Iftów oraz ich imitacji — Iftów fałszywych.

Illylle zastanowiła się na głos:

— Czy wszyscy fałszywi Iftowie są podobni do tego?

— Być może, tylko kto i gdzie ich skonstruował?

Illylle nadal stała pochylona nad zmaltretowanym robotem, oddychając głęboko.

— Nie ma potrzeby pytać, bracie. Deszcz nie zdołał zmyć odrażającego zapachu; to z pewnością pochodzi z Białego Lasu.

— To niemożliwe — zaprotestował Ayyar. Chociaż... tak naprawdę to co wiedział o Wrogu? Kiedyś został wzięty do niewoli przez chodzący, przedpotopowy skafander kosmiczny, który przepędził jego i Illylle przez Kryształowy Las i uwięził w otchłani. Lecz ten robot — jeśli to był robot — mógł być wytworem tylko bardzo wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej, nie mającej sobie równej na Janusie.

— Czy nie widzisz, że wiemy za mało o Nienazwanym — zwróciła się doń Illylle. — Pamiętaj o tym statku kosmicznym, który wylądował na piaskach pustyni. Kto wie, może były i inne, które zaginęły na Pustkowiu, Nienazwane mogło je wykorzystać wedle swego życzenia!

Możliwe, lecz szkoda było tracić czas na próżne spekulacje. Ayyar pomógł Rizakowi uwolnić kobietę-robotę spomiędzy głazów. Położyli ją w widocznym miejscu, twarzą do góry. Jeśli Rizak miał rację co do zwiadowców, to powinna ona niezadługo znaleźć się w ich rękach. Tymczasem oni powinni przedostać się przez rzekę i odnaleźć resztę oddziału.

— Miejmy nadzieję, że zdążyli przekroczyć rzekę. Rizak spojrział w kierunku, z którego przybyli. — Most nie utrzyma się długo przy takiej pogodzie.

— Gdzie ich będziemy szukać? Przy Zwierciadle?

— Nie — Ayyar odpowiedział, kierując się przeczuciem.

— Na południu.

Leżało tam wąskie morze, którego piaszczyste wydmy zapewniłyby im bezpieczeństwo; w Lesie ludzie z portu z pewnością polują na uciekinierów. Reszta grupy zgadzała się z jego sugestią, gdyż nikt nie oponował.

Wokół nie było drzew, skorzystali więc z ochrony zarośli i skał, cały czas nasłuchując odgłosów flitera. Gdy przedzierali się w dół strumienia, usłyszeli jakiś warkot i zapadli pomiędzy kamienie.

— Coś przyleciało — mruknął Rizak. — Myślę, że natknęli się na naszą znajomą.

— Ach!

Blask płomieni prawie oślepił ich przywykłe do ciemności oczy. Wiązka z flitera przemiałała okolicę wokół ciała, na wypadek gdyby było ono przynętą w pułapce.

— Ruszajmy!

Ze względu na promieniowanie z flitera musieli odsunąć się na większą odległość. Ayyar okrążył skalną półkę na czworakach, zatrzymał się i spojrzał w dół. Na żwirze nie było tropów, a zapach fałszywych Iftów bardzo wyraźny, więc dopiero z bliska wyczuł, że jacyś prawdziwi pobratymcy przeszli tędy niedawno. Część, jeśli nie cała reszta ich oddziału, przedostała się na tę stronę rzeki i wyprzedziła ich.

Kiedy już oddalili się dostatecznie od flitera, Ayyar zagwizdał. Dla niewprawnego ucha zabrzmiał tryl nadrzecznego ptaka. Powtarzał frazę z przerwami, aż doczekał się odpowiedzi. Odzew zawiódł ich do labiryntu splątanych krzaków, wprawdzie zimową porą nieco przeredzonych, ale i tak ciasno zbitych w nieprzebyte żywopłot. Przedarli się przez nie z wielkim trudem, aby w rozległym gnieździe z błotnych traw i ściętych trzciny, ongiś legowisku finkanga, znaleźć Jarvasa i Kelemarka.

— Ktoś jest ranny!

Trzeci osobnik w ubraniu Ifta leżał na boku i Ayyar rzucił się ku niemu. To mógłby być tylko Lokatath. Lecz dlaczego leżał tak niedbale rzucony? Coś obcego zastanawiało w wyglądzie jego ciała... Wytracony z równowagi Ayyar przyglądał mu się dłuższą chwilę, by wreszcie skonstatować, iż uczucie obcości wynika z faktu, że leżącemu brakuje połowy czaszki!

Rizak podszedł i również mu się przyjrzał.

— A więc mamy następnego robota! — Wykrzywił usta, jakby miał ochotę splunąć na ciało.

— Następnego? A więc znaleźliście ich więcej? — Zainteresował się Jarvas.

— Tak, kobietę przypominającą mieszkankę osady. Miała służyć do otwarcia bramy, ale psy rozprawiły się z nią od razu. Nie widzieliście?

— Owszem, a co z nią zrobiliście?

Rizak uśmiechnął się:

— Zostawiliśmy w widocznym miejscu. Już ją znaleźli i mają nad czym się głowić. — Ukląkł i dokładniej zbadał imitację Ifta. — Niezłe! Gdybym spotkał takiego oko w oko, powiedziałbym, że to Ift. Tak długo, aż ujrzałbym to... — Wskazał palcem na stopioną w jedno metalową zawartość czaszki.

— Nie, mógłbyś się pomylić! — poprawiła go szorstko Illylle. — On jest zły i węch by ci sam to podpowiedział.

— Ci spoza planety nie mają tak wyostrzonych zmysłów jak my — przypomniał Jarvas. — W ten sposób na obcych fałszywi Iftowie mogliby sprawiać wrażenie autentycznych. Bardzo sprytne, a nawet diabelnie przebiegłe! Nienazwane stworzyło barierę wrogości między nami a którymkolwiek z osadników czy przybyszy spoza planety.

Rizak przytaknął.

— Ayyar proponuje abyśmy spróbowali porozumieć się z nimi przez komunikator... — dodał.

— Komunikator! — Kelemark obrócił się i popatrzył na młodszego Ifta. — A gdzie go zdobędziemy?

— W porcie — odparł Ayyar. — Wystarczy zdobyć choć jeden z osobistych komów i... — Zwrócił się do Jarvasa: — Byłeś Pierwszym Zwiadowcą, więc znasz oficjalne kody. Czy wysłuchaliby cię, gdybyś nadał do nich komunikat?

— Może. Gdybyśmy mieli kom. Lecz zdobycie go w porcie... — Jarvas urwał w pół zdania. Wyraz jego twarzy z irytacji przeszedł w głębokie zamyślenie.

— Gdzie jest Lokatath? — zapytała Illylle. — Czy go...

Czy się zgubił?

Kelemark potrząsnął głową:

— Nie, poszedł na skały sygnalizacyjne na wybrzeżu. Musi tam znajdować się światło ostrzegawcze dla naszych braci.

Uśmiechnęła się.

— Bardzo mądrze. Nie możemy planować wczesnego siewu; zresztą może oni nie przybędą w najbliższym czasie?

— Masz rację, nie mamy pojęcia, o ile za wcześnie zostaliśmy obudzeni; lepiej nie kusić losu. i Jarvas usiadł, skrzyżowawszy nogi, w opuszczonym gnieździe i odsuwając trawy i trzciny, z których było zrobione, oczyścił kawałek ziemi. Położył na nim małe kamyki.

— Przyjmijmy, że to port; zgadza się, Kelemark?

Zapytany spojrział ponad jego ramieniem.

— Nie widziałem go od wielu lat...

— Ale Illylle go widziała. Pojechała tam kilka lat temu po pomoc medyczną dla umierającej matki — przerwał mu Ayyar. — Illylle?

— Tak. — Usiadła, zwrócona twarzą do Jarvasa, nad oczyszczoną powierzchnią. — To tu lądują statki kosmiczne i nie bywa ich zwykle zbyt wiele naraz. Raz na dziesięć lat przybywa kurier rządowy. W międzyczasie, w sezonie zbiorów — kupcy.

— Nie zapominaj — wtrącił Rizak — że mogli już wysłać wezwanie o pozaplanetarną pomoc.

— Do rzeczy. Zakładając, że pójdziemy na takie ryzyko... — Jarvas wrócił do swego pomysłu. — Wiemy, że statki stacjonują po zachodniej stronie portu. Co jeszcze?

— Tutaj — położyła większy kamień — jest budynek, w którym znajdują się komory celne i inne biura rządowe.

Dalej stoi szpital, koszary policji i kwatery pracowników.

Tu przechowalnie kory lattamusa czekającej na załadunek — i to wszystko. Aha, jeszcze budynek, w którym parkują maszyny robocze.

— Leży on dalej na północ i teraz powinien być pusty — zauważył Ayyar.

— Północ jest tutaj — Jarvas studiował plan. — Sytuacja przedstawia się tak: atak na Iftcan przypuszczono z tego kierunku — ruchem ręki wskazał wschód. — Patrolują wybrzeże rzeki. Na północnym zachodzie leży Pustkowie, będące ostoją Nienazwanego. A na dodatek mamy mało czasu.

— Wszystkie osady zostały już z pewnością zaalarmowane — zauważyła Illylle. — Mogli także zaproponować bezpieczne schronienie w porcie każdemu osadnikowi, który zechce tam się schronić.

— A byliby chętni? — zapytał Ayyar.

— Nie wiem. Wprawdzie ich poglądy na to w zasadzie nie pozwalają, ale przy skrajnym zagrożeniu może znaleźliby się desperaci. Osada Himmer leży tu... — Gestem wskazała swe poprzednie miejsce zamieszkania na północnym wschodzie.

Czekali cierpliwie na ciąg dalszy, zauważywszy, że intensywnie się nad czymś zastanawia.

— Znam dobrze Himmer i tamtejsze zwierzęta. Są tam dwa dobrze ujeżdżone fasy, które na pewno podejda na moje wezwanie. Moglibyśmy dosiąść ich i...

— To zbyt ryzykowne — ocenił Jarvas. — Każda osada przygotowuje się na atak i wypuści psy na zewnątrz ostrokołu.

— A jak ta zaatakowana osada wezwała flitera? — zapytał nagle Ayyar. — Przybyli gotowi do walki, uprzedzeni o sytuacji.

— Myślę, że ze względu na zaistniałe niebezpieczeństwo osadnicy zgodzili się na tymczasowe używanie komunikatorów. — Rizak zamyślił się.

— A jeśli je mają... — zaczął Ayyar.

— Nie. Zdobycie komu bez jednoczesnego zdemaskowania jest absolutnie niewykonalne! To jak pójście z gołymi rękami na skalca i liczenie na to, że nie użyje jadowych zębów! — zaprotestował Kelemark.

— Zwiadowczy fliter lata tu gdzieś w pobliżu, a więc...

— Rizak wskazał na robota. — Umieścimy go na otwartej przestrzeni, jak poprzedniego, i pozwólmy, aby go znaleźli. .

— Zanim wylądują, dołożą starań aby spalić wszystko dookoła, a na dodatek każdy członek załogi będzie uzbrojony w blaster — zwrócił uwagę Kelemark.

Lecz Illylle wyglądała na zamyśloną.

— Załóżmy, że wiem jak sobie z nimi poradzić?

— Jak? — chciał wiedzieć Ayyar.

— Kora sal...

Odwołała się do prastarej wiedzy i znajomości Lasu. Kora ściągnięta z czerwonobrazowego drzewka o maleńkich liściach — roztarta i wrzucona do ognia — wydzielala oszałamiający dym. Używano go w czasie polowań do ogłupienia skalca i uniemożliwienia mu ucieczki długimi tunelami do gniazda.

— Na pewno będą spodziewać się pułapki, ale my przygotowujemy coś zupełnie nieoczekiwanego... — Ayyar podjął jej pomysł i rozwinął.

— Wybierzmy otwarte miejsce otoczone rosnącymi nieopodal zaroślami. Spalą je przed wylądowaniem, więc w nich właśnie schowamy korę sal. Jeśli dopisze nam szczęście, to zdobędziemy komunikator flitera lub któryś z osobistych komów.

— A jak my przedostaniemy się przez opary sal i ogień? — sucho zapytał Rizak.

— Znajdźmy miejsce w pobliżu rzeki — wtrącił Kelemarko — Jedno z nas wejdzie do wody i poczeka. Dym z sal rozwieje się szybko... zresztą będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle znajdziemy choć trochę kory.

Jarvas zaśmiał się:

— Nigdy dotąd nie słyszałem podobnego planu, ale...

— O czymś zapominacie. Czy nie jesteście bardziej ludźmi niż Iftami? — zmarszczyła brwi Illylle. — Ludzie są skazani na swoje dwie ręce, oczy i uszy. Te same zmysły można rozwinąć daleko poza granice widzialnego i dotykającego. Wiele wprawdzie utraciłam, ale przecież w poprzednim wcieleniu byłam Wybierającą Nasiona i Siewczynią, a z mojego wyboru wszystko rosło ponad wszelkie oczekiwania. To był nasz dar, który teraz musimy właściwie wykorzystać, tak jak umieliśmy to robić dawniej!

Ayyar poczuł podziw dla Illylle, jak wówczas gdy przy Zwierciadle Thanth ta drobna dziewczyna przywołała moce niedostępne dla byle śmiertelnika. Illylle wydawała się tak pewna siebie, że z łatwością przekonała wszystkich.

W poszukiwaniu drzewa sal rozdzielili się między skałami, nie zbliżając się jednak do krańców Pustkowie. Tak wartościowa roślina nie mogła przecież rosnąć w ogrodach zła. Okazało się, że Kelemark miał rację, mówiąc, że niewiele znajdują; Ayyar wrócił z dwoma zaledwie garściami zebranych z jednego drzewka. Najlepiej powiodło się Illylle; z peleryny zrobiła torbę, w jednej czwartej wypełnioną aromatycznymi gałązkami.

Jarvas przepadł gdzieś w górze rzeki w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na wystawienie przynęty, a reszta użyła jednej z peleryn do przykrycia stosu bezcennej kory przed siąpiącym deszczem. Gdy skończyli, Illylle przesunęła nad nią ręce, szepcząc zaklęcia. Ayyar nie próbował rozróżnić jej słów — słyszał już ten rodzaj melorecytacji. Nie było to wszechmocne zaklęcie — zbyt silne w tej sytuacji, lecz jedno z pomniejszych, wystarczające, by nadać specjalne działanie korze.

Rizak rozdzielił zapasy, głównie płaski chlebek orzechowy z magazynów Iftsigi. Ożywiający sok drzewa wystarczył im na długo, teraz przyszedł czas by wrócić do zwykłego pożywienia.

— Z nadejściem nocy stracimy szansę na udaną akcję — Kelemark oparł się o skałę.

— Po nocy znowu wstanie słońce. — Illylle strząsnęła resztki kory z palców.

Tak, pomyślał Ayyar, słońce znowu wstanie. Jednak czas nie zwolni swego biegu ani dla człowieka, ani dla Ifta. Gdzieś tam czai się Nienazwane. Podczas gdy oni zapadli w zimowy sen, wierząc, że zostało zwyciężone i ujarzmione. Ujarzmione? Ono tylko wyszło z Pustkowie. Wygląda na to, że gdy Zwierciadło przelało się ze swych brzegów, byli świadkami ledwie pierwszej potyczki, a nie decydującej bitwy. Można przypuszczać, że Nienazwane dysponuje zasobami mocy przekraczającymi ich wyobrażenia.

Wiedza użyta do zbudowania imitacji Ifta nie wydała się Ayyarowi adekwatna do jego wyobrażenia umiejętności Nienazwanego Które Czyha. Była znacznie bliżej spokrewniona z technologią z obcego świata niż z czymkolwiek, czego by oczekiwał na tej planecie.

Jak to powiedziała Illylle? Na Pustkowie lądowały statki kosmiczne, a Nienazwane mogło korzystać z ich wyposażenia? Kobieta-robot mogła pochodzić z takiego statku. Ktoś lub coś zaprojektowało go specjalnie, by uczynić ze wszystkich Iftów banitów wyjętych spod prawa i cel polowań.

A więc może to w całości intryga uknuta bez udziału Nienazwanego przez kogoś z innego świata? Nie, to raczej nieprawdopodobne, gdyż rozpoznawali charakterystyczny smród wydzielany przez imitacje.

Muszą jak najszybciej poznać naturę Nienazwanego Które Czyha. Jeśli nie jest Ono mocą wymykającą się wszelkim opisom, jak ta bijąca ze Zwierciadła, to tym bardziej należy dołożyć starań, by Je przejrzyć.

Ayyar zwrócił głowę na zachód i wpatrzył się w Pustkowie. Nie napotkali, z wyjątkiem fałszywych Iftów, innych śladów czyjejkolwiek działalności. Nie pojawiła się dziwaczna maszyna latająca, która pewnego dnia szpiegowała jego i Illylle, ani ruchomy skafander kosmiczny. Pas ziemi wzdłuż rzeki był zwyczajną zdrową ziemią, gdzieś jednak pozostawał w ciemności Biały Las, otchłań i prawdziwa kryjówka Nienazwanego.

Usłyszeli gwizd i Jarvas ześlizgnął się po skałach, prosto między nich.

— Niedaleko stąd jest odpowiednie miejsce. Fliter nadal patroluje okolicę, ale i tak musimy poczekać do późnego rana.

— Do rana! — mruknął Rizak. — Doskonale, poczekajmy.

Musieli odwrócić całkowicie swój naturalny rytm życia.

Z trudem przyszło im przespać zimno wczesnego poranka, świt, przeczekać, aż słabe słońce zaświeci jasno w pełni dnia.

Nie było wyjścia; jeśli mieli wykonać zadanie, to musieli przystosować się ponownie do ludzkiego rozkładu doby.

Ayyar pełnił ostatnią wartość, pilnie wpatrując się w stronę zachodu. W Lesie spotkaliby życie w zrozumiałej, pokrewnej im postaci. Tam — tam prawdopodobnie nie napotkają ani jednej przyjaznej istoty. Ani najłżejszego powiewu wiatru, a deszcz i ciężkie masy chmur też wydawały się jakieś obce, wręcz wrogie. Muszą przygotować się najlepiej jak tylko potrafią, gdyż na Pustkowie nie znajdą ni ucieczki, ni kryjówki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mróz pokrył lodem ślady wyłobione w piasku przez i strumienie wody spływające między skałami. Ayyar spoglądał na okolicę bez entuzjazmu. Na domiar złego przestało padać i przejaśniające się niebo obiecywało słoneczny dzień — zbyt jasny jak dla nich. Zastawiali pułapkę jeszcze w przyjaznym półmroku świtu. Ciało robota rozciągnęli na skale w sposób nie budzący podejrzeń. Aby bardziej rzucało się w oczy, zdarli zeń pelerynę w barwach ochronnych. Większość kory sal umieścili, zgodnie z kierunkiem wiatru, w uschłych zimowych krzewach i trzcinach otaczających ciało od północy; resztę wpletli w zarośla dookoła.

Jarvas dokonał ostatnich poprawek w wyglądzie przynęty i wycofał się. Ciągnęli losy, na kogo wypadnie oczekiwanie w lodowatej wodzie. Ayyar nie wiedział, czy cieszyć się, czy też martwić, że to właśnie jemu przypadł w udziale oznaczony kamień.

Leżał teraz nie uzbrojony, na brzegu wody, gotów wślizgnąć się w głąb strumienia, gdy tylko usłyszy nadlatujący fliter. Pułapka była niewyrafinowana, ale i tak nie było ich stać na nic lepszego.

Ayyar wyciągnął ramię i pozwolił, aby ziąb rzeki przeniknął dłoń do szpiku kości. Nabrał wody, a gdy podniósł rękę, krople ściekły z powrotem w dół. Illylle nie była jedyną osobą pamiętającą stare inkwocacje. Dawno, dawno temu Ayyar z Ky–Kyc trzymał ozdobione nie zwykłym wzorem naczynie, wylał jego zawartość na ziemię, wypowiadając te same słowa, które Naill–Ayyar wyszeptał teraz:

— Tak jak z mojej woli leje się ta woda, tak niech polegnie mój wróg, niech u mych stóp leży bez nadziei, niech pod ziemią szczezną jego szczątki!

ModIftwa ta nie miała wpływu na przeznaczenie Larshów, a prawdopodobnie nie pomogłaby również w walce przeciw osadnikom, przybyszom spoza planety czy też przeciw Nienazwanemu. Jednakże w takiej chwili tak ludzie, jak i Iftowie trzymają się kurczowo nadziei na istnienie czegoś potężniejszego od nich.

Opuścił gogle na oczy; dzień zapowiadał się bardzo jasny. W powietrzu wyczuwało się wiosnę, zupełnie jakby ulewa otworzyła na oścież drzwi przed nową porą roku.

Ze zblakłych i zamglonych strzępów pamięci Ayyara wypłynęło wspomnienie wiosny w Iftcanie. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, zupełnie jak soki żywotne w Wielkich Koronach i innych roślinach w Lesie o tej porze roku.

Wiosna to czas siewu, a nie umierania. Nad Ayyarem nie pierwszy raz zawisła śmierć; stawi jej czoła z mieczem w ręce, tak jak zawsze robili to Iftowie!

Jego zmysły zarejestrowały obecność bzyka, który wcześniej niż zwykle o tej porze roku poszukiwał rzeki. Zapadł w bezruch, by nie sprowokować użądlenia krwiożerczego owada.

Nagle jego uszu dobiegł dźwięk głośniejszy niż brzęczenie bzyka — fliter! Nie czekając na ostrzegawczy gwizd Jarvasa, schronił się w rzece i ukrył między zwalonym przez burzę drzewem a skałami. Warkot narastał... teraz pewnie nadlatujący dojrzą przynętę! A jeśli jeszcze poprzednio odnaleziona kobieta—robot wzbudziła ich zainteresowanie...

Już! Ayyar zanurkował chwilę wcześniej, nim płomień zasyczał smagnąwszy zwalone drzewo, omiótł skały i dopadł krzewów znajdujących się między nim a robotem. Jeśli będzie miał szczęście, to wiatr i wysoki brzeg rzeki osłonią go przed oparami sal.

Fliter wylądował, wprawiając w ruch powietrze wokół.

Należało teraz prześlizgnąć się wokół skały i znów przykucnąć w ukryciu. Ayyar raptownie wzdygnął się i prawie . krzyknął z bólu od niespodziewanego użądlenia bzyka — zupełnie zapomniał o jego obecności. Zawstydzony swym brakiem uwagi, pacnął się w ramię, rozgniatając żarłocznie ssącego owada. A jeśli ten ruch zdradził jego obecność?

— Tam leży, osłaniajcie mnie!

Słowa wypowiedziane we Wspólnej Mowie zabrzmiały dziwnie, jakby w języku ongiś dobrze mu znanym, a dziś prawie zapomnianym. Powyżej wciśniętego między głązy Ayyara snuł się dym. Czy wytworzy się go dostatecznie dużo, by dotrzeć do ludzi, z których jeden już wspinał się na głązy, a drugi wciąż pozostawał w kabinie? Ayyar obserwował, jak przybysz podchodzi do robota z pewnością siebie i wyciąga rękę, aby dotknąć jego wykręconych ramion. Nagle rozkaszał się, potrząsnął gwałtownie głową i ruchem ręki odegnął od twarzy dym. Jedną ręką z pomrukiem rozdrażnienia szarpnął imitację Ifta, wycelował i dwukrotnie używając blastera oddzielił tę samą nogę robota, którą Jarvas i Kelemark tak pieczołowicie przymocowali, od reszty ciała.

— To następny robot — zawołał przez ramię. — Szybko go znaleźliśmy... — zatoczył się na skałę, odwrócił i zdążył zrobić krok lub dwa w stronę maszyny, zanim osunął się na ziemię.

— Rashon! — Leżący podniósł głowę na głos z flitera, ale nie był w stanie doczołgać się do drzwi kabiny i znieruchomiał twarzą w dół.

— Rashon!

W polu widzenia Ayyara pojawiła się ręka uzbrojona w blaster. Opary sal na razie zwały się z nóg tylko jednego z przybyszów, lecz drugi wciąż pozostawał w kabinie — nie wiadomo, ile dymu tam dotarło. Nagle Ayyar ujrzał przykucniętą postać wylaniającą się z kabiny; pilot bacznie wodził wzrokiem po dymiących zaroślach dookoła. Jedną ręką złapał Rashona za tunikę, próbując wciągnąć go do kabiny.

Szamotał się tak bez większego powodzenia, jako że jego towarzysz był znacznie większy i cięższy. Nie ustawał jednak w wysiłkach, trzymając broń cały czas w pogotowiu.

Gnany wiatrem dym dotarł do pilota i Ayyar usłyszał rozpaczliwy wybuch kaszlu. Niedoszły wybawiciel osunął się na drzwi kabiny, a w końcu legł w poprzek wejścia. Ayyar zagwizdał. Nie mieli pojęcia, jak długo utrzyma się narkotyczny sen, trzeba było więc działać szybko. Musiał jak najprędzej znaleźć to, czego potrzebowali. W tym czasie inni czuwali, by w razie potrzeby wyciągnąć oszołomionego towarzysza ze strefy oddziaływania oparów. Ayyar zbliżył się do flitera, zasłaniając nos i usta mokrym rękawem. Prawdopodobnie cała kora spłonęła już, gdyż nie wyczuwał w dymie nic prócz zapachu płonących zarośli.

Zmusił się, aby podejść do flitera; ludzka maszyna odstręczała go. Znalazł jedynie wbudowany komunikator, który mógłby wysłać pojedynczą wiadomość, lecz przecież któryś z leżących mógł dysponować komunikatorem osobistym.

Czuł odrazę przed dalszym działaniem, ale nie ośmielił się jej poddać. Drżącymi rękami odwrócił mężczyznę leżącego u wejścia do kabiny. Znalazł to, czego szukał, przypięte do nadgarstka bezwładnie spoczywającej ręki. Niezdarnie odpiął zatrzask, szarpnął pasek i wyjął dysk. Ledwie mógł znieść dotyk małego, metalowego krążka i paska, jeszcze ciepłego od ręki obcego.

Rozpaczliwie walcząc z samym sobą, zanurzył się w rzece i wypłynął poza zasięg oszałamiającego dymu, dążąc na miejsce, gdzie czekali pozostali. Położył kom na skale, nie mogąc znieść ani chwili dłużej jego dotyku, i powłókł się na bok targany raz po raz nudnościami.

Kiedy wreszcie powrócił, drżący i spocony, zastał tylko Jarvasa i dziewczynę. Jarvas oglądał w skupieniu komunikator, a na jego bezwłosej głowie gromadziły się kropelki potu.

— Gdzie są...? — rozpoczął ochrypłym głosem.

Illylle skinęła w stronę dogasającego ognia:

— Odesłali obcych z powrotem do portu; Rizak nastawił autopilota. Załadowaliśmy im fałszywego Ifta.

— Dlaczego?

— On twierdzi — wskazała na Jarvasa, który wciąż był pochłonięty zdobytym komem — że ich bezpieczny powrót dowiedzie naszej dobrej woli. Teraz, jeśli otrzymają od nas wiadomość, będą skłonniejsi w nią uwierzyć.

Ujrzeni wznoszący się fliter, który zawrócił i odleciał w stronę portu. Do grupy chwiejnym krokiem dołączyło dwu pozostałych Iftów. Oddychając z trudem, Rizak osunął się z odrzuconą w tył głową, z zamkniętymi oczami i do połowy otwartymi ustami. Ayyar był pewien, że nie znalazłby w sobie dość siły, by wejść do kabiny i nastawić autopilota.

Dlaczego przemiana zaszczerpiła w nich aż tak głęboką awersję do tych, którzy jeszcze niedawno byli ich własnym gatunkiem, ich krewnymi ciałem i krwią? Według Jarvasa stanowiło to, wprowadzone przez Iftów–biologów, zabezpieczenie odrębności gatunku, w celu utrzymania pół–Iftów wśród nowego gatunku na tak długo, dopóki nie będzie ich dostatecznie wielu, by nie groziło im powtórne wchłonięcie przez rasę, z której pochodzili. Jak jednak mieliby porozumiewać się z ludźmi, do których nie mogli się nawet zbliżyć, by nie odczuć zaburzeń — zarówno fizycznych, jak i psychicznych? Być może kontakt byłby możliwy jedynie za pomocą urządzeń takich jak to, nad którego uruchomieniem trudził się teraz Jarvas.

— Czy to będzie działać? — Illylle ośmieliła się w końcu zadać pytanie.

Twarz Jarvasa wydłużyła się i pobladła ze zmęczenia.

Nie opuścił swego miejsca przy skale i nie zaprzestał upartych prób.

— Jedyne, co możemy zrobić, to próbować — wymamrotał pod nosem.

Podniósł osłonę komu i miast przemówić do małego mikrofonu, trzymał nad jego powierzchnią dwie gałązki. Potem uderzał jedną gałązką o drugą, wydając dźwięk nic nie znaczący dla Ayyara.

Dwukrotnie powtórzył próbę, po czym nasłuchiwał, ale nie było odzewu. Przez chwilę zdawał się zdziwiony, jakby zawiodła go jakaś część głęboko zakorzonej pamięci. Uparcie, choć już z mniejszą pewnością siebie, spróbował raz jeszcze. Nagle kom przerwał mu, odzywając się niespodziewanie cienkim, metalicznym głosem:

— Vocors! Vocors! Co ty robisz? — ton pytania był zdecydowanie apodyktyczny, żądający natychmiastowej odpowiedzi.

Jarvas ponowił, nieco wolniej, stukanie.

— Vocors! Na Siódmego Węża, co się dzieje?

Potem zapadła zupełna cisza, uwalniając Jarvasa od konieczności dalszego wystukiwania kodu, który niegdyś pamiętał równie dobrze jak własne imię — Pate Sissions. Kiedy to było, i gdzie? A Pate Sissions nie był Iftem.

— Z pewnością to nagrali — zwrócił uwagę Kelemark.

— A gdy tylko rozkodują...

— Jeśli tylko będą w stanie — wyszeptał Rizak.

Wskazał na Jarvasa. Teraz stukanie stało się wolniejsze, a chwile niepewności przedłużały się i stawały coraz częstsze. Wydawało się, że im dłużej wysiła swą pozaplanetarną część pamięci, tym większy stawia ona opór.

W końcu odwrócił się z kwaśną miną.

— Obawiam się, że lepiej już nie potrafię. Miejmy nadzieję, że zrobiłem to lepiej, niż myślę!

Przygotował gałązki, ale ubiegł go metaliczny głos dobiegający z komu:

— Hej, ty, kimkolwiek jesteś — namierzylismy cię!

Rizak rzucił spojrzenie w górę, jakby obawiał się ujrzeć lądujących zwiadowców.

— Dlaczego nas ostrzegli? — zdziwił się Ayyar.

— Możliwe — odpowiedziała mu Illylle — że Jarvas wcale nie jest tak nieudolny, jak się obawia. Może już znaleźli kogoś, kto zna jego kod. Czy mamy poczekać na spotkanie?

Jarvas potrząsnął głową:

— Nie, dopóki nie dowiemy się więcej. Chociaż...

Gałązki, użyte poprzednio do nawiązania kontaktu, posłużyły mu teraz do innego celu. Mokre i oblepione popiołem ze spalonych krzewów stanowiły prymitywne narzędzie pisarskie. Symbole, jakie rozmieścił na skale wokół komu, nie pochodziły z żadnego ze znanych Ayyarowi pozaplanetarnych języków, lecz Jarvas widocznie musiał głęboko wierzyć w ich moc i skuteczność.

Odziani w peleryny, niosąc swe zawiniątka przewieszane przez ramię skierowali się na południe. Ayyar osłabł tak bardzo, że w czasie przerw w marszu kręcił się w kółko całkiem ogłupiały i zastanawiał się jak długo wytrzyma tempo narzucone przez Kelemarka. Gdzieś daleko przed nimi znajdowało się morze, a w głębi Pustkowieca cały czas coś złego snuło swe plany i rosło w siłę; był tego tak pewny, jakby to widział na własne oczy.

Odetchnęli swobodniej dopiero w zagajniku; nawet tak mały skrawek zieleni dawał wytchnienie. Ayyar spoczął na suchych, zeszlorocznych liściach, choć nie odważył się zmrużyć oka. Sen czał się tuż, tuż — powieki ciążyły, nie chciało się ruszyć ani ręką, ani nogą.

— Co oni teraz robią? Czy przylecą, by nas odszukać? — zapytała Illylle.

— Nie mam pojęcia. — Jarvas bezmyślnie skręcał w palcach kawałek wyskubanego mchu. — Nie mam żadnych wątpliwości, że nas namierzeli. Musieli także rozpoznać kod, w innym razie zaatakowaliby bez uprzedzenia. Niedługo zapewne nadleci fliter z uzbrojoną załogą i robotem do zadań specjalnych. Kiedy przylecą, przeczytają, co napisałem o komie, i to dowiedzie naszej dobrej woli. Nawet po upływie stulecia znaki wywoławcze zwiadu nie mogły się aż tak zmienić; będą mogli wysłać poza planetę wiadomość, że odnaleziono niejakiego Pate Sissionsa.

— Ależ to zajmie mnóstwo czasu! — zaprotestowała illylle.

— Niestety tak, ale nie widzę lepszego sposobu. A może ktoś z was?

Nawet Illylle musiała przyznać mu rację, ale Ayyar zauważył, że odwróciła głowę i powiodła wzrokiem wpatrując się w Pustkowiec. Był ciekaw, czy i ona miała uczucie, że są obserwowani przez kogoś wyczekującego na odpowiedni moment, by ich dopaść.

Nasłuchiwali, lecz kom się nie odzywał, a fliter nie nadlatywał. Ayyar czuł się zawiedziony, chociaż oczywiście naiwnością byłoby liczyć na błyskawiczną reakcję. Tak jak to ujął Jarvas — władze portu potrzebowały trochę czasu, aby wszystko solidnie sprawdzić.

Ledwie Iftowie dotarli na skraj wydm, dołączył do nich Lokatath. Jego policzek znaczyło świeże i wciąż krwawiące zadraśnięcie, wyglądające jak smagnięcie batem. Dyszał ciężko, jakby po długim biegu.

— Gromadzą się! — zahamował raptownie, łapiąc za krzak.

— Ci spoza planety?

Lokatath potrząsnął przecząco głową w odpowiedzi na pytanie Jarvasa. Wskazał podbródkiem na zachód.

— Mam na myśli przybyszy stamtąd.

— Ilu ich jest?

Lokatath wzruszył ramionami:

— Któż to wie? Nieustannie zmieniają miejsce pobytu, a teren wydaje się zmieniać ukształtowanie, aby ich ukryć lub nas zmylić...

— To niewykluczone — przytaknęła Illylle. — Nienazwane używa wielu niezwykłych sposobów. Tylko dłaczego przemieszczają się w dzień?

— Ponieważ czas działa na naszą niekorzyść; czy może być lepsze wytłumaczenie? — stwierdził Rizak. — Nienazwane jest świadome faktu, że jesteśmy gdzieś w pobliżu i że ostatniej jesieni nie byliśmy w stanie podążyć śladem naszych współplemieńców zza morza. Zaatakowało więc teraz, tak aby nasi pobratymcy po wylądowaniu trafili na działania

wojenne w toku. Mogą nawet zostać żywcem spaleni, zanim w ogóle dowiedzą się, że mają wrogów!

— A co z naszą wiadomością nadaną przez kom? Ayyar, zgodnie ze swym starym zwyczajem, snuł rozważania na głos. — Jeśli ci z portu zastaliby oczekujących nań fałszywych Iftów, to niewątpliwie uznaliby nasze działanie za pułapkę.

— Oczywiście — przyznał Jarvas. — Właśnie dlatego musimy dowiedzieć się, którędy ta horda wędruje i czy ma zamiar opuścić granice Pustkowia. — Uderzył prawą pięścią w drugą dłoń dla podkreślenia wagi swoich słów. — Gdyby tylko nasze wspomnienia były dokładniejsze! Myślałem, że słudzy Nienazwanego nie opuszczają Pustkowia, a tu masz, imitacje Iftów przekraczają rzekę.

— Nie zapominaj o Larshach, którzy pod rozkazami Nienazwanego przełamali Kłątwe. Co dowodzi jedynie, że wykonują wszystkie rozkazy swego pana — odparła Illylle. — Wszystko tak się zmieniło... Jedno z moich ostatnich wspomnień to walka z bielcem, którego rozplątałem u stóp Wielkiej Korony. Kiedyś nie ośmieliłyby się nawet wyć do księżyca na najdalszym skraju cienia Iftcanu — dodał Ayyar.

— Pytam jeszcze raz, co się stanie z ludźmi, którzy zbliżą się do komu? Nasza pułapka może nieoczekiwanie posłużyć realizacji planów wroga!

Jarvas zerwał się na równe nogi.

— I dlatego musimy ją czym prędzej zlikwidować! Jeśli teraz stracimy szansę powiedzenia im prawdy, staniemy się liśćmi unoszonymi bezwolnie przez wiatr, a nie posianym ziarnem. Musimy się rozproszyć. Myślę, że to Illylle jest najbardziej narażona na zainteresowanie ze strony Nienazwanego. Czegóż by Nienazwane nie dało za to, by mieć wpływ na Siewcę. Dlatego lepiej wracaj na brzeg morza, Illylle.

— Z tego samego powodu — wstała i popatrzyła na Jarvasa — także i ty musisz być ostrożny. Wprawdzie obecnie znasz mniej Słów i masz mniej Darów niż ja, ale przecież kiedyś byłeś w ich posiadaniu. Kto wie, czy Nienazwane nie zna sposobów na pobudzenie twojej pamięci. abyś nie wpadł w zastawione sieci.

Uśmiechnął się ponuro.

— Wszystko to prawda, ale jednocześnie również ja mógłbym najskuteczniej dogadać się z ludźmi z portu. Tak więc nie mam wyboru, muszę wrócić na miejsce planowanego lądowania i zrobić, co w mojej mocy. A teraz — zwrócił się ku pozostałym. — Rizak idzie ze mną, a Kelemark na brzeg morza z Illylle. Wy dwaj — spojrzal na Lokatatha i Ayyara — pójdziecie na zwiad; sami zdecydujcie, który z was na północ, a który wzdłuż rzeki.

— A na zachód? — zapytał Lokatath.

— Na razie odpuśćmy sobie zachód. Śledzenie nieprzyjaciela na jego własnym terytorium jest zbyt ryzykowne.

Uważam, że najpierw należy zorientować się, co planują ludzie z portu i osadnicy.

Odpięli zawiniątka, ale dla zamaskowania pozostali w pelerynach. Illylle i Kelemark obładowani zapasami wyruszyli na południe, reszta zaś na północ.

— Bracia, czujecie ten zapach? — Lokatath uniósł głowę i rozdał nozdrza, wciągając powietrze napływające z zachodu.

— Fałszywi Iftowie i jeszcze ktoś nieznany... — identyfikował zapachy Ayyar.

— Jeśli się zgodzicie, to ja przeprawię się przez rzekę — oznajmił Lokatath. — Znam tamte tereny.

Propozycja brzmiała sensownie.

Tak więc raz jeszcze Ayyar podążył na północ. Na początku miał wędrować wraz z Jarvasem i Rizakiem, by później, już na własną rękę, skierować się prosto przed siebie, kto wie, może aż do pozostałości Iftcanu?

Jasne słońce stało wysoko i przysparzało im dotkliwych cierpień, nawet jeśli cały czas pozostawali w goglach ochronnych z liści. Nie zaobserwowali najlżejszego ruchu, tylko od

czasu do czasu przelatującego ptaka lub przebiegające drogę zwierzątko zajęte własnymi sprawami. W dół strumienia spływały spalone kawałki drewna, niosąc ze sobą cuchnący odór śmierci. Ayyar nie wątpił, że niszczyciele lasu nie zaprzestali swej morderczej działalności. Czyż Iftowie mogli mieć jakąkolwiek nadzieję, że przewyciężą nienawiść i histerię osadników? Albo determinację mieszkańców portu?

— Na południowym wschodzie fliter!

Na ostrzeżenie Rizaka padli na ziemię, by się ukryć. Warkot wyprzedził samą maszynę o około dwóch sekund, tak więc dopiero po chwili dojrzeli fliter na zbyt jaskrawym tle nieba.

— Już za późno, abyśmy zdążyli dotrzeć na miejsce zanim wylądują — wymruczał Jarvas.

— Po stokroć za późno! — dodał Ayyar. I Dostał gęsiej skórki na dźwięk przeraźliwego ujadania, jakie dało się słyszeć od strony Pustkowia. Zanim uświadomił sobie cokolwiek, już trzymał dłoń zaciśniętą na rękojeści i wysunął miecz do połowy z pochwy. To bielce szły z nagonką.

Osadnicy mieli swoje psy gończe, a Nienazwane miało swoje. Jednakże bielce nie były psami w zwykłym rozumieniu tego słowa. Dawno temu musiał stawić im czoła, gdy osaczyły Illylle i jego na ziemi Wroga. Osaczały i polowały całym stadem, a zabić je można było tylko pojedynczo.

— Zbliżają się! — krzyknął Ayyar.

— Są na tropie... Spójrz! — Okrzyk Rizaka zabrzmiał znacznie głośniej.

Nadlatujący fliter był okazalszy niż ten, który zwabili na ziemię, by zdobyć kom; zbliżał się bardzo szybko. Lecz oto z samego serca Pustkowia zabłysnął promień, przeciął niebo, namierzył fliter i rozżarzył go w jednej chwili do białości.

Wszyscy trzej Iftowie padli na kolana, zasłaniając oślepienie na moment oczy. Ayyar uczył nagle ukłucie strachu.

Może naprawdę oślepli? Spod kurczowo zaciśniętych powiek płynęły bolesne łzy. Widział jedynie krwistą czerwień wypełniającą świat dookoła.

— Czy... czy to już po wszystkim? — dobiegło go pytanie Rizaka. Niechętnie otworzył oczy — nic tylko szkarłat. Ale poprzez niego jak przez mgłę majaczyła mu skała i zarośla. A więc nie oślepli!

Nie było słyhać warkotu flitera; maszyna musiała spłonąć w wiązce promieniowania bez śladu. Lecz nagle czyjaś ręka spoczęła ciężko na jego ramieniu i zaciśnęła się kurczowo i odciągnęła go na bok.

— Leci! Ciągle jeszcze leci... ląduje!

Wzrok Ayyara był nadal zamglony, ale i tak zorientował się, że Jarvas miał rację. Oślepiające światło zniknęło i mogli wreszcie dojrzeć lądujący fliter. Chociaż silnik zamilkł, to wydawało się, że pilot panuje nad maszyną. Do bólu podrażnionych oczu dołączyło się nieznośne dla uszu, przesywające przenikliwym skowytom i coraz głośniejsze ujadanie bielców. Ból działał jak ostroga. Ayyar zerwał się na równe nogi — biegł, zataczając się, rozpaczliwie próbując dotrzeć na miejsce lądowania flitera. W chwilach ciszy między przewiercającym mózgiem na wylot hałasem słyszał tupot stóp biegnących towarzyszy.

Nie miał pojęcia ani dlaczego biegnie, ani co ma zamiar uczynić, gdy już dotrze na miejsce. Wypadł na otwartą przestrzeń akurat w chwili, gdy fliter dotykał ziemi; nie pomyślał nawet, że może dostać się w zasięg blastera. Kiedy to do niego dotarło, zatrzymał się raptownie. Drzwi kabiny pozostawały zamknięte.

— Czy oni nie żyją? — Z prawej dosłyszał pytanie Rizaka.

— To możliwe. — Jarvas zaczął zbliżać się do maszyny; szedł niechętnie, na sztywnych nogach, walcząc z opornym ciałem.

Lecz zanim zdołał dotknąć flitera, drzwi kabiny odsunęły się. Z wnętrza wypełził na czworakach człowiek i z wysokości kilku stóp spadł na ziemię. Macając na oślep, natrafił na bok maszyny i wstał. Nosił mundur służby bezpieczeństwa portu i gwiazdę oficerską na

ramieniu. Wzrok miał utkwiony przed siebie; z pewnością nic nie widział, jak Ayyar kilka chwil wcześniej.

W ten sam bezradny sposób ukazał się następny człowiek, starszy cywil. Jęcząc zwałił się twarzą w dół, blokując przejście trzeciemu — młodemu człowiekowi w mundurze pilota.

— Z pewnością są w szoku — wyraził przypuszczenie I Rizak. — posłuchajcie!

Ujadanie bielców rozbrzmiewało teraz bardzo głośno i wyraźnie. Dla myśliwych z Pustkowie przybysze z portu stanowiłoby łatwą zdobycz. Jarvas złapał mocno młodego pilota za ramię.

— Bierzcie ich... musimy zabrać ich stąd... — rozkazał, ciężko oddychając.

Niesłuchanie trudno było przemóc się i zbliżyć do ludzi.

Ayyar wzdrygał się przed tym każdą cząstką ciała. Lecz musiał, koniecznie musiał przewyciężyć swoją odrazę; nie można było zostawić ich na pastwę bielców.

Złapał bezwładnie leżącą rękę starszego mężczyzny i pociągnął. Ku jego niezmiernemu zdziwieniu, mężczyzna wstał i posłusznie dał się wprowadzić Iftowi między skały, gdzie mogli mieć szansę obrony. Pozostali dwaj równie łatwo podążyli za Rizakiem i Jarvasem. Cały czas jednak zdawali się trwać w transie, wpatrując się bezmyślnie w przestrzeń jak roboty.

Z chwilą gdy wszyscy znaleźli się bezpiecznie między skałami, Iftowie ulokowali przybyłych w niszy i z wciągniętymi mieczami stanęli w pogotowiu u jej wylotu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wybrali swe schronienie w pośpiechu, ale do tej pory wszystko wskazywało, że był to trafny wybór. Nic nie zagrażało im z tyłu, gdyż za plecami mieli tylko Iftą skałę.

Z kolei wylot niszy był tak wąski, że na broniących mieczem dostępu Iftów nie mogłyby nacierać więcej niż dwa bielce na raz. Nie byłyby w stanie osaczyć ich całą sforą i ściągnąć w dół; chyba... że wysłano je z łowcami. Może nadszedł już czas, by stawić czoła fałszywym Iftom?

Ayyar cały zamienił się w słuch. Przez długą chwilę bielce nie dały znaku życia. Słyszał tylko szum rzeki i inne zwykłe dźwięki. Dlaczego Wrogowie nagle zamilkli?

Z zaskoczenia omal nie zachłysnął się powietrzem. Ze swego miejsca mógł dojrzeć fliter — coś białego i wysmukłego, o wąskiej głowie i długich kościstych nogach, pojawiło się w polu widzenia. Okrążyło maszynę wysuwając przed siebie głowę i barki, wężąc w kierunku otwartej kabiny. Bielec zbliżył nos do śladów pozostawionych przez ludzi. Teraz odwrócił głowę, aby spojrzeć na skały, i ujrzał czekającego Ifta. Otworzył pysk i wywiesił cienki, blady ozór. Odrzuciwszy łeb do tyłu zawył wysoko i przeraźliwie, przygotowując Ifta o ból uszu i wwiercając się w jego umysł.

Wysławszy swoje wezwanie, potruchtał nieco do przodu i przysiadł na zadzie, daleko poza zasięgiem miecza. Uwagę Ayyara przyciągnął ruch z tyłu. Rizak niezgrabnie gmerał przy pasku człowieka, którego ocalił. Drżące palce, zmuszone siłą woli, zacisnęły się na kolbie blastera. Nienaturalnie i niezgrabnie uniósł rękę, jakby broń w jego dłoni ważyła z tonę.

Oparł lufę na szczycie skały celując w bielca i wypalił.

Ogień oślepił i poraził ich oczy bólem, którego gogle nie były w stanie dostatecznie osłabić. Wiązka promieniowania zabiła bielca natychmiast, tak że nie zdążył nawet wydać głosu. To, co po nim pozostało, przypominało powykęcane korzenie uschłego drzewa. Ayyar podciągnął gogle i potarł piekące oczy. Naciągnąwszy z powrotem osłonę, czekał w napięciu na odpowiedź kompanów wezwanych przez bielca.

Rizak wykończył zwiadowcę stada, ale był on zaledwie jednym z wielu. Kto wie, czy blaster poradziłby sobie równie skutecznie z robotem?

— Ruszamy na brzeg rzeki, na południe — niespodziewanie rozkazał Jarvas.

Ayyar, przerażony i skonsternowany, pomyślał, że opuszczenie nawet tak mizernego schronienia dla otwartej przestrzeni zakrawało na szaleństwo. Z drugiej jednak strony bierność oczekiwania na nieznanie niebezpieczeństwo groziło zbyt wielkim ryzykiem.

— Chodź! — Jarvas przemówił do policjanta we Wspólnej Mowie, a następnie uniósł jego rękę i położył sobie na ramieniu. Teraz jednak Ayyar zauważył, że oczy tej pozornie nieruchomej twarzy skupiają się na Jarvasie; zaśniło w nich coś jakby przebłysk inteligencji i zrozumienia sytuacji.

Prowadząc obcych zeszli po stromym zboczu na pokryty lodem żwir na brzegu wody.

— Uwaga! — Ayyar padł, pociągając swego podopiecznego na ziemię.

Rizak nie potrzebował ostrzeżenia; przemiótł promieniem blastera po sylwetkach zachodzących ich od południa, aż skrzyły się w ogniu. Trzy bielce zamilkły na zawsze.

— Czym... czym... kim jesteście?

Głos przemawiający z wahaniem we Wspólnej Mowie wstrząsnął Ayyarem. Nawet w krótkim czasie przywykł myśleć o obcych jako o istotach na pół ożywionych, nie roszczących sobie prawa do udziału w decydowaniu. Spojrzał na człowieka, którego zwał właśnie z nóg. Był starszy od pozostałych dwu towarzyszy i patrzył całkiem przytomnie. Uniósł rękę i wyciągnął ją po broń. Jarvas uprzedził go:

— Wstań, jeśli możesz. Zaraz nadsiągnie reszta sfory!

Ani jednego ostrzegającego szczeknięcia bielca, tylko mignięcie sylwetki między skałami. Rizak wrzasnął z bólu, w jego ramieniu drżała wbita strzała. Upuścił blaster, w tej samej chwili Ayyar złapał go i wysłał wiązkę wprost w zielono odzianą postać stojącą na skałach, która nie upadła nawet gdy ogień skręcił na niej ubranie.

— W głowę! — krzyczał Jarvas. — Celuj w głowę!

Celować? Problemy stwarzało samo utrzymanie broni obcych w dłoni. Próbując opanować się, oparł drżącą lufę na przedramieniu. Drugie uderzenie wiązki przeszło przez głowę łucznika, ale nie stracił on równowagi, tylko począł poruszać się wprzód i w tył małymi, podrygującymi krokami.

Na koniec niezborne ruchy zawiodły go na szczyt klifu, gdzie runął w dół i roztrzaskał się, niknąc im z pola widzenia.

Wówczas następna strzała uderzyła w głaz tuż obok ramienia Ayyara. Nie było sensu narażać się i maszerować dalej na południe.

— Z powrotem, w górę strumienia!

Człowiek, który przemówił, zerwał się na równe nogi i wykonał rozkaz Jarvasa, jakby był jednym z nich. Wyciągnął blaster i wycelował w cicho skradające się w dół zbocza bielce. Dłoń Ayyara drżała tak, że nie był w stanie prawidłowo celować, więc po prostu posłał wiązkę przemiatając w poprzek przez skały.

Atak skończył się równie nagle jak się zaczął. Między skałami nic więcej się nie poruszało, a charakterystyczna przygnębiająca atmosfera, znamionująca nadzór Nienazwanego nad swymi sługami, minęła.

— Kim jesteście? — Kolejny raz człowiek z portu zażądał odpowiedzi. Tym razem wszyscy trzej stali w zasięgu jego blastera.

— Jesteśmy Iftami z Lasu — odparł Jarvas.

— Następne roboty... — Pilot wytrącił blaster z ręki Ayyara.

— Nieprawda. Wasze roboty są tam — Jarvas wskazał na zachód. — Właśnie widzieliście je i ich psy gończe w akcji.

Pozostawiliśmy wam jednego, abyście poznali prawdę...

— Jak moglibyśmy wam uwierzyć!

— Hanfors! — przerwał ostro trzeci z przybyszów, oficer. — Kto nadawał te sygnały? — i powtórzył długą sekwencję cyfr.

— Dwa, siedem, dziewięć — dodał Jarvas. — Pate Sissions. Pierwszy Zwiadowca.

— Gdzie on jest? — zażądał odpowiedzi pilot.

— Jest z nami; przesłał tę wiadomość — odparł Jarvas.

— My nie jesteśmy robotami, ani też nie mamy przymierza z ich władcą, Nienazwanym. Stworzył je, aby popsuć stosunki między nami a wami, przybyszami spoza planety.

Mężczyzna, który powstrzymał wybuch Hanforsa, opuścił swój blaster o cal lub dwa. Spojrzał pytająco na najstarszego z ich grupy, który odezwał się w te słowa: I — Ściągnęliście nas na dół, by nam to powiedzieć?

— Nie. To Nienazwane sprowadziło was na ziemię, jako łatwy łup dla Jego sług.

— A czymże jest to Nienazwane?

— Nie potrafię dać wam odpowiedzi. Wiemy tylko, że Nienazwane jest prastarą mocą, która od wieków powstaje przeciw naszemu narodowi. Tym razem posługuje się wami przeciw nam.

— Nami?

— To przecież wy palicie Las, wydzieracie z ziemi jego korzenie! Dlaczego?

Hanfors prychnął pogardliwie.

— Dlaczego? Wypędzamy z nor robactwo, które najechało na osady, was... Iftów, czy jak tam siebie nazywacie.

— To nie Iftowie napadli na was.

Hanfors zwrócił się do pozostałych:

— Bądź co bądź mamy jeńców. Weźmy ich ze sobą, a po przesłuchaniu dowiemy się prawdy. Przygotuję fliter do lotu, a wy przyprowadzicie więźniów.

Schował blaster do kabury i zbiegł po stoku do maszyny.

— Złóżcie teraz swoje miecze na ziemi — powiedział starszy mężczyzna.

Rizak podtrzymał zranione ramię drugą ręką, wokół beltu strzały rosła ciemna plama. Jarvas odpiął biegnący przez ramię pas i opuścił broń na ziemię.

Zapytał:

— Czy pozwolisz, że obejrzę jego ranę?

— W porządku, najpierw jednak odbierz mu broń.

Miecz Rizaka dołączył do poprzednika. Wówczas Jarvas położył rękę na sterczącym drzewcu strzały.

— Ty też! — Pilot patrzył na Ayyara. — Połóż swój miecz obok.

Ayyar właśnie niechętnie unosił rękę, aby zdjąć broń, gdy z flitera dobiegło ich wołanie. Hanfors opuścił kabinę flitera i przybiegł pędem.

— Nie damy rady wystartować, instrumenty pokładowe nie działają.

— Wyślij wezwanie — zasugerował starszy mężczyzna.

Hanfors pokręcił przecząco głową. — Nic nie działa; ani napęd, ani łączność, nic...

— Możesz to naprawić?

— Niby co naprawić? — zapytał opryskliwie Hanfors.

— Nie ma tam żadnej widocznej usterki.

— Żadnej usterki poza tą, że nic nie działa — skwitował trzeci mężczyzna. — Jeśli tak, to również wiązka naprowadzająca portu nas nie widzi, a więc przylecą nas szukać.

— Ba, ale kiedy, Steffney? — starszy mężczyzna rzucił . czujne spojrzenie na Jarvasa, który próbował wyciągnąć strzałę z ramienia Rizaka. — Nie wydaje mi się, aby było to szczególnie dobre miejsce do lądowania. Byłbym za wyruszeniem na północ. Brygada karczująca po tej stronie rzeki musiała nas namierzyć gdy przelatywaliśmy opodal. Oni będą nas szukać pierwsi. — Mamy także to — stuknął palcem w blaster. — Wydaje się, że broń używana przeciw nam rzucił sarkastyczne spojrzenie na miecze i złamaną strzałę jest mało skuteczna. No, i teraz, mamy trzech zakładników.

— Trzech więźniów. Ty, rzuć ten miecz! — rozkazał Steffney Ayyarowi. — Nie mamy przed sobą zbyt długiego marszu, a i to cały czas wzdłuż rzeki.

Starszy mężczyzna popatrzył w górę strumienia, a potem na resztki bielców. Ayyar wiedział, co tamten myśli, zupełnie jakby mógł czytać w jego umyśle. Dotąd nie zaznali strachu, szybując wysoko ponad ziemią: ani unosząc się nad Lasem noszącym ślady woli i determinacji ludzi, ani nad nic nie znaczącym dla nich Pustkowiec. Teraz zostali ściągnięci na ziemię i wciągnięci w utarczkę z nieznanym wrogiem, a to już coś całkiem innego. Nagle dotarł do nich ogrom Pustkowiec, a Las nie był już tylko drobną przeszkodą, stojącą im na drodze — zostali poskromieni w swej pysze.

Nie w smak im było wędrować na północ poprzez dzikie tereny, prowadząc więźniów, nie mając pewności, czy coś złego nie podąża za nimi trop w trop.

— Ten teren nie jest wcale tak opustoszały, jak wam się wydaje; przebywa tam Nienazwane i jego słudzy.

Jarvas, który musiał chyba też czytać w myślach ludzi, miał najwidoczniej zamiar wykorzystać je dla zbudowania płaszczyzny wzajemnego zrozumienia.

— Mamy was, i to wystarczy, nikt nas nie zaatakuje... — wyszczerzył zęby w uśmiechu Hanfors.

— Jeśli tak, to skąd wzięła się ta strzała? — zapytał Ayyar. — Czyżby to nasi towarzysze strzelali do nas? Jeżeli tak, to w jakim celu?

Starszy mężczyzna uśmiechnął pod nosem:

— Na te pytania dość łatwo odpowiedzieć. Mogliście być tu przysłani, aby ściągnąć nas na dół, pomóc w ucieczce i zyskać nasze zaufanie.

— Odpowiedź jest prosta, popatrzcie na rannego — wtrącił się Steffney. — Jeśli to robot, to żaden problem ranić go. Mogli poświęcić robota dla uprawdopodobnienia historii.

To skaleczenie na jego ramieniu to drobiazg nie wart większej uwagi. Inspektorze Brash, może pan mieć rację.

Jarvas wzruszył ramionami.

— Nie ma sposobu, by przekonać kogoś, kto nie chce słuchać argumentów. Powtarzam, że dla każdego stamtąd nie jesteśmy zakładnikami, lecz wrogami, a więc nie możecie użyć nas jako osłony.

— Być może, ale z pewnością i tak będzie z was jakiś pożytek — oświadczył Steffney. — Teraz ruszajmy w drogę!

Ayyar z ociąganiem oddał miecz, obserwując, jak Hanfors zebrał je wszystkie razem i przewiesił przez ramię. Poganiani niecierpliwym ruchem blastera w dłoni Steffneya rozpoczęli wędrówkę wzdłuż rzeki. Od czasu do czasu docierał do nich słaby zapach tłącego się drewna, przypominając o zagładzie Lasu.

Jeszcze nie stracili z oczu flitera, gdy Ayyar poczuł, że Nienazwane ponownie skupiło na nich swoją uwagę. Nie zauważył najlżejszego ruchu, nie było słyhać ujadania bielców. Wprawdzie przybysze spoza planety nie byli ani zwiadowcami, ani mieszkańcami lasów, lecz zachowywali najwyższą ostrożność.

Jarvas docierał już do rzeki, Rizak podążał tuż za nim, a Ayyar szedł najbliżej obcych. Zaczął rozważać możliwości ucieczki. Załóżmy, że opóźniłby marsz, skupiając uwagę Steffneya na sobie... Czy Jarvas wykorzystałby moment nieuwagi i skoczył do rzeki? No, i czy woda zapewniłaby mu dostateczną ochronę przed ogniem blastera? Nie bo w tej samej chwili z prawej wyprzedził go Hanfors; szedł teraz o krok za Jarvasem. Rizak wprawdzie nie narzekał głośno, lecz musiał chyba być poważniej ranny niż przypuszczali, gdyż utykał od czasu do czasu, wspierając się na Jarvasie. Gdyby mieli choć cień szansy na zaplanowanie jakiejś akcji...

Musieli znajdować się dalej niż o dzień marszu od zdewastowanych obszarów Lasu. Gdy nadejdzie noc, zdobędą pewną przewagę, widząc w ciemności. Wątpliwe jednak, aby Nienazwane zaprzestało dalszych napaści i pozwoliło im poruszać się cały czas swobodnie. Z drugiej strony, nawet jeśli byli pod stałą obserwacją, to droga do Zwierciadła biegła tak niedaleko...

Nie! Umysł jego przeszył rozkaz nie mniej stanowczy, niż gdyby został wykrzyczany na głos. Nie sprowadza się wroga wprost do źródła swej siły. Zwierciadło służyło im w walce przeciw Nienazwanemu, ale jeśli zjawią się z obcymi, odmówi im swej opieki. Odraza do niegdysiejszych pobratymców wzrosła tysiąckrotnie.

Słońce powoli zachodziło, a Jarvas podpierający Rizaka szedł coraz wolniej, mimo ponagleń poganiających ich strażników. Na czoło wysunął się Brash, który raptem zatrzymał się i spojrzął ku zachodowi.

— Słyszycie to?

Czy dobiegł ich dźwięk, czy też coś innego, trudnego do określenia? Jedyne Ayyar zdążył zidentyfikować niebezpieczeństwo, a i to tylko dlatego, że już niegdyś stawiał mu czoła. Skrzydlaty cień w powietrzu, jeden z posłańców Nienazwanego. Gdy tylko zniżył swój lot, Brash zakrył uszy rękami potrząsając gwałtownie głową. Gdzieś z tyłu nadbiegł krzyk Hanforsa.

Ayyar szarpnął się w tył, wpadł na pilota i obaj runęli na ziemię. Starł się powstrzymać towarzysza od nieprzemyślanych działań, ale uderzył głową o skałę i pochłonęła go czarna noc, nieprzenikniona nawet dla oczu Ifta.

Świadomość powracała powoli. Wleczono go i czuł się chory, bardzo chory! Zaprotestował głośno lub tylko mu się wydawało, że to zrobił. Tak czy owak nic się nie zmieniło.

Nadal ciągnięto go w tym samym kierunku. Walczył ze słabością próbując uporządkować doznania, zrozumieć co się dzieje.

W końcu z wielkim wysiłkiem otworzył oczy. Wisiał między Hanforsem a Steffneyem; przed nim poruszał się Brash. Wokół cień i światło pulsowały w niezrozumiałym rytmie; kręciło mu się w głowie.

Nigdzie nie dostrzegał Jarvasa ani Rizaka. Schronili się w wodzie czy zostali porażeni przez blastery? Nadal maszerowali wzdłuż rzeki, lecz gdy jego myśli się nieco rozjaśniały, uderzyła go zmiana, która zaszła w towarzyszach. Poruszali się wprawdzie z łatwością, ale wyglądali jakoś dziwnie. Brash nie rzucał już oczami na lewo i prawo, nie okazywał ani śladu uprzedniej czujności. Szedł, nie zwracając uwagi na ziemię pod stopami, ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie, jakby pochłonięty myślą o oczekującym celu.

Przypomniał sobie chwilę przed nadejściem latającego stworzenia będącego przedłużeniem oczu Nienazwanego. Znał je, gdyż kiedyś wraz z Illylle musieli stoczyć z nim potyczkę.

Stwór oddziaływał na psychikę swych potencjalnych ofiar — a to, co nie najlepiej udało mu się z Iftami, podziałało bezbłędnie na ludzi z portu. Znaleźli się oni całkowicie pod wpływem Nienazwanego!

Nie robili przerw na odpoczynek; cały czas szli równym krokiem jak nie znające zmęczenia roboty. Ayyar nie walczył z tym, co go pochwyliło; jedyne na co mógł się zdobyć, to nie zapominać o nienawiści do Nienazwanego i starać się utrzymać umysł w równowadze.

Nie było słycać wyjących bielców, jedynie z północy dudniący łoskot ciężkich maszyn. Musiało to coś oznaczać dla tych, z którymi wędrował, gdyż nagle jak na dany rozkaz wszyscy się zatrzymali, twarzami zwróceni na północ, skąd dobiegał dźwięk. Stawał się on coraz głośniejszy i przeraźliwszy.

Z drugiej strony rzeki dochodziły słabe krzyki ludzkie.

Z rzadko zalesionego obszaru dało się słyszeć trzeszczenie drzewek i zarośli miażdżonych przez potężną maszynę, niszczącą wszystko na swej drodze. Co najdziwniejsze, Ayyar nie wyczuwał ani zapachu karczownika, ani płomieni, lecz coś wyjątkowo nie na swoim miejscu w tych dzikich ostępach. Odnosił mianowicie dziwne wrażenie, że jakiś statek kosmiczny wylądował tu przymusowo i zbliża się w jakiś tajemniczy sposób czołgając jak wąż, przez zarośla.

Była to barka towarowa, wystarczająco silna, by udźwignąć ciężko załadowaną ciężarówkę, wyposażona w dźwig i inne urządzenia używane przy przenoszeniu ładunków na pokład. Maszt, na pół obdarty z lin, sterczał krzywo osadzony, a oplątane wokół niego widniały uschłe, zimowe witki dzikiego wina. Wyżej zamiast flagi zwisały poszarpane gałęzie drzewa. Takie same resztki wypełniały każdą szczelinę maszyny, z trudem torującej sobie drogę wśród lodu na brzegu rzeki. Pomimo silnego prądu, który nią wstrząsał i miotał, parła przed siebie z największą determinacją. Prąd zepchnął maszynę w dół rzeki, lecz nadal posuwała się ona nieustępliwie naprzód, teraz pod takim kątem, że gdyby udało jej się wreszcie wykorzystać całą siłę płynącej wody, to powinna niedługo zbliżyć się do nich. Ayyar ledwie mógł uwierzyć swoim oczom. Ślepa determinacja ładowarki była zadziwiająca, tym bardziej że w resztkach sterówki nikogo nie było. Zdało się, że maszyna żyje własnym życiem!

Wrzawa, którą słyszeli, rosła w miarę jak ładowarka walczyła o przepłynięcie rzeki. W końcu poprzez zmiażdżoną roślinność dojrzeli miotacz ognia, z wylotem przykrytym tymi

samymi resztkami co ładowarka, wprawdzie nie plujący płomieniem, ale z lekko zakrzywioną lufą wycelowaną wprost w Pustkowie.

Dno ładowarki, obmyte przez prąd z większości zanieczyszczeń, osiadło na mieliźnie; fala uderzyła o brzeg. Przez cały ten czas towarzysze Ayyara stali, gapiąc się przed siebie. Nie był pewien, czy widzą co się dzieje; nie okazywali zdziwienia ani zdenerwowania z powodu przybycia maszyny.

Miotacz ognia wychynał na otwartą przestrzeń i wciąż wycelowany w Pustkowie, począł niezgrabnie poruszać się w kierunku zachodnim. Wtedy z wycinki w lesie wyłoniła się trzecia maszyna — karczownik z uniesionymi w górę zębatymi łopatami, służącymi do rycia w ziemi — i powędrowała w tym samym kierunku. Ładowarka poruszając się z wielkim trudem zamknęła ten pochód.

Krzyki zza rzeki, podążając w ślad za ładowarką, zbliżyły się i nagle ujrzeli poruszające się w ciemności płonące pochodnie. W tej chwili Brash i pozostali dwaj prowadzący Ayyara ruszyli w górę zbocza, za trzema maszynami z trudem torującymi sobie drogę ku Pustkowiui. Nie odwrócili nawet głów, by ujrzeć, jak pochodnie docierają do rzeki.

Ayyar uczynił to.

Nie wierzył, aby osadnicy, słabo przecież widzący w nocy, dostrzegli ich z takiej odległości. Poruszali się tam i z powrotem wzdłuż brzegu rzeki. Było ich bardzo wielu i Ayyar widział światło odbijające się od powierzchni metalu. Błyszczące kosy, siekiery i długie maczety używane do torowania sobie drogi wśród zarośli mogły być także bronią w rękach zdesperowanych i zdeterminowanych ludzi.

Możliwe, że dojrzano ich, gdy wdrapali się na wierzchołek wzgórza i przecinali na przełaj koleiny na lewo od ładowarki, gdyż okrzyki wzmogły się. Ayyar jednak, nie mogąc już dłużej opierać się nielitościwemu przymusowi, który uczynił z niego więźnia, nie widział już, co dzieje się za nim.

Teraz wszakże nie byli już sami; pomiędzy śmietniska zmiażdżonych przez maszyny roślin wyszli ludzie, ubrani w typowe ubrania noszone w porcie. Szli miarowo, wbijając wzrok przed siebie jak towarzysze Ayyara. Najwidoczniej znaleźli się pod wpływem jakiejś dominującej siły.

Ayyar zeszywniał, wbijając stopy jak tylko mógł najgłębiej w koleiny, starając się wyrwać spod wpływu tego, co ciągnęło go ze sobą. Równie bezsensowne byłyby próby zatrzymania w pojedynkę tamtej barki. Chwył nawet nie zelżał; podążali dalej przed siebie.

Czyżby Nienazwane gromadziło armię posłuszną swej woli?

Krzyki znad rzeki nie wyjaśniły Ayyarowi, czy osadnicy sami zdecydowali się wejść do wody, czy też zostali schwytani w sieć Nienazwanego. Jedyne, co mógł, to walczyć ze wszystkich sił o swoją własną wolność, zapierając się nogami i szarpiąc, bez większych jednak nadziei na powodzenie.

Dwóch mężczyzn spośród podążających za maszynami, przyłączyło się do grupy Ayyara. Nie wymienili nawet spojrzeń, nikt nie przejawiał najmniejszego zainteresowania nowymi towarzyszami. Obaj nowi nosili policyjne mundury i blastery schowane w kaburach, jakby sytuacja nie budziła ich obaw. Monotonny marsz wpłynął uspakajająco na Ayyara, jakby znalazł się w towarzystwie ludzi niepokonanych i nieśmiertelnych.

Nagle jedna z maszyn stoczyła się do rowu i było oczywiste, że sama nie da rady się podnieść. Hanfors i Steffney, pociągając Ayyara za sobą, skęcili ostro w lewo. Inni też podążyli prosto do unieruchomionej maszyny i nie szczędząc sił próbowali ją podnieść, lecz na próżno. Nadeszło jeszcze kilku ludzi z portu o twarzach pozbawionych wyrazu i natychmiast zabrało się do roboty. Po nich zjawiono się czterech, pięciu brodatych osadników w szaroburym odzieniu ociekającym wodą, jakby uciekli powodzi.

Nie zamieniwszy ani słowa wszyscy razem wzięli się do uwalniania ładowarki. Rycząc i ryjąc ziemię gąsienicami maszyna walczyła o wyzwolenie. Wreszcie znalazła punkt

zaczepienia, posunęła się do przodu, jeszcze trochę, podciągnęła się do pionu — i ruszyła, zostawiając ludzi leżących bezsilnie i z trudem łapiących oddech. Kto jednak dał radę powstać, ruszył natychmiast śladami maszyny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ayyar i jego dwaj strażnicy znów podążali tym samym mechanicznym krokiem za grupą ludzi, która uwolniła maszynę. Trzymali się końca owego niejednorodnego zbiorowiska ludzkiego dążącego wprost do serca Pustkowia. Na północy wznosił się okryty cieniem stok góry okalającej Zwierciadło.

W tej jednak chwili zdawała się ona równie daleka i niedostępna jak księżyc na niebie.

Maszyny wlokły się nierówną drogą powoli, ryjąc w miękkiej glebie głębokie koleiny. Posuwali się przez okolicę, którą niegdyś zmył i oczyścił potop wylany przez Zwierciadło. Nadal była to naga pustynia, a panoszące się zło pozostawiło na niej swe ślady jak ogniska trądu.

Dalej naprzód. Stworzenie będące sługą Nienazwanego polatywało to tu, to tam nad bezładnym zbiorowiskiem ludzi i maszyn. Jeśli nawet bielce lub fałszywi Iftowie przemierzali tę ziemię, to nie dawali znaku życia.

Ayyar zaprzestał walki; starał się gromadzić siły na wypadek jakiejś niespodziewanej szansy ucieczki. Umysł miał już całkiem jasny, czujnie obserwował zarówno okolicę, jak i ludzi dookoła.

Musiało być blisko północy; Księżyc promieniujący niezdrową bledością widniał jakby wyżej niż zwykle. Przybysze spoza planety na dobrą sprawę nie powinni prawie nic widzieć w mroku, a jednak zdawało się, że cel, który zjednoczył jego strażników, uczynił ich nieczułymi na zmiany dnia i nocy. Raz po raz, to tu, to tam ktoś walił się ciężko na ziemię, lecz zaraz wstawał i ruszał przed siebie, nieświadom upadku.

Przypuśćmy, że jeden lub obaj jego strażnicy stracą równowagę. Czy potrafi wciągnąć ich w jakąś pułapkę? Ayyar począł śledzić drogę przed sobą w poszukiwaniu jakiejś dogodnej dziury lub nierówności terenu. Na własnej skórze odczuł, że nie ma sensu próbować zejść ze szlaku dalej niż na szerokość wyciągniętego ramienia.

Nagle znów się zatrzymali; ludzie z przodu zgromadzili się wokół maszyny, jak zaalarmowani jakimś sygnałem. Tym razem karczownik przechylił się i utknął w miękkiej ziemi, podobnie jak poprzednio ładowarka. Osobliwa armia otoczyła maszynę, próbując ze wszystkich sił uwolnić ją z pułapki. Nagle... na widok tego, co się stało, Ayyar aż wstrzymał oddech z przerażenia.

Jeden z pchających ludzi wpadł pod gąsienice karczownika, ale żaden z jego najbliższych towarzyszy nie kiwnął nawet palcem, by mu pomóc. W tej samej chwili maszyna zdołała ruszyć i po prostu przejechała po nim. Ludzie stali wokół ze zwieszonymi beczynnymi rękami, z twarzami bez wyrazu i oczami utkwionymi gdzieś przed siebie, podczas gdy karczownik gramolił się naprzód. Gdy tylko maszyny wyprzedziły ich, podjęli znowu marsz.

Człowiek, który wpadł pod gąsienice, nawet w obliczu śmierci nie wydał z siebie głosu. Jeżeli fałszywi Iftowie byli robotami, to ci tutaj, dawniej ludzie, wydawali się jeszcze bardziej obcy — bo czymże się stali?

Odraza, jaką czuł do przybyszy spoza planety, wzrosła stukrotnie. Czy Larshowie też byli tacy? Ze wszystkich sił starał się zmusić pamięć do posłuszeństwa. W takim otoczeniu Naill zdawał się brać górę nad Ayyarem; spojrzawszy więc na ludzi i maszyny oczami Nailla.

Blokada mentalna! Słowa te wyłoniły się z pamięci Nailla, ale co oznaczały? Jak głośno plotki, istniały narkotyki pozwalające stworzyć z żyjącego stworzenia bezrozumnego robota. Wyłączały one skutecznie wolną wolę i osobowość, a tak spreparowanej rzeczy trzeba było rozkazywać nawet, by jadła czy podtrzymywała inne procesy życiowe ciała, niezbędne dla utrzymania ciała przy życiu i w dobrej kondycji. Jednakże ludzie idący wraz z nim nie dostawali narkotyków, a w każdym razie nie dostali ich jego strażnicy.

Lewa, prawa, lewa, prawa... Ayyar nagle zdał sobie sprawę, że maszeruje noga w nogę z innymi. To... prawa... to znaczyło... idź... bądź jednością... z nimi... z Nienazwanym...

Z Larshami — zaprzeczyła druga część jego pamięci, walcząc rozpaczliwie o władzę nad umysłem. Żaden Ift nie dzieli umysłu z Larshami!

Naill–Ayyar był rozdarty pomiędzy dwu, którzy w nim stali się jednością. Naill pragnął zjednoczyć się z resztą ociężale maszerujących towarzyszy, podczas gdy Ayyar czuł tylko strach i głębokie obrzydzenie do nich. Gdyby Naill zdobył przewagę, oznaczałoby to porażkę, dlatego musiał trzymać się kurczowo Ayyara, jak człowiek niesiony przez wezbrane wody czepia się płynącej kłody. Był Ayyarem z Ky–Kyc, ongiś Kapitanem Pierwszego Kręgu, który mieszkał w Iftcanie. Tamto miasto... Iftsig...

Bliski ogłuszenia, uczeplił się kurczowo wspomnienia o Iftsidze, schronieniu i ostoi, odwiecznej sile. Zaledwie kilka dni temu karmiła go swoim sokiem. Był przyjacielem Wielkich Koron, Lasu, a nie tych, którzy unicestwiali to piękno.

Jak ktoś, kto wychynał z mrocznego dymu na świeże powietrze, tak Ayyar siłą woli wydobył się spod wpływu Nailla, który tak zdradziecko wydał go na pastwę Nienazwanego. Nie ośmielił się zwlekać chwili dłużej, gdyż prowadzony przez swych strażników z każdym krokiem, zbliżał się do tego, co nimi zawładnęło.

Celowo zmylił krok; nie ośmielił się ponowić próby wyzwolenia swego ciała spod ich wpływu, lecz znów począł pilnie przyglądać się ziemi pod stopami. Z braku czegokolwiek lepszego, zdecydował się na uschłe krzewy. Część ich została zawleczona przez gąsienice maszyny wprost na środek drogi. Na lewo od koleiny sterczał pień akurat na wysokości łydki maszerującego człowieka. Powoli, cal po calu, Ayyar kierował swych strażników tak, aby pień zahaczył Hanforsa. Cała jego nadzieja została teraz ulokowana w czymś tak mizernym! Przez chwilę zaprzestał walki; niech się odprężą i zrelaksują.

Już prawie... prawie... Wyglądało na to, że zaplanował wszystko nawet lepiej, niż przypuszczał. Hanfors szedł teraz w lewej, głębokiej koleinie, a Steffney w prawej. W ten sposób Ayyar znajdował się pośrodku, nieco ponad nimi, na nie zrytej ziemi, a to utrudniało ich zadanie. Czekał, czy nie zmienią swych pozycji, co zniweczyłoby jego plany, lecz nie uczynili nic. Teraz, jeśli tylko Hanfors wejdzie na złamany krzak... Ayyar czekał gotowy by wykorzystać nadchodzącą sposobność...

Trzy kroki... dwa... teraz!

Ułamany kikut drzewa zaczepił o gołęń Hanforsa. Szczęście sprzyjało Ayyarowi, gdyż pień okazał się mocno osadzony w ziemi, nie do wyrwania. Mężczyzna potknął się i runął do przodu, Ayyar zaś w tym samym momencie z całą siłą szarpnął się w tył.

Wyrwał się młodemu pilotowi, ale Steffney wciąż trzymał go mocno z prawej. Okręcił się i wyrzwał w bezbronną twarz najmocniej, jak tylko potrafił. Teraz i Steffney padł na ziemię, a Ayyar cofnął się o krok lub dwa. Odwrócił się i pognął przed siebie, oczekując lada moment odgłosów pogoni. Być może upadek i cios w twarz zwolniły refleks tamtych, gdyż po kilku chwilach napięcia zrozumiał, iż nikt go nie ściga.

Dokąd teraz? Przed siebie, nad rzekę, gdzie na drugim brzegu zgromadzili się osadnicy? Na północ, do Zwierciadła? Czy na południe, ku morzu? Tam mógłby chociaż liczyć na spotkanie współplemieńców, a może i Jarvasa z Rizakiem, jeśli tylko udało się im uciec.

Przebył już szczęśliwie jedną trzecią drogi z powrotem, cały czas zbaczając ku południu, gdy jakiś ruch z przodu nakazał mu niezwłocznie się ukryć. Próbował coś dojrzeć lub zwęszyć. Może bielce i fałszywi Iftowie patrolują razem brzeg? Nie było słychać ujadania.

Nie! Ledwie się opanował, by nie wykrzyknąć na głos. Nadchodziła następna grupa spoza Pustkowia; osadnicy niosący siekiery lub inne ostre narzędzia mogące służyć za broń. Oni również, jak poprzedni, poruszali się tym samym głucho brzmiącym, równo odmierzonego krokiem. A pośród nich... Iftowie! Czy byli to fałszywi Iftowie, prowadząc jeńców?

Nagle Ayyar ujrzał twarz najbliższego strażnika... Jarvas!

Może stał się na powrót Pate Sissionsem i stąd wzięła się większa podatność na wpływ nieznannej siły? Za nim zobaczył Lokatatha, który, jako zwiadowca, powinien był przecież być po drugiej stronie rzeki. Jarvas był bliżej.

Ayyar podkradł się chyłkiem do maszerujących, przykucnął ukradkiem za uschłymi zaroślami. Wyskoczył łapiąc z całych sił wyższego Ifta, pociągnął go w dół i przygniół d ziemi swym ciężarem. Jeśli nawet Jarvas był pod wpływem Nienazwanego, to teraz musiałby oprzytomnieć. W pierwszej chwili uniósł się, na ile pozwalał mu ciężar Ayyara, i obezwładnił go chwytem, znanym Pate'owi, nie Jarvasowi. Ich twarze znalazły się tuż obok siebie i nagle oczy Jarvasa, do tej chwili zwężone i półprzymknięte, otworzyły się szeroko. Wyzwolił się do reszty i usiadł, a Ayyar obok niego. Szybkim krokiem nadszedł Lokatath, i oto Iftowie, nie sterowani niczyją wolą, szczęśliwie byli znów razem. Ayyar wyraził swą wielką radość słowami:

— Na szczęście to, co ich zniewala, nie ma na nas większego wpływu... — Jarvas przytaknął mu.

— Chyba że — poprawił go Lokatath — pozwoli m sobie pamiętać, że kiedyś byliśmy tacy jak oni. Co tu si w ogóle dzieje? Tamci osadnicy byli właśnie w trakcie działań wojennych i nagle ni stąd, ni zowąd zaczęli maszerować jak na rozkaz; przepłynęli rzekę, mając na uwadze tylko jedno: osiągnięcie przeciwległego brzegu... Do czego dąży Nienazwane?

— Myślę, że gromadzi i formuje armię. — Ayyar opisał pokrótce, czego był świadkiem.

— Maszyny czy ludzie? — zainteresował się Lokatath.

— Nienazwane zarzuciło wyrafinowane taktyki, jak na przykład wykorzystanie fałszywych Iftów, i teraz wypowiedziało wojnę otwarcie. — Jarvas zerwał się na nogi i spojrzał w ślad za maszerującymi osadnikami. — Nienazwane gromadzi swe sługi i wszystkie dostępne narzędzia, by przygotować się...

— Do czego? Do wrywania Lasu z korzeniami, drzewo po drzewie? — spytał Ayyar. — Ci z portu i osadnicy robią to już za niego. Do walki z nami? Jest nas zaledwie sześciu po tej stronie morza. Nikt nie ścina źdźbła trawy siekierą. Dlaczego więc?

— No właśnie, dlaczego? — Jarvas wpatrywał się tym razem nie w maszerujących, lecz w cień na północy, w miejsce gdzie znajdowało się Zwierciadło.

— Zapomnieliśmy, że istnieje inna siła, inny przeciwnik, o wiele bardziej wart uwagi Nienazwanego niż my. Kilka miesięcy temu siła ta użyła swej mocy i możliwe, że z kolei to zdarzenie wywołało desperacki odwet, którego jesteśmy właśnie świadkami. Zmieniłem zdanie: ludzie ci wcale nie wyruszyli przeciw nam czy przeciw Lasowi. Tak jak ongiś Nienazwane wysłało Larshów na podbój Iftcanu, tak i teraz może formuje armię, aby zawładnąć źródłem naszej siły Zwierciadłem Thanth!

Umysł Ayyara wzdragał się nawet przed myślą o takim świętokradztwie. Zwierciadło zawsze było źródłem mocy, dzięki której kiełkowały nasiona i żyli Iftowie, a Iftcan przez wieki witał porę wiatrów zrzucając wielkie, stare konary. Ostrzegało przed zagrożeniem ze strony Nienazwanego i nakazywało czujność. Natomiast teraz, gdy Iftowie byli tak nieliczni, Nienazwane niepomnie wzrosło w siłę, gdyż zdołało zgromadzić tak wiele sług przeciw nim. Być może wyczuło realną szansę na ostateczne zwycięstwo. Sama myśl o takiej możliwości przywodziła umysł na krawędź szaleństwa.

Przeszłość przemówiła teraz ustami Ayyara; choć pozbawiony miecza, wzniosł dłoń, jakby celując w górę:

— Oto odpowiedź Ifta — nie składa się hołdu mieczem!

Usłyszał nerwowy śmiech Lokatatha:

— Dobrze powiedziane, bracie! Lepiej zginać w walce, niż złożyć Nienazwanemu hołd wiernopoddańczy!

— Najlepiej jednak — uciał surowo Jarvas — żyć i służyć mieczem Thanth. Wchodzimy do walki osłabieni, nie mamy bowiem umiejętności ani wiedzy tych, których zastąpiliśmy, podczas gdy Nienazwane korzysta ze swoich bez ograniczeń. Zrobimy jednak, co w naszej mocy. W takiej sytuacji nie wolno nam się rozdzielać. Rizak ukrywa się za rzeką; nie jest jednak tak ciężko ranny, żeby nie mógł się do nas przyłączyć. Przede wszystkim jednak potrzebujemy I!

— Odnajdę ją — stwierdził Lokatath. — Chociaż spojrział w niebo — dzień już blisko, a to jest czas Nienazwanego. Lepiej nie będę ryzykował zbytnim pośpiechem w porze Jego przewagi.

— Nie wolno ci ryzykować! — zgodził się Jarvas. Wprawdzie jestem przekonany, że Nienazwane, nawet przy chwilowej przewadze, nie ma szans, pamiętaj jednak, że bielce i fałszywi Iftowie wciąż grasują w poszukiwaniu łatwego łupu. Do tej pory Nienazwane zapewne przyciągnęło więcej osadników. Bądź ostrożny i zostawiaj za sobą fałszywe ślady.

— Może lepiej pójdziemy we dwóch... — zaczął Ayyar.

— Nie, w żadnym wypadku nie wolno się nam zbytnio rozdzielać. Tobie, mnie i Rizakowi przypadnie obowiązek oczekiwania przy Zwierciadle.

Nie szukali końca rzeki i drogi wiodącej do Zwierciadła. Biegli na przełaj przez z początku spustoszoną okolicę, aż do miejsca, gdzie roślinność ponownie zapuściła korzenie. Dotarli do drogi, której ściana wznosiła się tu na wysokość ramion, a nawet wyżej w pobliżu schodów wiodących do Zwierciadła. Ongiś tworzyła ona skuteczną barierę między złem lęgnącym się na Pustkowie a świętą drogą. Ayyar wyczuł w niej jakąś zmianę; szczeliny nie przekazywały już przesłania pokoju, nie mówiły o schronieniu. Zdawały się wyrażać chęć wycofania się, zupełnie jak gdyby jakiś myśliwy obserwował ich i czekał w ukryciu.

Jarvas nie uczynił kroku ku schodom wiodącym do Zwierciadła. Nie ponaglali go. Było ich trzech, Rizak dołączył do nich po drodze. Ponad łukiem wiodącym do stopni jarzyły się symbole, które Ayyar widział tu parę miesięcy temu, kiedy to iskra z jego miecza jak niewidzialny klucz otworzyła im wejście.

Wówczas symbol ten był zielony; teraz ściemniał i pulsował, jakby energia dopływała do niego falami i odpływała.

Patrzeli w napięciu; nikt nie odezwał się nawet słowem.

Ayyar doszedł do wniosku, że jeśli uprzednio pytanie brzmiało: — Czym było Nienazwane? — to teraz należało również rozważyć kwestię:

— Co lub kto odpowiada na pytania Iftów używając mocy Zwierciadła?

Cóż, jeśli znajdziesz się na polu walki pomiędzy dwoma wrogimi potęgami, a na dodatek nie masz nawet pojęcia o łączących ich układach, jedyne, co możesz zrobić, to zachować czujność i bacznie ich obserwować.

Jarvas siadł ze skrzyżowanymi nogami na drodze, z nieruchomym wzrokiem. Ayyar domyślał się, że stara się ze wszystkich sił odzyskać pełnię pamięci Jarvasa, odzyskać całą władzę dawnego Mistrza Zwierciadła. Mistrza Zwierciadła? Zdawali sobie przecież sprawę, że żaden Ift nie byłby w stanie kierować mocą władającą Thanth.

Rizak oparł się o kamienną ścianę, zamknął oczy, zranioną rękę przycisnął do piersi. Ayyar pomimo zmęczenia przechadzał się czujnie wzdłuż ściany, obserwując Pustkowie spoglądał na przemian na wschód i na zachód. Świt nadchodził wielkimi krokami, a gorący dzień będzie domeną Nienazwanego. Coś pojawiło się w dali na tle szarzejącego nieba.

Nie był to skrzydlaty posłaniec Nienazwanego, raczej fliter z bazy w porcie, nadlatujący wprost z zachodu. Czy możliwe, że Nienazwane podporządkowało sobie wszystkie maszyny? A może to po prostu jakiś niemądry zwiadowca z portu? Kurs wiódł maszynę wprost nad Zwierciadło. Ręka Ayyara instynktownie uniosła się w geście ostrzeżenia. Właśnie w chwili, gdy się poruszył, fliter skręcił gwałtownie w prawo, zanurkował, jakby tracąc na chwilę

kontrolę nad sterami, wzniósł się znowu, by lecąc pod ostrym kątem uniknąć zderzenia z górą i jej kraterem. Gdy tylko minął Zwierciadło, podążył śladem od dawna niewidocznej armii.

Na zewnątrz ich schronienia nie było widać innych oznak życia. Tu i tam wschodzące słońce oświetliło jakieś błyszczące plamki. Znajdowały się one zbyt daleko, aby Ayyar mógł rozpoznać czym są, lecz były dostatecznie jaskrawe, by oślepić jego oczy. Jako ochotniczy wartownik ograniczył się jedynie do obserwacji przestrzeni po obu stronach drogi.

Stracił rachubę czasu i nie miał pojęcia, jak długo czuwają, gdy wtem po długim okresie zapatrzenia się we własne myśli Jarvas spojrzął na towarzyszy. Słońce zawędrowało już wysoko i nękał ich ostry głód, a zapasy ich przepadły, tak samo jak broń. Ayyar właśnie myślał o tej stracie, gdy Jarvas zapytał:

— Widać coś na zewnątrz?

— Nie.

— Zbierają siły. — Rizak, mimo zamkniętych oczu, nie spał. — I co zrobimy? Wyruszymy, by stawić im czoła?

— Jeśli to będzie konieczne, tak.

— Nie było sensu dyskutować z odpowiedzią Jarvasa; dobrze wiedzieli, że ma rację. Nie było już odwrotu; stracili . wszelką szansę spokojnego i bezpiecznego życia w chwili gdy każde z nich wpadło w pułapkę, która miała przemienić ich w Iftów. Zmagania ich plemienia ze złą mocą trwały od dawien dawna, a oni byli teraz Iftami.

— Prześpij się, jeśli możesz — poradził Ayyarowi Jarvas. — Zmienię cię na warcie.

Słońce wprawdzie świeciło mocno, ale schronili się w cieniu wzdłuż ścian drogi. Ayyar z westchnieniem ulgi położył się w mroku i zamknął oczy. Nie liczył na sen, ale prawie natychmiast zasnął.

Śniła mu się właśnie uniwersalna odpowiedź na wszystkie pytania, gdy ręka potrzęsająca jego ramieniem przywróciła go rzeczywistości. Z otwarciem oczu na orzeźwiający zmrok wieczoru odpowiedź uleciała w niebyt. Symbol widniejący na łuku nadal płonął, lecz teraz światłem stałym, zupełnie jakby zgromadził już potrzebną energię. Panowała taka atmosfera oczekiwania, że obejrzał się za siebie, by sprawdzić, kto lub co przyłączyło się do ich towarzystwa.

Zbudził go Rizak, a po Jarvasie nie było śladu. W odpowiedzi na nie zadane pytanie Ayyar usłyszał:

— Poszedł na górę.

Ayyar podniósł się, by podążyć w tym samym kierunku, lecz Rizak potrzęsął głową przecząco:

— Jeszcze nie teraz.

Spojrzenie rzucone na symbol podpowiedziało Ayyarowi, że towarzysz ma słuszość. Ich jeszcze nie wzywano.

Błękitny jest liść, a drzewo potężne,
Korzenie głęboko rosną, gałęzie wysoko,
Słodka jest wolna kraina,
Nadchodzi zmrok...

Wraz z tymi słowami Ayyar poruszył rękoma, czyniąc ruch jak ktoś, kto pragnie dotknąć zasłony, rozsunać ją na boki...

Mrok nadchodzi — uścisk nocy,
Gwiazdy migocą, a księżyc jaśnieje,
Liść jest błękitny — życie powraca.
W końcu miecz nigdy nie chybia...

To nieprawda. Miecze już raz zawiodły; mogą to uczynić znowu. Miecze przeciw blasterom, to nie świadomy wybór, lecz samobójstwo. Myśli Nailla zmąciły jaźń Ayyara. Następne wersy posłyszał zza swych pleców:

Błękitny liść rozwija się i rośnie,
Głęboko sięgają stare korzenie.
Gwiazdy migocą, a księżyc jaśniej.
Ift sieje...

Rizak urwał.

— Dalej zapomniałem. — dodał po chwili. — Gdybyśmy mogli razem zaśpiewać opowieść o mieczu Kymona, te wszystkie mądre słowa, potężne pieśni... moglibyśmy pokusić się o odgadnięcie natury Nienazwanego oraz o wyjaśnienie, w jaki sposób zostało Ono spętane Klątwą Kymona. Niestety, nie potrafimy; fragmenty i urywki wyrwane z kontekstu, które wyłaniają się z otchłani zapomnienia to prawie nic...

Ayyar dziwił się, dlaczego właściwie zastanawiają się teraz nad mądrością, która mogła lub nie, zawierać się w prastarym eposie. Równie dobrze Kymon mógł kiedyś przejść drogę prawdy do Thanth, jak i być jedynie zmyśloną postacią z legendy o herosie. Nie, dziś na nic się zdadzą stare pieśni czy strzępy wspomnień. A jednak wciąż w uszach brzmiały mu wielce znaczące dla każdego Ifta słowa:

Liść jest błękitny — życie powraca...

Liście były błękitne w dawnych czasach złotej ery Iftcanu, gdy Iftowie niepodzielnie władali Janusem.

Noc ciągnęła się w nieskończoność, gdy tak obserwowali i czekali, głodni i spragnieni, starając się zapomnieć o swoich potrzebach. Wpatrywali się w Pustkowie zamarłe w bezruchu i nasłuchiwali, czy coś nie przemyka się na zewnątrz drogi.

Do świtu Jarvas nie powrócił jeszcze znad Zwierciadła.

Ayyar znalazł zagłębienie na powierzchni kamienia, w którym zbierały się krople rosy. Zlizywali je, by uśmierzyć pragnienie. Wspominał pełną smaku, odświeżającą słodycz soków Iftsigi i zastanawiał się, jak długo jeszcze przyjdzie im ignorować rozpaczliwe sygnały wysyłane przez własne organizmy.

Był sam środek następnej nocy, gdy ze wschodu dały się słyszeć jakieś głosy. Ayyar naprędce uzbroił się w kamień, najlepszą broń, na jaką było go teraz stać, po to tylko, by natychmiast upuścić go na dźwięk dobrze znanego delikatnego gwizdu. Trzy postacie podążyły wzdłuż drogi. Szczęśliwym trafem Lokatath wypełnił swą misję w znacznie skróconym czasie. Za nim Illylle i Kelemark, każde niosąc małe zawiniątko, biegli wprost ku tym, którzy oczekiwali na nich w purpurowym blasku symbolu, zjednoczeni na dobre i na złe.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czwarty już raz w życiu, w którym odrodził się jako Ift, Ayyar stał na skalnej krawędzi przewieszanej nad Zwierciadłem Tanth. Za każdym razem jezioro wyglądało inaczej — gdy przybyli tu po raz pierwszy z Illylle wzbudziło w nich taką grozę, iż zapragnęli odpelznąć w ciszy, aby nie zakłócić medytacji czegoś niewyobrażalnie wielkiego. Następny raz Zwierciadło stało się ich ostatecznym schronieniem na ogarniętym pożogą wojenną świecie. Również tym razem wzbudziło w nich lęk i onieśmielenie ujawniając swą nieograniczoną moc, lecz równocześnie podtrzymało na duchu w ciężkiej niedoli.

Tym razem spoglądał w dół — nie na spokojną, niezmaconą wodę, nie na fantomy przez nią tworzone, lecz prosto w falującą i wirującą mgłę, która nie mogła pochodzić — był tego pewien — z Janusa czy jakiegokolwiek innego znanego mu świata. Miejsce to nie witało ich, nie dawało poczucia bezpieczeństwa. Strach? Nie, nie czuli go; raczej niepokój, jakieś przedbitewne napięcie.

Nawet Illylle, która wspięła się tu, oczekując porozumienia, na pół świadomie zatrzymała się i stała teraz bezradna jak wszyscy. Podczas, gdy wspinali się na występ skalny, Jarvas nawet nie odwrócił ku nim głowy. Stał z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, nieruchomo jak posąg, całym ciałem wyrażając oczekiwanie...

Pierwsza poruszyła się Illylle, podniosła ramiona i wyciągnęła dłonie w proszącym geście. Ayyarowi przyszło na myśl, że albo pamięta ona więcej z dawnych rytuałów, albo . ośmieliła się improwizować w krytycznej sytuacji.

Ayyar znał niektóre słowa rozpoczętej przez nią melorecytacji, inne należały do Ukrytej Mowy — dźwięki przywołane, by wywołać odzew Niepoznawalnego.

Mgła powstająca nad Zwierciadłem unosiła się w górę, nie falowała jak zwykle nad przepływającą wodą. Uformowała jęzor, który mógłby zmieścić arogantów żądających odpowiedzi. Przerazenie, jakie odczuwał Ayyar, przewyższało nieporównanie sumę wszelkich momentów grozy przeżytych w obu wcieleniach. Nic nie dorówna bowiem uczuciu jakie cię ogarnie, gdy ktoś, kogo zawsze miałeś za potężnego i godnego zaufania protektora, zwraca się przeciw tobie, a ty nie masz już dokąd uciec.

Gdy budzący przerażenie mgielny twór dotarł w ich pobliże, żadne jednak nie cofnęło się i nie uciekło ze skalnej półki. Prawdopodobnie słowa Illylle przypomniały Jarvasowi o tym, że był kapłanem, gdyż przyłączył się do melorecytacji.

Wbrew obawom Ayyara jęzor nie zmiotł ich ze skały, ale zawisł zakrzywiając się nad półką, zawahał się — ale nie uderzył. A gdy Illylle poczęła naśladować ruchami sianie ziarna, mgielny twór zakołysał się wtórując jej gestom. Przerazenie opuściło ich, pozostawiając tylko pełne respektu zadziwienie. Pomimo rozszalałego gniewu, jaki ją opanował, siła skupiona w Tanth rozpoznała ich i zaakceptowała.

Jęzor mgły wycofał się i pozostawił ich samych z przenikającym do szpiku kości uczuciem mrozu. Illylle drząc i nie odrywając wzroku od Zwierciadła, powiedziała:

— Przekazałam, że jesteście gotowi. Musimy czekać na zadanie, które zostanie nam powierzone.

Czym jest czas? Ludzie liczyli wschody i zachody słońca, dni, lata, pory roku, pory sadzenia i żniw. Człowiek porządkował czas, dzieląc go na coraz mniejsze kawałki, gdyż wymagało tego jego coraz bardziej skomplikowane życie. Naill Renfro nie czuł się nigdy skrepowany czasem jak większość pozostałych ludzi — urodził się bowiem w przestrzeni kosmicznej. Stając się Ayyarem począł odnosić pojęcie czasu do pór wzrostu i snu zimowego. Teraz natomiast znalazł się w pułapce zupełnie innego czasu, w którym jego ciało nic nie znaczyło, w którym nie istniało nic poza oczekiwaniem. Nie potrafiłby opisać swych myśli ani nawet określić, jak długo to trwało.

Nadeszła chwila gdy mgła opadła i została wchłonięta przez jezioro. Lecz teraz woda nie wyglądała jak gładka powierzchnia Zwierciadła. Przesuwały się po niej zielone i niebieskie zmarszczki — to zanikając, to zmieniając kolor na srebrny. Tworzyły linie i wzory nienaturalne dla tafli wody, oczywiście jeśli Zwierciadło Tanath kiedykolwiek było zwyczajnym jeziorem.

Jarvas i Illylle recytowali razem — głos dziewczyny wznosił się wyżej, a mężczyzny wtórował niższym tonem, jednak brzmiało to tak, jakby oboje byli do tego stworzeni. Nadal nie można było przetłumaczyć treści, a słowa zdawały się tworzyć jedynie melodię.

Srebrne linie poruszały się tam i z powrotem, tworząc fantastyczne obrazy, które znikwały, zanim można było je do końca zrozumieć. Powierzchnia wody podniosła się wysoko w kraterze, jak ongiś, kiedy to przelała się przez brzegi, by zmieść zło i rzucić wyzwanie Nienazwanemu.

Nowy jęzor wznosił się coraz wyżej w powietrze, opasując krater murem, coraz cieńszym, tworząc w końcu obraz winorośli z Lasu. Delikatnie i nie rażąc oczu Iftów srebrzył się, skrzął, wił i falował, lśniąc na całej długości.

Na koniec dotarł do skalnego występu na którym stali, a jego czubek zajaśniał jak gwiazda nad ich głowami. Zadrzał, kołysząc się w przód i w tył, zatrzymując się nad każdym z nich po kolei, czasem na sekundę, czasem na dłużej. Dwa razy sprawdził wszystkich, zanim uderzył w Illylle. Skrzące srebro spłynęło po jej głowie i całym ciele, perląc się na ramionach...

Potem podniósł się i ponownie zakolysał się nad resztą ich małej grupy, szukając... szukając...

Tym razem wybrańcem został Ayyar. Nie poczuł dotknięcia wody, raczej już łaskotanie w mięśniach, kościach i krwi, zupełnie jakby przelał się przezeń srebrny potok.

Uczucie to ustąpiło, gdy jęzor wycofał się i ukrył w jeziorze.

Wszelkie zawirowania w Zwierciadle zanikły, tak że widzieli jedynie gładką tafelę wody. Ayyar wiedział, że to, co władało jeziorem, wycofało się do swego schronienia i zatrzasnęło dzielące ich drzwi.

Co było jednak przyczyną tego, co się im przydarzyło?

Spojrzał na swoje omyte przez rzekę srebra ciało. Było mu ciepło i nie odczuwał głodu ani pragnienia. Taką pełnię energii i ochotę do działania zyskiwał dotąd tylko pijąc sok drzewa. Do działania? Jakiego? Należało teraz znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Illylle odwróciła się od jeziora i podeszła do niego.

— To zrządzenie losu; tak było z Kymonem Władcą Dębów, tak jest teraz z nami. Zdamy tam, gdzie czyha Nienazwane, poniesiemy gniew i potęgę tego, co mieszka w Thanth, aby mogło pokonać Wroga.

Pierwszą myślą Ayyara było, że nie ma żadnego wyboru.

Nie była to także cała prawda. Samym tu przybyciem stawiał siebie do dyspozycji, nie mógł więc protestować, że został wybrany. Lecz dlaczego on? Nie był Mistrzem Zwierciadła; był tylko wojownikiem, który raz stawał w przegranej wojnie przeciw temu samemu Wrogowi. Z drugiej jednak strony Kymon był również żołnierzem (jeśli oczywiście w ogóle istniał). Nie można było zaprzeczyć, iż wybór został dokonany.

Zwrócił się ku Illylle:

— Wyruszamy...?

— Tak, zaraz.

— Weź to. — Kelemark ściągnął pas, wy dobył nagi miecz i podał Ayyarowi. Widocznie inni zaakceptowali fakt, że został naznaczony.

Jarvas owinał szczelniej pelerynę wokół ramion:

— Nie mamy tu już nic więcej do roboty. Nie wolno dłużej zwlekać.

— W którą stronę wyruszycie? — zapytała Illylle.

— Do zatoki nad morzem, jeśli los nam pozwoli. Gdyby nasi bracia spoza morza przybyli, to tam ich spotkamy.

Przerwał i przez długą chwilę wpatrywał się w jej oczy, a potem w oczy Ayyara.

— Nie mam pojęcia, czemu stawiacie czoła, poza świadomością, że jesteście wystawieni na wielkie niebezpieczeństwo. Nikt nie może wam pomóc, niezależnie od tego, jak bardzo by pragnął. Nasze życzenia powodzenia podążą wraz z wami, ale czy mogą was uzbroić lub obronić... — wzruszył ramionami. — Tego nie wie nikt. Ten obowiązek nałożono na was jako na najodpowiedniejszych do jego wykonania. Podążyli przez Pustkowie, aż do miejsca, gdzie ściany sięgały im do pasa. Był dzień, a niebo pełne chmur wskazywało, że przynajmniej aura im sprzyja. Lecz — dokąd teraz? Wyprawa bez żadnego planu do warowni Nienazwanego... ?

— Mógłbym odgadnąć dokąd podążamy — rzekł Ayyar — ale co mamy tam zdziałać, to już zupełnie coś innego.

— Z pewnością dowiemy się wszystkiego, gdy nadejdzie nasza godzina — odpowiedziała Illylle.

Tak głębokie zaufanie klóciło się z jego wątpliwościami.

— Jeśli rzucimy się na oślep w łapy Nienazwanego, sami pozbawimy się jakiegokolwiek możliwości obrony!

Illylle spojrzała nań przez ramię:

— Obrony? Zawsze wojownik, nic tylko wojownik, Kapitan Pierwszego Kręgu Iftcanu, prawda? Prócz użycia miecza istnieją jeszcze inne sposoby walki...

— Oczywiście — odrzekł ponuro — są jeszcze blastery i miotacze ognia! Czyżbyś zapomniała, jaka to armia najechała nas na tej ziemi? Powiedziałaś, iż my sami jesteśmy bronią niosącą w sobie wielki potencjał, który możemy przeciwstawić pospolitemu ruszeniu Wroga. Cały czas mam jednak w pamięci słowa pieśni Kymona, że musimy stanąć twarzą w twarz z Nienazwanym i wygrać. To uda się jedynie wówczas, gdy pokonamy wszystkie przygotowane przez Nienazwane linie obrony. Czy już nie pamiętasz, jak łatwo ów skafander kosmiczny wziął nas w niewolę? A to może być najmniej groźne z czyhających na nas niebezpieczeństw.

— Co więc proponujesz? Brak nam czasu, by czołgać się w ukryciu, szukając jakichś nieznanych bezpiecznych szlaków...

— Tak? Twierdzę, że w każdy inny sposób zginiemy, zanim jeszcze na dobre zaczniemy walkę. To nie jest polowanie w Lesie, ale na ziemi stworzonej przez Wroga. Jest tylko jeden sposób... — Zdawało mu się, że myśli mu się teraz znacznie szybciej i jaśniej niż dawniej.

— Jaki? — zapytała. Gnana niecierpliwością wyprzedziła go znacznie, idąc przez Pustkowie.

— Wróg ma do dyspozycji fałszywych Iftów, prawda?

I są oni na pierwszy rzut oka nie do odróżnienia od nas?

Udało mu się przykuć jej uwagę. Patrzyła na niego, marszcząc brwi.

— Ale jak użyć fałszywych Iftów...?

— Nienazwane wysłała ich na wyprawy z jakiegoś obozu. Wychodzą, potem powracają, a więc gdybyśmy wysledzili oddział będący w drodze powrotnej i przyłączyli się doń jako maruderzy...

— Przecież oni nie funkcjonują tak jak my, myślisz, że Nienazwane nie wykryje różnicy?

— Musimy wykorzystać tę szansę, bo możemy nie mieć następnej. Nie ma najmniejszego powodu, aby nie spróbować. To i tak mniejsze ryzyko niż działanie na oślep.

— A gdzie ich znajdziesz?

— Wyprawili się za rzekę. Pamiętasz? Lokatath szedł z osadnikami przez nich zagarniętymi. Jeśli więc skierujemy się na południowy zachód, możemy natknąć się na ich ślady

Twarz Illylle wyrażała jeszcze większy sceptycyzm.

— Szkoda marnować czas na coś tak dalece niepewnego. — Cała nasza przyszłość jest jedną wielką niewiadomą!

Tym razem, Siewczynie Nasion, uznaj wyższość doświadczenia wojownika. Przecież nikt z powodu pośpiechu nie skacze na oślep wprost w legowisko skalca. Uważam, że lepiej już odwiedzić warownię Nienazwanego z własnej woli.

Choć niechętnie, Illylle przystała na jego argumenty i podążyli nieco bardziej na wschód. Zachmurzone niebo było po ich stronie. Ayyar cały czas pamiętał o owych migocących punktach widzianych z drogi, nie natknęli się jednak na nic co mogłoby być ich źródłem. Wreszcie wpadli w głębokie koleiny, ślady niewolników Nienazwanego.

Ayyar obserwował niebo, obawiając się latających sług.

Jak dotąd jednak poruszali się przez całkowicie opustoszałe obszary. W końcu zapytał:

— Czy wiesz, co mamy zrobić gdy już, jeśli to się uda, dopadniemy Nienazwanego?

— Jedyne, co wiem, to że jesteśmy w służbie Zwierciadła. Mam nadzieję, iż gdy chwila ostateczna nadejdzie, coś pokieruje nami w dobrej sprawie.

Tradycja przekazała, że Kymon świadomie i z własnej woli prowadził bitwę. Jeśli nawet był tylko narzędziem jednej siły skierowanym przeciw drugiej, legenda o tym nie wspominała. Legendy nie są jednak odbiciem prawdy, a jedynie jej cieniem. Mogło być i tak, że heros Białego Lasu wyruszył tak jak oni — niepewny i nieoświecony.

Nos Ayyara zarejestrował nowy zapach, a więc odgadł prawidłowo, że przeszli tędy fałszywi Iftowie. Sami czy z bielcami? Odpowiedź na to pytanie mogła być bardzo istotna dla tropicieli.

— To oni — szepnęła Illylle.

Ayyar przytaknął, dając znak, by się nie odzywała.

Trochę bardziej na zachód zapach nasilał się, przechodząc w smród. Lecz dokąd wędrowali śledzeni? Na wschód?

To nie wzbudziłoby ich zainteresowania, sarni przecież nadeszli stamtąd. Gdy prześlizgnął się ostrożnie wokół skałki, ujrzał wąskie ślady butów prowadzące... na zachód! Dał znak Illylle i okiem zwiadowcy wpatrzył się przed siebie.

Pustkowie było tu pocięte przez rowki okolone dziwnie uformowanymi kamieniami. Erozja, czas i klimat nie mogłyby uformować ich w demoniczną twarz lub bestię; zdawało się, że musi to być dziełem czyjejś ręki. Okolica nie miała nic wspólnego z Lasem, wręcz przeciwnie, widok ten mógłby pochodzić z obcej planety.

Wprawdzie jałowa gleba pod stopami nie była całkiem piaszczysta, ale ledwie gdzieniegdzie zachowały się ślady roślinności, jak zaschły pęk korzeni wyglądający na kłęb zaciśniętych kurczowo macek. Tam i ówdzie wiatr odsłonił ciemną i twardą powierzchnię, tak zaskorupiałą, że uderzona kamieniem wydawała metaliczny dźwięk. Ayyar miał w pamięci blizny stopionego gruntu pozostawione przez startujące i lądujące rakiety. Te ślady były zbyt małe i za rzadko rozrzucone by mogły być pozostałością jakiegoś prastarego lądowiska.

Coś pokrytego czerwonymi łuskami przyglądało się im badawczo wybałuszonymi oczami osadzonymi wysoko na wąskiej głowie, a potem ukryło się z powrotem między kamieniami. Ayyar podejrzliwie obserwował stworzenie, obawiał się bowiem, iż wszystkie żyjące tu istoty mogłyby donieść Nienazwanemu o przejściu obcych. Z drugiej strony ptaki, czworonogi i zwierzęta okryte łuskami pochodziły z Lasu i musiały o tym pamiętać, nawet będąc tak daleko od niego.

— To tylko dzikie stworzenie — Illylle musiała chyba słyszeć jego myśli.

— Skąd masz taką pewność?

— Wszystko, co służy Nienazwanemu, nosi jego niezatarte piętno. Choć, oczywiście, lepiej spodziewać się najgorszego. Ciekawa jestem...

— Czego?

— Co proponujesz zrobić, gdy już dościgniemy tych nieszczęśliwców? Fałszywi Iftowie nie zaakceptują nas i... Ayyar szarpnięciem ściągnął ją w płytki rów, unieruchamiając swym ciałem, i począł nasłuchiwać, niespokojnie węsząc. Smród fałszywych Iktów stał się raptownie tak silny, że niemal pozbawił go oddechu. Znaleźli się niespodziewanie blisko śledzonych; lepiej by było czym prędzej znaleźć zadowalającą odpowiedź na pytanie zadane przez Illylle.

Określiła się, by spojrzeć w tym samym kierunku, i najcichszym szeptem powiedziała:

— Za tą osłonę...

Ściana rowu tworzyła tu poszarpaną wyniosłość. Za nią znajdowało się wymarzone miejsce na zasadzkę. Ayyar dojrzał w zasięgu ręki kępę suchych korzeni. Z jej pomocą mógłby spróbować dostać się wyżej. Wskazał na górę i Illylle zmrużyła oczy, szacując odległość. Wszystko zależało od tego, czy zdołałby się wspiąć nie zauważony. Lepiej nie myśleć, co stałoby się w przeciwnym razie...

Illylle wydobyła swój miecz i gestem nakazała Ayyarowi pozostać tam gdzie był. Niepotrzebnie, gdyż stał on znieruchomiał jak słup soli, wpatrując się w feerię skrzących się blaskiem, srebrnych jak Thanth rozbłysków, które wydobywały się z ręki dzierżącej miecz spływając po ostrzu. Teraz dziewczyna zakołysała mieczem wycelowanym w górę tam i z powrotem i nie odrywając odeń oczu, wyszeptwała:

— Idź!

Ayyar skoczył i zacisnął rękę na korzeniach; szczęśliwie wytrzymały jego ciężar. Wówczas wbił drugą rękę głęboko w ziemię i podciągnął się. Czołgał się na brzuchu wzdłuż krawędzi, a Illylle pochyliła się do przodu. Od czasu do czasu jej miecz zniżał błyszczący czubek i Ayyar widział wyraźnie, jak wiele musiała wkładać wysiłku by unieść go ponownie. Nie miał pojęcia, czemu miało to służyć, ale wykorzystał to jako osłonę przed atakiem.

Po drugiej stronie skarpy ujrzał zieloną, bezwłosą głowę i długie, spiczaste uszy. Ift w pelerynie nie miał miecza, a trzymał jedynie baryłkowaty obiekt, nie różniący się zbytnio od blastera, a Ayyar nie wątpił, że równie skuteczny.

Stwór trzymał głowę wysoko wzniesioną, ale nie wpatrywał się w krawędź rowu; miast tego poruszał głową powoli w prawo i w lewo, powtarzając ruchy miecza Illylle. Oczy wlepił bezmyślnie w głaz, przy którym przykucnął.

Ayyar wydobył swój miecz, choć nie miał pojęcia, co może on zdziałać w spotkaniu z pokrytym „ciałem” metalem, z którego zrobiono robota. W chwili gdy ujął rękojeść, z jego palców spłynęły takie same jak u Illylle srebrne rozbłyski. Jakiś głęboko ukryty nakaz pchnął go do działania.

Uniosł miecz i wycelował jego czubek w głowę fałszywego Ifta; rozbłyski spłynęły na pokrytą zieloną skórą czaszkę i pokryły ją całą. Ayyar poczuł, że jakaś wewnętrzna moc ogarnęła go spływając po ostrzu miecza.

Fałszywy Ift zdrygnął się, uniosł na palcach i runął na twarz z rozrzuconymi bezwładnie kończynami. Leżąc na ziemi od czasu do czasu podrygiwał, lecz nie próbował wstać. Ayyar schował miecz, trochę zaniepokojony nagłym odpływem sił.

W ostatnim spazmie fałszywy Ift podniósł się nieco, ale zaraz ciężko opadł z powrotem. Ayyar ostrożnie opadł na ziemię nieopodal, a gdy tamten się nie poruszał, ostrożnie przysunął się bliżej. Baryłkowata broń wysunęła się z ręki Ifta i w chwili, gdy Ayyar miał już zamiar ująć ją w dłoń, gdy dobiegł go rozkaz Illylle:

— Nie ruszaj! — Podeszła powoli, wspierając się jedną ręką o ścianę rowu. Potem dodała: — Nosisz w sobie moc; nie zaprzeczysz temu po tym co się stało! Nie możesz używać cudzej broni!

Przekonało go coś w jej słowach. Podniósł kamień i upuścił go na broń, miażdżąc ją na drobne kawałki. Nie przewidział, że okazała się tak krucha. Spojrzał na nieruchomego Ifta i opuścił na jego głowę większy kawałek skały. Czaszka ze sztucznej substancji pękła.

Wewnątrz znajdowały się obwody elektryczne i stopiony metal. Przysiadł na piętach, aby przyjrzeć się uważnie pozostałościom. Było to niewątpliwie dzieło energii, która spłynęła po ostrzu jego miecza! Nie czuł z tego powodu żadnej przykrości.

— Czy jeszcze nie zrozumiałeś? Jesteś naczyniem przenoszącym moc, i nie wolno ci jej roztrwonić. A więc dokąd ruszamy?

— Dalej tym samym szlakiem, ale ostrożnie.

— Spójrz w górę! Zdaje się, że jeśli tylko nas nie wywęszą, będziemy uprzywilejowani.

Chmury, które przesłaniały słońce, stały się jeszcze ciemniejsze. Nie wiedzieli, czy to Zwierciadło spowodowało ich napływ, ale ta sytuacja była dla nich korzystna.

Wędrowali wyższymi krawędziami rowów, a tam, gdzie nie było osłony przed obserwatorem, czołgali się jak węże.

Jeśli inni fałszywi Iftowie lub ich władca wiedzieli, co stało się z tym wysłanym na poszukiwania, to nie okazali tego.

Ayyar wołał wierzyć, że mogło to być prawdą.

Niechętnie wkraczali w doliny; w trzeciej z kolei napotkali pierwszy znak, że jakaś wroga Iftom władza rozciąga się nad Pustkowiec. Ocaleni tylko dzięki półmrokowi panującemu pod burzowymi chmurami. Dawno temu, pojmani w niewolę maszerowali przez Biały Las, w którym drzewa z kryształu imitowały bujnie rosnącą roślinność — oślepiające odbicie prawdziwego świata. Tu natomiast wznosił się filar z tego samego kryształu, oślepiający oczy Iftów blaskiem odbitego światła słonecznego. Ayyar nachylił się i ostrożnie go okrążył.

Chłód niesiony przez burzę odmienił zapachy; nie był już pewien, czy mogą polegać na swym powonieniu.

Potem rozpuściła się burza, przed jej furią musieli ukryć się szybko, wszystko jedno gdzie. Iftowie mogli stawiać czoła ciemności, ale nie wiatrowi rozszarpującemu na strzępy, nawałnicy bijącego gradu, deszczowi ze śniegiem przeszywającemu do szpiku kości.

Przykucnęli w rozpadlinie, naciągnęli peleryny na głowy, chroniąc oczy przed błyskawicami rozdzierającymi niebo. Szalejąca burza zdawała się nie mieć końca, a Ayyar nie potrafił ocenić, czy była ona dziełem tej czy innej niezbadanej mocy.

Illylle poruszyła się i chociaż przysunęła usta tuż do jego ucha, ledwie rozróżnił jej słowa:

— Znikną wszystkie koleiny...

Miała rację — może gdy znów wyruszą, powinni skierować się po prostu na zachód i...

Illylle poruszyła się gwałtownie; jej łokieć stuknął go w bok. Ale Ayyar sam już dojrzał coś w świetle błyskawicy.

Mógłby przysiąc, że nie było tego przed chwilą, gdy szukali schronienia. Teraz stało na zachodniej ścianie, nieruchome jak kryształowy słup.

Nie człowiek i nie Ift. Miało jednak cztery kończyny i stało wyprostowane na dwu z nich. Pamięć nagle wysłała sygnał — widział lub znał to kiedyś dawno temu. Gdzie?!

Kiedy?

ROZDZIAŁ ÓSMY

To coś stało zwrócone twarzą ku wschodowi, oczywiście jeśli w ogóle miało jakąś twarz. Ayyar poczuł, że jest zmuszony świadomie obudzić pamięć Nailla, aby rozpoznać agenturę Wroga. Mogło to nieść ze sobą pewne niebezpieczeństwo; wyjaśnił Illylle swój plan i jego ewentualne konsekwencje.

— Sama przechowuję przecież pamięć Ashli, a nic takiego nawet mi do głowy nie przyszło!

— Pamięć osadnika nie może znać dobrze świata zewnętrznego — zauważył. — Przez lata przebywałem w Głębinie na Korwarze. Było to ciężkie więzienie, ale mieliśmy w zamian kontakt z połową galaktyki. Korwar to planeta dla skazanych bez określenia długości wyroku, bezplanetarnych potępieńców żyjących na hałdzie odpadów Głębiny. Od czasu do czasu pracowałem za dnia w porcie i napatrzyłem się dziwnych rzeczy. A to—to mi coś przypomina i musimy dowiedzieć się, co. Jeśli jednak obudzenie Nailla wpędzi mnie w pułapkę zastawioną na ludzi, musisz być gotowa, by mi pomóc.

Uśmiechnęła się.

— Doprawdy nie wierzę, aby ktoś, kto był zanurzony w Thanth, mógł czemuś ulec. Będę jednak przygotowana na... na co, Ayyar? Aby przebić cię mieczem?

Wpatrzył się w nią z powagą.

— Jeślibym miał stać się jednym z tych niewolniczo maszerujących, wtedy tak, wolałbym raczej przyjąć śmierć z ręki przyjaciela.

Uśmiech znikł z twarzy Illylle.

— Nie żartuj, chcesz żebym ci złożyła przysięgę?

— Niekoniecznie. Tylko w razie gdybym miał zamiar oddalić się stąd, musisz zatrzymać mnie za wszelką cenę.

Wlepił wzrok w owo coś. Zdawało się ono nie mieć przewężenia między głową i ciałem, jeśli można by tak opisać prostopadłościenne pudło z dwoma słupami nóg i parą zwisających po bokach ramion. Z powodu szalejącej burzy nie mógł niczego dojrzeć wyraźnie. Pudło na nogach. Kiedy mu się bacznie przyglądał dostrzegł szereg małych światełek w poprzek piersi. Całość była — był tego pewien — metalowa lub pokryta metalem. A on widział to już dawniej, ale gdzie i kiedy?

Naill Renfro... świadomie zabrał się do przywoływania Nailla. Jakie były najdawniejsze wspomnienia Nailla, pogrzebane tak głęboko, że z wielkim trudem odnajdywał ich fragmenty?

Zmusił się do wyobrażenia sobie statku kosmicznego swego ojca, kabiny i korytarza oraz własnego małego, sześciennego pokoju — jedyne domu, jaki kiedykolwiek posiadał. Kapitan Duan Renfro, Wolny Kupiec, i jego żona Malani, którą przywiózł sobie z ciepłej, wesołej planety o płytkich morzach z szeregiem wysp i nie kończącym się, łagodnym lecie. Odwiedzali jeden świat po drugim, aż pechowo dostali się w sam środek bitwy, która nic ich zresztą nie obchodziła.

Malani i Naill ratowali się ucieczką w kapsule ratunkowej — pojmani i przerzuceni na Korwar, by egzystować na wysypisku w Głębinie, gromadzącym tych, którzy nie mieli dokąd powrócić.

Statek... Naill — Ayyar śmiało powrócił myślą do statku i przejrzał wspomnienia... Bez rezultatu; na światach, które odwiedzili, także nic. Wspomnienia zatarły się w przeszłości. Jedyne, co pozostało, to Głęбина.

To nie było w zbiorowisku baraków — a więc w mieście lub w porcie... Skupił myśli na porcie. Były tam obszerne lądowiska, na których siadały całe floty różnorodnych statków kupieckich przywożących luksusowe towary z tysiąca światów, liniowce pasażerskie,

prywatne jachty władców i bogaczy. Mignęło mu jedno z fragmentarycznych wspomnień i z wysiłkiem przypomniał sobie nieco więcej. Tak!

Ujrzał długi szereg komputerów w samym sercu liniowca, który odbywał kwarantannę z powodu nowej choroby wykrytej na pokładzie. Mimo to przez odblokowane przejście posłano z Głębin robotników po jakiś bardzo ważny zapieczętowany ładunek. Mijając mostek kapitański zauważył stojącego tam robota do napraw komputerów wyglądającego zupełnie jak ten tutaj. Więcej go nie zobaczył.

Na co ten robot oczekiwał, co tu robił? Najlepiej byłoby pójść za nim i nie opóźnić jego powrotu. Ayyar poczuł, że musi koniecznie jak najszybciej dołączyć do pozostałych, gdyż jest im bardzo potrzebny. Cóż właściwie jeszcze tu robi, moknąc na deszczu, podczas gdy jest tak bardzo, bardzo potrzebny? Musi natychmiast ruszyć w drogę...

— Ayyar!

Zakaz powstrzymał go od powstania i odejścia. Gniewnie wydierał się z uchwytu — był przecież Naillem Renfro i miał coś do zrobienia, natychmiast!

Patrzcie! Robot odwracał się... odchodził... Jeśli nie podąży za nim będzie zgubiony! Przenigdy nie zdoła połączyć się z resztą, nie stanie się z nimi jednością, tak jak powinien!

— Ayyar!

Desperacko walczył z zakazem. Wtem oślepił go jakiś piekący błysk przed oczami. Znalazł się w kompletnej ciemności, w której nie było ani Nailla, ani niczego...

— Ayyar!

Słabiutki głos przyzywał go z oddali. Dlaczego miałyby odpowiadać? To wymagałoby zbyt wiele wysiłku.

— Ayyar!

Wołanie ścigało go i zawracało z drogi, raz jeszcze z powrotem na świat. Z ogromną niechęcią otworzył oczy i ujrzał zieloną twarz i zatroskane skośne oczy. Malani? Nie, Illylle!

Powoli i boleśnie umysł dopasował imię do twarzy.

To była Illylle, a on nazywał się Ayyar — Ayyar z Iftów. Ukrywali się między skałami wrogiego Pustkowia wśród szalejącej burzy...

Walczył, by usiąść prosto, podczas gdy ręce dziewczyny wsparte na jego ramionach przyciskały go do ziemi z niewiarygodną siłą.

— W porządku. Jestem Ayyar...

Musiała widocznie wyczytać prawdę w jego oczach, gdyż uwolniła go. Spojrzał w kierunku, w którym odszedł robot.

Czy ich szpiegował? Jakie usługi wykonywał dla Wroga?

To bowiem, że robot służył Nienazwanemu, nie ulegało dłań wątpliwości.

— Odeszło w tamtym kierunku. — Illylle wskazała na zachód. — Czy już wiesz, co to jest?

— Niewiele. Widziałem coś takiego zaledwie raz, dawno temu i na innej planecie, w sterowni statku kosmicznego. To jakiś rodzaj robota naprawczego, ale nie znam szczegółów.

— Ale co to robi tutaj?

— Możesz być pewna, że nic dobrego dla nas.

Będąc Naillem miał zamiar użyć robota jako przewodnika. Jako Ayyar musiał uczynić to samo, ale niełatwo było to sobie wyobrazić.

— Chodźmy! — burza nareszcie słabła i poczuł, że nie mogą sobie pozwolić na zgubienie śladów robota.

Wydobyli się ze szczeliny i owinęli peleryny wokół ramion i głowy. Rowkami w ziemi płynęły strumienie i rzeki, ale robot, jakby specjalnie zaprogramowany, trzymał się wyższych rejonów.

Całkiem możliwe, że więcej niż jeden statek kosmiczny z zawartością dostał się kiedyś we władanie Nienazwanego.

Znaleźli ongiś jeden z pierwszych modeli kapsuł ratunkowych należących do starszego typu statku kupieckiego, takiego jak ten, który należał do rodziców Nailla. A co, jeśli znajdowały się tu również bardziej złożone typy kutrów albo liniowiec?

Rozległ się ogłuszający trzask i rozbłysło oślepiające światło. Illylle krzyknęła i wsparła się na towarzyszu. Ayyar przetarł oczy walcząc z chwilową ślepotą, nie mogąc ruszyć się w kompletnej ciemności. Przez jego ciało przebiegł znowu gorący dreszcz, taki sam, jaki poczuł gdy dotknął go jezor Zwierciadła.

Na wpół oślepiiony, Ayyar wspierał dziewczynę, zerkając jednocześnie wokół. Jaskrawe światło bijące z tyłu nie pozwalało mu nawet odwrócić się. Instykt samozachowawczy nakazał ukryć się między skałami, więc pokuśtykał tam, ciągnąc ze sobą Illylle.

— Co to było? Nic nie widzę! Jestem ślepa! — Jej pewność siebie znikła; przywarła całym ciałem do niego i dla zapewnienia sobie poczucia bezpieczeństwa kurczowo chwyciła go obiema rękami.

— Zapewne to zaraz ustąpi — uspokajał ją. — Zamknij oczy, czekaj. Nie wiem co to, ale z tyłu coś bardzo mocno świeci. Gdy ruszymy naprzód, będziemy musieli trzymać się w ukryciu.

— Nie mogę iść, nic nie widząc — odparła Illylle. Jeśli odzyskasz wzrok, musisz mnie zostawić, musisz!

— Ja też niewiele widzę — powiedział Ayyar i nie było to całkowitym kłamstwem. Ta słabość Iftów mogła przysporzyć im jeszcze wielu zmartwień. — Musimy czekać, mając nadzieję, że to niebawem minie.

Siedzieli obezwładnieni strachem i czekali, a Illylle cały czas boleśnie ścisnęła jego ramię. Nie odezwała się ani słowem po wybuchu, a on nie ośmielił się zapytać, czy wzrok jej powraca. Jego wzrok poprawiał się, chociaż bardzo wolno. Nie mogli poważyć się na ucieczkę po tak nierównym podłożu, obawiając się przy tym, że mogą być zauważeni przez straż Wroga.

Burza ucichła, ale czy była jeszcze noc, czy dzień, tego Ayyar nie mógłby powiedzieć. Jednakże skałę, za którą przycupnęli, wciąż opływało światło ze wschodu, tworząc jakby wachlarz, przecięty cieniem ściany rowu i skały. Widząc to Ayyar zrozumiał, że odzyskał wzrok. Zapytał miękko Illylle:

— Co teraz widzisz?

Otworzyła zaciśnięte dotąd powieki i zamrugnęła. Wbijając palce w jego ciało, powiedziała: — Trochę... niewiele... ale wszystko niewyraźnie. Ayyar, a co jeśli...

— Jeśli trochę widzisz, to znaczy, że wzrok powraca, — pośpieszył uspokoić ją, mając nadzieję, że mówi prawdę.

— Czy widzisz dosyć aby można było wyruszyć?

Jeśli jej wzrok nie poprawi się bardziej, to musi znaleźć lepszą kryjówkę dla nich obojga, i to szybko. Kto wie co może polować w okolicy? Pieczara, jakieś miejsce w wąwozie, gdzie jeden człowiek z mieczem mógłby bronić dostępu — oto czego potrzebowali. Nie ośmielił się jednak wyruszyć na poszukiwanie sam; na razie muszą pozostać razem.

— Poprowadź mnie — powiedziała z determinacją, w pełni panując nad sobą. — Ruszajmy.

I tak rozpoczęła się najgorsza część ich podróży, wielokrotnie przerywana, gdyż z każdego ocienionego miejsca I Ayyar wpatrywał się w drogę przed nimi i planował drobiazgowo następny ruch. Zrezygnował już z nadziei śledzenia robota. Posuwali się zygzakami i zakosami na zachód.

— Jest jakaś poprawa? — zapytał po około dziesięciu skokach.

— Niewielka, bardzo niewielka. — Miał nadzieję, że powiedziała prawdę, a nie żeby go tylko pocieszyć.. Jak dotąd nie znalazł żadnego dogodnego miejsca na schronienie. Okrążyli kamienną ścianę i teraz Ayyar ujrzał błyski wprost przed nimi. Nie były wprawdzie tak jasne

jak światło za ich plecami, ale również nie wróżyły nic dobrego. Włożył gogle z liści i pomógł Illylle zrobić to samo. Osłabiło to siłę światła, ale Illylle potykała się jeszcze częściej.

— Co to może być?

— Tylko jedno: Biały Las.

Rozbłyski były wysyłane przez kryształowe drzewa odbijające światło ze wschodu. Biały Las, jeśli nawet nie bronił dostępu do samego serca domeny Nienazwanego, musiał leżeć w jego pobliżu. Czy byłoby w stanie spenetrować go bez przewodnika? Przeszli go kiedyś jako więźniowie poruszającego się skafandra kosmicznego, odnajdując z łatwością kierunek, gdyż gałęzie odstające zawsze pod kątem prostym swym układem wskazywały drogę.

— Las... — powiedziała Illylle tęsknie.

Tak, las — ta oaza zieleni na ziemi Wroga, która utrzymywała wziętych do niewoli Iftów przy życiu. Leżała ona jednak na dnie rozpadliny, do której wiodła drabina, a tej nie mogliby teraz pokonać.

— Chodź...

Poprowadził ją dalej. Światło, teraz bardziej intensywne, robiło dziwne wrażenie. Drzewa, które Ayyar pamiętał, stały . proste i wysokie, ale to światło rozchodziło się tuż nad ziemią. Gdy z trudem podpełzli bliżej, ujrzeni barierę nie do przebycia. Niegdysiejsze drzewa leżały w bezładnych stosach w postaci skorup, drzazg i ostrych odłamków pokrywając szczelnie ziemię i grożąc rozdarciem na strzępy każdemu, kto ośmieliłby się między nie wkroczyć. Musiała dokonać tego furia Zwierciadła podczas nie kontrolowanej burzy miesiące temu, a Nienazwane nie mogło lub nie chciało naprawić zniszczeń.

— Wszystko rozbite... — Illylle patrzyła na ziemię przed nimi. — My... tędy nie da się przejść!

— Nie.

— Gdy robot odszedł i zgubili jego ślad, stracili jedyny trop. Teraz nie pozostało im nic innego jak tylko podążać wokół granicy rozbitego Lasu, poszukując jakiegoś schronienia. Zachodzące słońce spowoduje powstawanie oślepiających refleksów światła, których nie będą mogli znieść, nawet jeśli ich życie zależałoby od tego.

Na północ czy na południe? Na północy leżało Zwierciadło i droga, którą przybyli. Obszarów na południu nie znali i nie mieli pojęcia, czy nie są obserwowani. Ayyar zwrócił się w tym kierunku wiodąc Illylle, szukając śladu schronienia. Nie mogli ciągle żywić nadziei na chmury i burzę.

— Ayyar! — Dziewczyna zaczęła węszyć z uniesioną głową.

Zapach przepętniający powietrze nie był odorem fałszywych Iftów ani żadnego innego tworzywa wyprodukowanego przez Nienazwanego. Chłodny i czysty, mówił o zieleni, o rozwijającym się życiu. Tu, na tej pustyni?

— Tędy! — zwróciła głowę na lewo. — Szybko, szybko!

Ayyar przytrzymał ją za ramiona, gdyż przed nimi znajdowały się mordercze odłamki kryształu. Nie był pewien, czy potrafiłby wybrać wolną drogę, nie wiedząc jak daleko muszą iść i co znajduje się dalej.

— To niebezpieczna droga... — zaczął.

— Nieprawda! — odparła stanowczo. — Musimy tylko znaleźć przejście...

Wybór wymagał od Ayyara takiej ogromnej koncentracji, że tylko wielkim wysiłkiem udało mu się tego dokonać.

Illylle postępowała za nim, posłusznie stawiając stopy tam gdzie kazał. Raz po raz musiał w najwyższym skupieniu odkładać nierówne, ostre kawały, zbyt duże, aby je obejść.

Towarzyszyła im ożywcza woń wolnej ziemi i rosnących żywych organizmów.

— Rosnących? — Zdziwiła się część jego umysłu. Przecież trwała zima; nie należało spodziewać się tu czy gdziekolwiek indziej zieleni. Może to kolejna pułapka Nienazwanego, z przynętą, której nie oprze się żaden Ift, który właśnie przebył Pustkowie? Nie, jedyną rzeczą,

której Nienazwane nie stwarzało własną wolą była imitacja prawdziwego życia na tyle dobra, aby wyprowadzić w pole mieszkańców Lasu.

Czy była to błyskawica, czy mocniejsze światło ze wschodu? Tak czy inaczej kryształ przed nimi zapłonął jaskrawo.

Illylle uczepliła się go ze wszystkich sił, a chociaż nie wydała z siebie głosu, Ayyar i tak wiedział, że cierpi. Jak długo jeszcze to potrwa?

Odłamki pod stopami znikły, stanęli niespodziewanie na twardym podłożu. Droga?! Ayyara korciło, by skrócić w nią, jednakże zapach lasu kusił ich nieodparcie. Popatrzył w obie strony — pusto. Jak długo...

Illylle pociągnęła go:

— Ruszajmy!

Przemknęli przez otwartą przestrzeń, a Ayyar zagroził drogę za nimi kawałami kryształu. Bielce polują, używając węchu, ale inni patrolujący okolicę wartownicy mogli kierować się wzrokiem. Szczęśliwie po tej stronie Las był mniej zrujnowany.

Teren obniżał się, tworząc kotlinę, spojrzeli w dół szukając zieleni. Uchwyt Illylle osłabł, na koniec puściła jego ramię.

— Powiedz prawdę — szepnęła — proszę, powiedz mi prawdę... czy są tam drzewa?

Nie były to olbrzymy, jakie rosły w ich Lesie, w rzeczy samej nie dorównywały tamtym nawet w połowie. Niemniej jednak były to najprawdziwsze drzewa, i to pokryte liśćmi w zimie. Zagadką pozostawało, jakim cudem rosły pośrodku wrogiego terytorium.

Illylle odwróciła głowę i choć gogle osłaniały jej oczy i większą część twarzy, usta jej uśmiechały się pierwszy raz od wielu dni.

— Nie rozumiesz? Nienazwane, aby coś wyhodować musi skądś zaczerpnąć siły wzrostu. Nawet jeśli to, co wyrośnie, jest nienaturalne, to zawsze na początku musiało być ziarno.

Właśnie to miejsce jest nasieniem, z którego Wróg wyhodował Biały Las; energia, którą go karmił z początku stąd pochodziła. Gniew Thanth zniszczył sztuczny twór, jakim był Biały Las, lecz prawdziwe ziarno nadał rosło. Raz używszy go, Nienazwane nie potrafiło go zniszczyć.

Ayyar nie wiedział ani skąd zaczerpnęła te wiadomości, ani czy były one prawdziwe, choć wiedział, że w nie wierzyła. Pragnęli jednak oazy zieleni w samym sercu śmiercionośnej pustyni jak spragniony wędrowiec na pustyni łąkanie wody. Zeszli na dół, z niecierpliwością ledwo hamowaną resztkami ostrożności, i raptownie zostali pochłonięci przez cienie konarów i liści. Illylle opadła na plecy, z szeroko rozpostartymi ramionami. Palce zanurzyła w żyznej glebie, jakby stały się odżywiającymi ją korzonkami.

Jeść...? Pić...? Ayyar oparł się plecami o pień drzewa i jedyne co do niego docierało to kojąca szorstkość kory i twardość pnia. Wystarczył krótki kontakt z wonią, dźwiękami i dotknięcie drewna, aby odnowić jego siły i odbudować zaufanie.

— Jeńcy i maszyny — pomyślał na głos — na pewno podążyli tamtą drogą. Z pewnością żaden Ift, z wyjątkiem imitacji, nie zdołałby...

— Ach... — westchnęła Illylle. — Tutaj tak ciężko się myśli. Musisz poddać się uczuciom, po prostu być...

Ayyar nie uległ jednak pokusie; pamiętał o spuściźnie, którą odziedziczył. Świadomość faktu, iż był kiedyś Kapitanem Pierwszego Kręgu, wojownikiem, walczącym desperacko w przegranej wojnie, nie pozwalała mu zapomnieć o zadaniu do wykonania. Tak łatwo przyszyłoby poddać się uzdrawiającemu działaniu lasu i stać się straconym dla misji. Ayyar wahał się, jego myśli błądziły pozornie bez celu. Ależ to właśnie było bezpieczne miejsce, w którym mógł zostawić Illylle! Nie wiedział, w jakim stopniu odzyskała wzrok, lecz podejrzewał, iż nadszedł czas, by zacząć działać w pojedynkę, bez ponoszenia odpowiedzialności za innych. Gdyby miał udać się na zwiad wzdłuż drogi, to musiałby zrobić to sam, spokojny o jej bezpieczeństwo.

Jak jej to powiedzieć? Poruszyła się, zamierzając powstać. Jej twarz okrył cień i opuścił ją wyraz zadowolenia.

— Jak widzisz?

Usiadła wyprostowana; ręce wolno, z wyraźną niechęcią sięgnęły po gogle. Zdjęła je i obróciła głowę w prawo i w lewo, przygryzając dolną wargę jak dziecko.

— Widzę niewyraźnie, wciąż bardzo niewyraźnie.

— Może więc zostaniesz na razie tutaj...

— Oboje zostaliśmy wybrani...

— Nie mówię — poszedł na kompromis — że nie pójdziemy razem do celu. Najpierw jednak muszę rozpoznać drogę przed nami.

— W ciągu dnia? Nawet moje biedne oczy nie mogą nie zauważyć tego — wskazała na promień słoneczny, który wślizgnął się do ich zielonego gniazda. — Pośród roztrzaskanego Lasu wzmacniającego blask stukrotnie?

— Możesz być spokojna, że nie zrobię nic bez głębszego namysłu. Mam zamiar tylko obserwować drogę i zbadać, czy ktokolwiek podróżuje nią za dnia. Jeśli światło słoneczne okaże się zbyt męczące, wrócę.

Włożył gogle, wspiął się z powrotem na skarpe — ze świeżej zieleni wprost w oślepiający blask Pustkowia. Słońce stało wysoko nad horyzontem, ale jeszcze nie piekło zbyt dotkliwie. Czołgał się, zważając na każdy swój ruch, aby nie rozciąć sobie ręki lub nogi na ostrzach odłamków.

Od strony drogi dobiegł go jakiś zgrzytliwy odgłos, wcisnął się więc pośpiesznie w ciasny prześwit między dwoma stosami kryształu. Zdążył w ostatniej chwili. Nic nie byłoby w stanie go zdziwić; nie zdziwił go także nadchodzący stary znajomy. Skafander kosmiczny z zaparowaną szybką hełmu, nie pozwalającą zobaczyć co (i czy w ogóle coś) jest w środku, stąpając flegmatycznie podążał na wschód.

Ayyar zamarł w bezruchu. Ongiś to coś lub jego bliźniak napotkało jego i Illylle i wzięło ich do niewoli. Czyżby nadchodziło ponownie w tym samym celu? Zrezygnowany czekał na to, że skafander zawróci z drogi i ciężko stąpając podejździe bliżej. Był tak pewien tego, że aż zamrugał z niedowierzaniem, gdy kombinezon nie zatrzymując się podążył dalej traktem.

Wtem, ku jego zdziwieniu, zjawiła się druga podobna postać. Kombinezon kosmiczny? Tak mu się wydawało, ale jego proporcje wskazywały, że nie był przeznaczony dla humanoida. Niski, przysadzisty, o wiele za szeroki w ramionach. Był wyposażony w cztery kończyny dolne, ale za to nie posiadał ramion, jeśli nie liczyć rury owiniętej wokół korpusu. Hełm był kiedyś z pewnością całkowicie przezroczysty, lecz teraz mgiełka nie pozwalała dojrzeć, co jest w środku.

Podążał za swym poprzednikiem na wschód tym samym równomiernym krokiem.

Chociaż Ayyar leżał spokojnie w ukryciu, a kryształy ostrzegały go o niebezpieczeństwie pojawiającym się na otwartej przestrzeni, nie zauważył ani śladu ludzi z portu, osadników czy fałszywych Iftów. Doliczył się za to jeszcze czterech wędrujących skafandrów; dwa starego typu pochodziły z ludzkich statków, jeden był tego samego czteronogiego rodzaju co uprzednio. Ostatni poruszał się na gąsienicach jak maszyna. Umieszczony na nim owalny korpus wskazywał na zaawansowaną technikę. Wokół niego rozmieszczono małe otwory, jakby przyłącza, wszystkie jednak teraz zamknięte. Dwie anteny na szczycie korpusu mogły kiedyś być elastyczne i ruchome, teraz jednak zwisały zwiotczałe, i raz po raz obijały się o zewnętrzną jajowatą powłokę.

Wszyscy członkowie tego dziwnego towarzystwa ciągnęli dwójkami na wschód, z odstępem czasu między każdą parą. Ayyar podejrzewał, iż byli oni na patrolu, ale nie wiedział, czy mogła to być jakaś regularna formacja.

Wrócił do odświeżającej zieleni schronienia i podzielił się obserwacjami z Illylle. Słuchała go z zainteresowaniem.

— Widziałeś kiedykolwiek przedtem skafandry kosmiczne podobne do tych?

Ayyar roześmiał się.

— Nawet gdy byłem Naillem Renfro nie wiedziałem wszystkiego o kosmosie. Ludzkie kombinezony były bardzo starego typu, być może te obce również.

— No, a ci w środku?

Ayyar zawahał się.

— Jakoś nie mogę uwierzyć, że zawierają one życie, nie w postaci, w której je znamy.

— I ja tak sądziłam. Posłuchaj. — Przykryła jego dłoń spoczywającą na ziemi swoją ręką.

— Gdy byłam tutaj sama, nadeszła wiadomość. Nie w postaci słów lub chociażby wyraźnie sformułowanych myśli. To miejsce jest ośrodkiem mocy, a my niesiemy owoce tej mocy w sobie. Wierzę teraz, że jeśli otworzymy nasze umysły, możemy dowiedzieć się więcej o tym, co pragnęło dotrzeć do mnie...

— O Nienazwanym?!

Poderwał się czujnie na wspomnienie tego co się stało, gdy tylko Naill otworzył się na sugestie.

Potrząsnęła głową energicznie:

— Nie Nienazwane! Nie tutaj! Jesteśmy posłani jako narzędzia i być może to, co w nas wstąpiło, próbuje teraz otworzyć pamięć Illylle i pamięć Ayyara, tak ogromnie nam potrzebne w tej chwili.

Wahał się niepewny, ale przekonał go jej entuzjazm i wreszcie zgodził się spróbować.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Leżeli nie na wypalonej słońcem Pustkowie ziemi, lecz na czarnej, bogatej glebie, gotowej pod zasiew. Tak jak uprzednio Illylle, zanurzyli w niej głęboko palce jak korzenie, starając się wtopić w otoczenie. Ayyar wciąż obawiał się otworzyć swój umysł; byłoby to jak otwarcie drzwi na oścież, wystawienie się na atak Nienazwanego. W tym zielonym zakątku trudno było to sobie w ogóle wyobrazić.

Żadna z młodych roślinek tu rosnących nie pochodziła z Wielkich Koron. Jeśli Illylle miała rację i Nienazwane zaczerpnęło moc służącą mu do wyhodowania Białego Lasu właśnie stąd, to przecież żadne z ziaren nie wykiełkowałyby tu. Z drugiej jednak strony, nasiona wykiełkowały w miejscu ich dawnego uwięzienia, które również pozostawało pod wpływem Nienazwanego.

Iftsga, Iftcan, rodzinny Las... myśl jego wciąż powracała do tamtej zieleni. Wiosna, wzbierające soki żywotne i przebudzenie Iftów. Lato ze swymi długimi, pięknymi nocami, spędzonymi na polowaniach. Życie pełnią życia. Jesień i ostatnia, obietnica Wielkich Koron, zbliżająca się pora snu. Zima, którą, ciała spędzały bezpiecznie we wnętrzu którejś z Wielkich Koron, podczas gdy umysły przemierzały krainę marzeń.

Dokąd właściwie prowadziły ich tamte sny? Wspomnienia blade jak cień, zmacone obrazy. Zima... zimowe sny, można wówczas dowiedzieć się... dużo...

O czym...?

Jedno z owych niewyraźnych wspomnień nagle stanęło mu przed oczami jak żywe. Oglądając je jak film, uczepił się go ze wszystkich sił. Tak... tak... ale czy zdołają tego dokonać? Nie był przecież Mistrzem Zwierciadła; do jakiej mocy mógłby się odwołać?

Jego ciało dało odpór owym wątpliwościom — nagle poczuł wzbierającą falę ciepła, gdy coś wewnątrz niego zażądało dla siebie wolności i czynu. Przywrócony chwili obecnej Ayyar otworzył oczy i ujrzał zielony dach konarów nad głową. Wewnętrzna potrzeba wciąż przynaglała go do działania. Poruszona Illylle wpatrywała się w jego twarz.

— A więc teraz już wiemy — powiedziała miękko teraz wiemy...

— W którymś z kombinezonów... — zdawał się ważyć różne możliwości.

Zmarszczyła brwi:

— One są obce. Czy naprawdę mogą nam się przydać?

— A mamy lepsze rozwiązanie? Myślę, że nie ma innej możliwości...

— To ty musisz pójść.

Zaakceptował to chętnie Ayyar wojownik, nie Illylle kapłanka. Zgromadził tak wielką energię, że mógłby porazić Illylle gdy spróbuje jej użyć. Jednakże część Illylle podąży wraz z nim, w nim, gdyż Thanth jednocześnie obdarzyło ich oboje. Tak więc rzuci wyzwanie Nienazwanemu uzbrojony w podwójny dar.

Nie był jeszcze pewien, jak tego dokonać. Rozumiał jasno jedynie swoje zadanie przekazane z dziwnego snu z przeszłości, lecz nie był pewien znaczenia części, która dotyczyła humanoidalnego kombinezonu kosmicznego.

Jak pochwycić jeńca? Wprawdzie fałszywi Iftowie ginęli od energii wysyłanej przy dotknięciu mieczem, czy można jednak w ten sam sposób potraktować skafander? Czy ośmieliłby się zmarnować tyle energii?

Odwrócił się do Illylle.

— Czy jeśli będę zmuszony do użycia mocy, aby go pojmać, stanę się słabszy? — zapytał.

— Na pewien czas, tak. Tak jak wtedy, gdy nieśliśmy fałszywego Ifta. Potem moc znów napłynie. Myślę, że nie wysłano nas bez takiej asekuracji.

— A co z tobą?

— Gdy nadejdzie czas, przekażę ci wszystko, co otrzymałam od Thanh, i zasnę. Musimy więc znaleźć legowisko, w którym będę bezpiecznie oczekiwać na twój powrót.

Powiedziała te słowa z tak niezachwianą ufnością, że aż się zdziwił. Nie ośmielił się wyrazić głośno wątpliwości co do możliwości swego powrotu, nawet w razie zwycięstwa.

— Nie ma czasu do stracenia — mówiła dalej. — Jeśli skafander nie zjawi się, musimy znaleźć jakiś inny sposób...

Zwiad wzdłuż drogi oznaczał ponowne wyjście na słońce, wprost w oślepiające światło, ale nie było wyboru. Miał tylko nadzieję, że gogle wystarczająco ochronią jego oczy, gdy nadejdzie czas działania. Jak powalić wędrujący kombinezon? Kawałem kryształu? Nie, nawet jeśli da radę zwalić go z nóg, to w pełnym słońcu nie mógł być pewien, co widzi. A gdyby w środku coś było? I co by to mogło być?

Liczył, że w ostatniej chwili łatwiej zdecyduje się na metodę działania. Illylle bez słowa odprowadziła go wzrokiem, gdy wspinając się opuszczał oazę zieleni, by wyjść na rozpaloną pustynię Pustkowie. Odwrócił głowę, by spojrzeć na miejsce, w którym leżał przed chwilą, i zamknął oczy. Nasłuchiwał pilnie, gdyż kombinezony, które wypatrzył uprzednio, było słychać na długo zanim się ukazały.

Żar słoneczny dosłownie wciskał go w ziemię — zdawało mu się, że tego nie wytrzyma i umrze, jeśli natychmiast nie cofnie się do schronienia wśród zieleni. Walcząc ze słabością własnego ciała nie przestawał jednak nasłuchiwać, nekany myślą, że cały jego wysiłek zda się na nic, gdyż i tak poniesie porażkę.

Słuch nie zawiodł go; w końcu usłyszał zbliżający się chrzęst. Ocinając oczy spojrzął na wschód. Nadjeżdżał jeden z robotów na gąsienicach, a w pewnej odległości za nim pojawił się następny, człekokształtny.

Czekaj — jeśli wracają w tej samej kolejności, to należy zaatakować ostatniego, czyli poprzednio prowadzącego. Jego zniknięcie nie zaalarmowałoby reszty oddziału.

Trzeci zbliżał się na czterech nogach, potem humanoidalny, i znów czteronogi — Ayyar czekał w gotowości z wyciągniętym mieczem. Jeden za drugim przejeżdżały lub przechodziły koło niego. Teraz! Ten będzie ostatni.

Przykucnął zbierając się do skoku; skafander go właśnie mijał... teraz.

Jednym susem dopadł pobrużdżonej drogi. Wziął zamach i czubkiem miecza dotknął hełmu kombinezonu kosmicznego, który wśród sypiących się iskier zatrzymał się raptownie, podczas gdy jego nie wzruszeni towarzysze maszerowali lub toczyli się dalej.

Ift czekał na jakikolwiek znak z ich strony, świadczący, że zauważyli stratę swego towarzysza. Nic takiego nie nastąpiło. Gdy tylko pozostali znikli za obniżeniem terenu, Ayyar schował miecz i schwycił jeńca za ramię. Pod jego dotknięciem kombinezon runął na ziemię, a Ift zaskoczony czujnie odskoczył. Widząc, że leży bez ruchu wrócił i powłókł nieruchomy obiekt do ich zielonej kryjówki.

Dotyk metalu wywołał w nim falę mdłości i wątpliwości, czy będzie w stanie zrobić to, co zamierzał; nie widział jednak innego wyjścia. Sflaczały skafander wypadł mu z rąk i potoczył się w dół zbocza, podskakując i łamiąc po drodze gałęzie. Był tak lekki, że nie musiał być wewnątrz pusty.

Ayyar podszedł i rozłożył go płasko na ziemi. Był to model bardzo stary, wręcz archaiczny, o wiele prymitywniejszy od używanych na statku należącym do Renfro, lecz w ogólnych zarysach podobny, tak że nie miał żadnych kłopotów z odpięciem zacisków.

Zamglony hełm odpadł, a z pustki wewnątrz wydobył się mały obłoczek pary. Ayyar zakrztusił się i rozkaszał; upuścił hełm na ziemię. Wyziwy wydzielały ostre, metaliczny, gryzący zapach, który aż wiercił w nosie.

Stało się oczywiste, że skafander nie okrywał żadnego żywego ani martwego organizmu. Na ten widok Ayyar odetchnął z ulgą, a czająca się od dawna zmosfera nareszcie opuściła ciemne zakamarki jego umysłu.

Odłożył hełm na bok i rozpiął resztę okrycia. W części przeznaczony na klatkę piersiową znajdowały się kable i małe pudełko. Ayyarowi przyszło na myśl niemiłe skojarzenie skafandra wyposażonego w mechaniczne serce z robotem. Pudełko było poczerniałe i jakby nadpalone, a z jego wnętrza wydobywały się smużki dymu. Nie chcąc dotykać czegokolwiek rękami, Ayyar uniósł i oderwał kable za pomocą ułamanych gałęzi, a następnie schwycił nimi pudełko i wyrzucił poza teren doliny.

Reszta skafandra była pusta. Illylle zerwała całe naręcza liści z krzaków i młodych drzewek, po czym wybrała niektóre, podeszła do kombinezonu i podała je Ayyarowi.

— Rozetrzyj je na wewnętrznej stronie ubioru — zaproponowała. — Oczyszczą go i może ułatwią ci przebywanie w nim.

Wybrane przez nią liście były aromatyczne, więc posłuchał jej chętnie. Upewnił się, że całe wnętrze zostało natarte.

Na stronie wewnętrznej pozostało mnóstwo zielonych plam, ale gdy skończył, nie czuł już obcego, pozaplanetarnego odoru.

Przypuszczał, że kombinezon będzie na niego pasował, chociaż był znacznie szczuplejszy niż dawny jego właściciel. Problemem mogło okazać się chodzenie w tak ciężkim ubiorze; zapewne będzie poruszał się powoli i niezgrabnie. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie zdradzi go to przed tymi, którzy wysłali ten bezzałogowy patrol.

Przednia szybka hełmu była zamglona i nie pozwalała nic dojrzeć. Podniósł go i pocierając liśćmi oczyścił dość miejsca, by co nieco widzieć. Wprawdzie pole widzenia i tak będzie mocno ograniczone, ale miał nadzieję, że będzie widział nie gorzej niż w południe w goglach.

Nie śmiał dłużej zwlekać. Zwrócił się do Illylle.

— Gotowe.

— Zanim go włożysz, chodź ze mną.

Zaprowadziła go przez las do przeciwległego końca wąskiej doliny.

— Popatrz tam — wskazała.

Była tam pusta wnęka w ścianie, a w zasięgu ręki stos kamieni, świeżo zgromadzonych, sądząc z otartego mchu i śladów ziemi.

— Gdy będziemy gotowi do działania, zamaskuj dostęp do mnie kamieniami, tak abym mogła spać nie niepokojona, aż do czasu gdy po mnie przyjdiesz.

— A jeśli nie wrócę...? — Nadszedł czas na wypowiedzenie tego pytania.

— Nigdy nie myśleliśmy, że zadanie na nas nałożone będzie łatwe lub przyjemne. Robimy to co niezbędne, aby ziarno przetrwało, i służymy temu, co przywróciło nas do życia po upływie stuleci. Czyż nie tak?

Skinął głową, gdyż była to prawda.

— Masz rację.

— A więc — wzięła głęboki oddech — podaj mi ręce i czekaj.

Illylle stanęła plecami do ściany doliny trzymając jego ręce w swoich i cichutko, prawie mrucząc, zaśpiewała. Słowa nie były skierowane do niego i wyrażały poddanie, odejście, rezygnację z mocy i wolnej woli.

— Wokół jej głowy, ramion, tułowia ukazały się srebrne strumyczki spływające do Ayyara za pośrednictwem jej rąk; przekazała mu w ten sposób swój dar od Thanth. Mrowienie, które odczuwał zrazu w rękach, rozprzestrzeniło się na całe ciało. Trwali tak, dopóki ostatni strumyczek nie odpłynął z Illylle. Zamknęła oczy i z pobladłą twarzą osunęła się bezsilnie w objęcia Ayyara.

Zdawała się prawie nic nie ważyć, tak krucha i delikatna spoczywała w jego ramionach. Łagodnie ułożył ją w niszy, otulając obu pelerynami. Sprawnie zbudował ścianę z kamienia, zacierając przed nieprzyjaznym wzrokiem wszelkie ślady swej pracy.

Skończywszy powrócił do kombinezonu i zaczął się w niego odziewać. Illylle miała rację; po przetarciu liśćmi można było w nim wytrzymać, chociaż, nadal zapięcie hełmu wymagało od niego nie lada determinacji.

Dla Ifta, przywykłego do luźnego i nie krępującego ruchów w czasie polowań ubioru, była to bardzo ciężka próba.

Podniósł z ziemi miecz i zdołał jakoś przymocować jego pochwę do pasa. Miał nadzieję, że broń może być uznana za trofeum i nie wzbudzi podejrzeń. Wygramolił się niezgrabnie z doliny i wkroczył na drogę. Pozostał daleko za resztą patrolu, ale na to nie mógł nic poradzić.

Było mu teraz znacznie łatwiej poruszać się i na szczęście widział dostatecznie dobrze, aby unikać nierówności szlaku.

Droga opadała całą serią obniżen terenu, tworząc jakby olbrzymie schody. Po obu jej stronach zalegały sterty skorup Białego Lasu. Ayyar wypatrywał wielkiej przepaści, która była kresem ich dawniejszej wędrówki. Lecz szlak, którym podążał, skręcał na południe i wiódł dalej nad krawędzią rozpadliny. Opary kłębiące się poniżej skrywały przed jego oczami przedziwne kryształowe ściany, na których onegdaj szukali z Illylle drogi ucieczki. Nie wiadomo, co też mogło leżeć w owej głębinie.

Teraz droga znów opadła, biegnąc po łagodnym stoku w głąb, podczas gdy ściana po lewej rosła coraz wyżej, piętrząc się nad nimi jak wieża. Po obu stronach szlaku widniały obszary tego samego kryształu, z którego utworzone były drzewa Białego Lasu.

Na tle jednego z nich widniało coś ciemnego. Ayyar podszedł bliżej i stwierdził, że spoczywa tam osadnik z rozczochraną brodą i w strzępach odzieży. Leżał skulony, z odrzuconą w tył głową i Ayyar domyślił się, że nie żyje. Zatrzymał się przy owym milczącym świadku i spojrzął na drogę przed sobą. Znajdował się w rozległej dolinie. Od jej czerwonożółtego piaszczystego podłoża odcinały się matowoczarne kopce o nienaturalnych, geometrycznych kształtach. Część z nich widział całkiem dokładnie z miejsca, w którym się znajdował. Z pewnością musiały być bardzo wyraźne dla obserwatora umieszczonego wysoko na niebie.

Trudno było sobie wyobrazić ogrom pracy włożony w ich usypanie.

Między hałdami snuły się bez żadnego celu niewyraźne sylwetki; być może osadnicy lub ludzie z portu, a może inne skafandry ożywione wolą Nienazwanego. Maszyny zachowywały się podobnie. Ujrzał karczownik dudniący wzdłuż podnóża hałdy, skarłały przy jej ogromie.

Nie miał pojęcia, czym było to miejsce i do czego było przeznaczone. Z pewnością bezpiecznie chroniło sługi Nienazwanego w czasie, gdy nie byli mu potrzebni. Bardzo prawdopodobne, że jako jeden wśród tak wielu miał szansę, by nie zostać odkrytym. Musiał jednak odnaleźć drogę do schronienia Nienazwanego, gdziekolwiek się ono znajdowało, lecz nie miał pojęcia, w którą stronę się zwrócić. Dokona tego, nawet jeśli wymagałoby to przeszukania całego Pustkowie! Zdecydował się zejść w dół ku hałdom.

Stąpając ostrożnie, zastanawiał się, jak to możliwe, by żaden z wczesnych odkrywców Janusa nie napomknął o czymś tak doskonale widocznym z wysoka? Dlaczego nie widniało to na żadnym ze zdjęć dokonanych przed wpuszczeniem osadników na planetę? Takie ślady miejscowej inteligencji nie pozwoliłyby na wystawienie planety na pierwszej aukcji, na której Konsorcjum uzyskało swe prawa przed prawie stu laty. Drzewa będące pozostałością Iftcanu mogły pozostać, tak jak to się w rzeczy samej stało, niewidoczne dla odkrywców, ale to, co znajdowało się tutaj — na pewno nie!

Im bliżej Ayyar podchodził do hałd, tym bardziej go zadziwiały. O ile mógł to ocenić, nie były one budynkami, ale masywnymi kopcami ziemi. Może to miejsce pochówku jakiejś dawno zaginionej rasy? Pamięć Iftów odnotowała, poza własnym rodzajem, istnienie jedynie Nienazwanego i Larshów. A na dodatek ci ostatni byli istotami pierwotnymi, które dopiero wyodrębniły się spośród zwierząt w ostatnich dniach istnienia Iftcanu. Możliwe jednak, że tysiąc lub nieco więcej lat istnienia pozwoliło im na rozwinięcie cywilizacji pod dominacją

Nienazwanego, a owe monumenty wzniesiono ku pamięci przodków lub w hołdzie potędze, która miała ich poprowadzić przeciw Lasowi.

Wokół butów narastała coraz grubsza warstwa piasku, gdyż był teraz zmuszony posuwać się ciężko szurając nogami. Przystanął na krótko, gdy minął go człowiek w uniformie służby bezpieczeństwa portu. Oczy w zapadłej twarzy miał martwo i bezmyślnie utkwione w jakimś nieokreślonym punkcie przed sobą. Jak mechaniczna zabawka, nakrecona, a potem pozostawiona samej sobie, ślizgał się po piasku, nieustannie zmieniając kierunek marszu, jakby miał zamiar tak chodzić dopóki śmierć nie uwolni go od tego obowiązku.

Wszyscy, których Ayyar mógł wyraźniej dojrzeć w pobliżu, zachowywali się podobnie. To skręcali, to zawracali z drogi, dreptali bez celu to tu, to tam, byle tylko utrzymać się na nogach i nie ustawać w ruchu. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu chodzących skafandrów, ale nie było ich w zasięgu wzroku. Nie dostrzegł również żadnych śladów na piasku, za którymi mógłby podążyć. Pomyślał sobie, że jeśliby okrążył dolinę tuż przy jej ścianach, to nie wchodziłby w drogę niestrudzonym wędrowcom.

Ściany wokół wznosiły się pionowo, a z ich powierzchni wystawały kryształowe, tworząc nieregularne formy. Dwukrotnie w ciągu okrążania ścian Ayyar natknął się na ciała leżące z rozrzuconymi bezwładnie rękami, jakby po prostu bez uprzedzenia osunęły się na ziemię. Obaj mężczyźni byli osadnikami, nie pracownikami portu. Dookoła wciąż snuli się inni, a maszyny nadal toczyły się i pęzły bez celu.

Ayyar z trudem posuwał się naprzód; kombinezon ciążył mu coraz bardziej, a każdy następny krok wymagał coraz większego wysiłku. Obawiał się jednak zatrzymać, by nie zwrócić uwagi jakiegoś obserwatora swym bezruchem na tle innych. W końcu zmęczenie zmusiło go, by oparł się plecami o ścianę i odpoczął, obserwując jednocześnie dolinę.

Słońce wyznaczało popołudnie, a Ayyar tęsknił do nastania nocy. Nie zauważył tu ani jednego fałszywego Ifta.

Może i oni, i skafandry mieli dla siebie jakieś specjalne, osobne miejsce. Nie poddając się, ruszył ponownie.

Na szczycie mijanego właśnie kopca zauważył coś dziwnego. Z wysiłkiem uniósł głowę próbując dojrzeć cokolwiek.

Stał tam nieruchomy i cichy fliter; zapewne odpoczywał.

Zmiana nastąpiła znienacka — gdyby nie to, że właśnie odpoczywał, niczego by nie zauważył. O krok od niego osadnik zachwiał się niepewnie. Zatrzymał się raptownie z jedną stopą wciąż uniesioną. Przez moment trwał tak nieporuszony, aż runął na ziemię. I nie on jeden; wszyscy momentalnie padli tam, gdzie stali. Ayyar był jedynym stojącym na otwartej przestrzeni, na której ruch zamarł w jednej chwili.

Wyczuwał coś... Czyjaś penetrująca myśl? Poszukiwanie jego? Lub czegoś obcego w dolinie? Niepokój skłonił go do ukrycia głęboko wszelkich myśli, wymazania Ayyara najlepiej jak było można. Być może ocaliła go moc Zwierciadła, która nań spłynęła tamtego dnia. Był świadom obecności czegoś krążącego dookoła, zupełnie jakby jakaś wielka ręka o zakrzywionych szponach gotowych go schwytać znajdowała się wysoko nad jego głową.

Czas mijał; cienie kopców rosły i ciemniały, połykając nieruchome ciała leżących na piasku ludzi. Obca myśl wciąż szukała, penetrowała... Ayyar nie ośmielił się nawet mieć nadziei, że mógłby ująć temu poszukiwaniu.

Nagle zniknęła — równie raptownie, jak się pojawiła.

Jednak nikt z leżących nie podniósł się ani nie poruszył; dolina była jak wymarła. Czy ośmieli się poruszyć? Czy ruch nie zdradzi go? Nie mógł spojrzeć w innym kierunku bez obrócenia całego ciała. Czy musi udawać posąg przez dalsze długie godziny? W nocy, oczywiście w nocy gdy ciemność otuli go jak peleryna — wtedy zdobędzie się na odwagę i odejdzie!

Nie musiał czekać aż tak długo. Spomiędzy dwu kopców wyłoniła się para kombinezonów, jeden człekokształtny, a drugi czteronogi. Przystawały to tu, to tam przy leżących nieruchomo postaciach, i, o ile mógł dojrzeć, nie robiły nic, tylko tak stały. Na koniec ten o ludzkich kształtach podniósł jednego z bezwolnych ludzi i potrzymał w pionie, dopóki nie został on uchwycony linopodobną kończyną drugiego. Pomaszerowali razem w kierunku końca doliny, podtrzymując ciało między sobą. Ayyar zaryzykował i ruszył w ślad za nimi.

Mężczyzna przez nich ciągnięty nosił uniform z oficerskimi insygniami na kołnierzu. Być może Nienazwane ściągnęło tu cały personel portu. Skafandry skrzyły w lewo i wtedy przesłonił je jeden z mniejszych kopców. Ayyar pośpieszył wzdłuż ściany, chcąc je dogonić przy końcu hałdy, gdy jednak tam dotarł nie ujrzał nikogo!

Czekał, lecz nie pojawili się, oderwał się więc od ściany i poszurał przez piach ku tamtemu kopcowi. Idąc wzdłuż jego krawędzi planował podążyć w ślad za tamtymi gdy tylko ich ujrzy. Wyjrzał zza narożnika — nikogo, zwrócił, się do tyłu — to samo. Zadrzał z obawy, iż mogli obrać inny kierunek marszu.

Nie było tu nic, zupełnie nic! Jakby skafandry i ich więzień byli całkowitą iluzją. Ayyar ruszył wzdłuż ściany po lewej na spotkanie śladów. Nie dając znaków życia leżało tu kilku osadników i dwaj ludzie z portu. Zdawało mu się, że w pewnym oddaleniu widzi wryte w piachu ślady pochodzące od stóp na poły wlezonego, na poły niesionego człowieka.

Ślady urywały się pośrodku krawędzi kopca; albo ulecieli stąd albo zapadli się pod ziemię. Z braku lepszego pomysłu wyciągnął ramię w sztywnym rękawie i dłońią w rękawicy uderzył z całej siły w ścianę kopca. Wyrwana gruda odpadła, kontrastując z jaśniejszym kolorem piasku. Teraz dojrzał inne takie grudki przy końcu śladów.

Czyżby wspięli się na górę? Odwrócił się twarzą do ściany kopca i posuwał wzdłuż niej z wysiłkiem, mrużąc oczy by dojrzeć cokolwiek przez zabrudzoną szybkę. Dopiero przy bardziej uważnej obserwacji dostrzegł wgłębienie, prawie na poziomie oczu. Podniósł rękę i wsunął ją do otworu.

Nagle poczuł, że piasek pod jego stopami zapada się.

Zanurzył się już po kolana, zanim zdołał wyciągnąć rękę z otworu. Piasek sypał się na boki, podczas gdy on zanurzył się już aż po pas. Wokół rósł wał piasku, który na koniec powstrzymał ten suchy potop. Pod stopami poczuł platformę opuszczającą się równomiernie, prawdopodobnie wewnątrz jakiegoś szybu.

W tym niezgrabnym kombinezonie nie miał najmniejszej szansy by wspiąć się dostatecznie szybko i uciec z pułapki.

Stał się takim samym więźniem jak człowiek, którego tu zawleczono przed nim.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie było tu ścian, dlatego Ayyar uznał, że nie zjeżdża szybem. Stał nieporuszenie na środku opuszczającej się platformy, nie czując się zbyt pewnie. Było ciemno, zbyt ciemno, nawet dla Ifta. Nie mógł unieść głowy uwięzionej w hełmie, by popatrzeć na świat znikający w górze.

Gdy się wreszcie zatrzymali, Ayyar przez długą chwilę nie poruszał się, w nadziei, że może ruszą znów w górę.

Kiedy to jednak nie nastąpiło, wysunął ostrożnie prawą stopę do przodu, nie odrywając jej od podłoża. Piasek zachrzęścił pod jego ciężarem gdy wreszcie but napotkał inną płaszczyznę, podłogę owej tajemniczej jamy.

Ayyar zaryzykował, odpiął zamki hełmu i zwiesił go na plecy. Z głową uwolnioną od skafandra jego wzrok działał jak należy. Mógł odchylić się do tyłu i zobaczyć prostokąt światła wysoko w górze. Nagle platforma, sypiąc piasek dookoła, ruszyła i chociaż uwiesiwszy się na niej całym ciężarem, nie zdołał jej zatrzymać.

Sturlał się więc z nie ogrodzonej powierzchni i odsunawszy się, by uniknąć zasypania piaskiem, odprowadził ją zrezygnowanym wzrokiem. Wprawdzie nie widział teraz wiele więcej, ale przynajmniej nie był uwieszony w hełmie. Zanim źródło światła nad głową zostało przesłonięte przez platformę, zdążył jeszcze rozejrzeć się pośpiesznie dookoła.

Na wyciągnięcie ręki do przodu i z tyłu miał ścianę.

Z lewej i z prawej — ciemność. W którą stronę powinien się udać, żeby dogonić swoich poprzedników? Dotarło do niego coś w rodzaju brzęczenia dochodzącego ze ścian. To miejsce żyło i czuwało, ale z pewnością nie była to emanacja umysłu człowieka czy Ifta.

Otwór nad nim zamknął się, pozostawiając go w ciemności, która nie trwała jednak długo. Dla ludzkich oczu, pomyślał, mogło być zbyt ciemno, ale on wyłapał pulsowanie biegnące wzdłuż ścian. Gdyby ciemność posiadała cień, to właśnie obserwował, jak przepływa jeden za drugim, czarniejszy od ciemności. Czy można zobaczyć energię? Nabrał powietrza; niesło jakiś słaby, dziwny odór. Ależ tak, to zapach człowieka! Czyż w tych warunkach mógł jednak polegać na swoim nosie jako tropicielu?

Węsząc uparcie Ayyar zagłębił się w lewą odnogę. Zapach utrzymywał się na stałym poziomie. Piach chrzęszcząc usuwał się pod jego butami. Po kilku krokach wkroczył na gładką powierzchnię, tu i ówdzie wydającą głośniejsze dźwięki, pomimo wysiłków, jakie czynił, by poruszać się jak najciszej. Wzór cieni na ścianie nie ulegał zmianie i jeśli zaalarmował kogoś wchodząc, to nie zauważył żadnych ostrzegawczych znaków.

W murze nie było żadnych przerw i w chwilę później oglądając się wstecz, nie był już pewien, którędy tu wszedł.

Jeśli to pułapka, to w sposób oczywisty dał się złapać.

Wiedział, że nie tylko nos, uszy i oczy są mu pomocą, ale gdzieś w środku jakiś nienazwany zmysł czuwa, czekając na coś, czego on nie umiałby opisać słowami. Na co tak oczekiwał?

Dalej i dalej — tylko węch upewniał go, że jest na dobrym tropie. Teraz, gdy marszu nie opóźniał grząski piach, szło mu się łatwiej. Ayyar zdecydowany zachować ostrożność zwiadowcy, nie dawał ponieść się rosnącej chęci, by przyspieszyć kroku korzystając z łatwiejszej nawierzchni. Już myślał, że korytarz ciągnie się chyba bez końca, gdy ujrzał słaby odbłask przed sobą. Po chwili dotarł do okrągłych hermetycznych drzwi, które miały w zamiśle zamykać przejście, podczas gdy teraz kołysały się lekko uchylone. Był to dobrze mu znany rodzaj włazu, stosowany w wejściu do komory próżniowej na statkach kosmicznych. Zatrzymał się, wyciągnął ostrożnie rękę — poddały się lekkiemu naciskowi z łatwością.

Rozpłaszczył się na ścianie korytarza i z całej siły posłał skrzydło drzwi ku przeciwnej ścianie.

Mdle, szare światło. Czekał czujnie; wszystko to wyglądało na typową pułapkę. Człowiek, maszyna czy cokolwiek innego polującego tutaj, mogłoby czyhać w zasadzce, lecz nie byłoby w stanie ukryć się przed jego powonieniem. Wciągnął powietrze głęboko w nozdrza.

Słabe, gryzące wyziewy podobne do tych, które uwolniły się przy pierwszym otwarciu skafandra, zmieszane z odorem człowieka. Zbyt nikłe, aby się nimi przejmować.

Przekroczył wysoki próg najpierw uważnie mu się przyjrząwszy. Słabe światło sprzyjało oczom Ifta. Stał w pomieszczeniu prawdopodobnie dorównującym rozmiarami obwodowi Iftsigi. Było ono, w odróżnieniu od przekroju Wielkiej Korony, idealnie okrągłe. Dojrzał wyloty jeszcze trzech innych korytarzy, a raczej drzwi do nich prowadzące. Co więcej, centralny filar okrężały prymitywne schody — niewiele więcej niż drabina. Widok dobrze znany ze statków kosmicznych. Podszedł do stóp drabiny i węszył uniósłszy głowę, po czym, schyliwszy się niezgrabnie, powąchał stopnie.

Zapach, za którym podążał, był tu wszechobecny. Z powątpiewaniem zmierzył wzrokiem drabinę. Nie obawiałby się zwykłej wspinaczki w krępującym ruchu skafandrze, ale poruszanie się wewnątrz tej klatki schodowej wyglądało na pierwszy rzut oka na niewykonalne. Zdjęcie kombinezonu mogłoby okazać się jeszcze bardziej ryzykowne; nawet dalsze pozostawanie bez hełmu mogło go narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo. Musiał ryzykować, jeśli chciał cokolwiek zobaczyć.

Tak jak przewidywał, wspinaczka była trudna, nieustannie musiał podciągać się z pomocą obu poręczy. Drabina była metalowa i gładka; jeśli nie postawił buta bardzo uważnie — ześlizgiwał się. Wprawdzie skafandry kosmiczne były wyposażone w magnesy na podeszwach, jednak w jego skafandrze po prostu nie działały.

Poruszał się teraz wewnątrz pionowego szybu. Nie napotykał ani przerw, ani podestów. Co kilka stopni przystawał i sprawdzał, czy nadal nic się nie dzieje.

W miarę wędrówki otoczenie jaśniało, aż do natężenia światła księżycowego. Ściany zadziwiły go brakiem śladów łączenia płyt; zupełnie jakby cały szymb został wykonany w jednym kawałku. Ziąb i uczucie kompletnej obcości wyzwoliły w nim dawną odrazę. Czuł, że technologie wykorzystywane ongiś przez Nailla Renfro nie miały nic wspólnego z tymi podziemiami.

Wreszcie drabina się skończyła. Dotarł do drugiego kolistego pomieszczenia, z którego znów odchodziły korytarze; żadne z wejść nie było zamknięte. Tu dokonał zniechęcającego odkrycia, że nie będzie już dłużej mógł polegać na swym nosie jako przewodniku. Zbyt wiele zapachów dla Ifta odrażających, walczyło o pierwszeństwo. Którąkolwiek drogę wybrałby, nie byłby pewien słuszności dokonanego wyboru. Którędy więc?

— Spróbuj...

Pod Ayyarem ugięły się nogi — złapał odruchowo za rękojeść miecza. Przez pierwszą przerażającą chwilę myślał, że słowa te usłyszał wypowiedziane za swymi plecami, ale natychmiast się zorientował, że pochodzą z wnętrza jego własnego umysłu.

— Nienazwane?!!

— Spróbuj... miecza...

Bardzo słabo widoczny, ledwie cień półprzejrzystej twarzy Ifta — zamknięte oczy znamionowały sen lub nawet letarg, lekko zapadnięte policzki — Illylle! Nieco odmieniona od ostatniego widzenia, niemniej jednak to ona.

Nie zawołał jej imienia głośno, lecz wysilił w tym celu swe myśli pragnąc upewnić się, że to na pewno głos Illylle dotarł doń z oddali.

— Spróbuj...miecza... — Blade wargi tej widmowej twarzy widzianej wewnątrz umysłu poruszyły się.

Wyciągnął miecz i skierował go ku najbliższemu wylotowi. Nie wiedział, czego oczekiwać, ale i tak nic się nie wydarzyło. Powoli zwrócił go ku następnemu — i znów nic... Przy trzecim...

Zaledwie iskierka zielonego światła, zabłysła i momentalnie zgasła. Ostrzeżenie czy wskazówka? Był skłonny uwierzyć tej drugiej interpretacji.

Szurając nogami w ciężkim skafandrze wszedł w trzeci korytarz. Miecz skierowany ku podłozu nie dawał znaku życia. i Ten szyb nie był okrągły w przekroju, a sufit znajdował się tu znacznie wyżej. Miejscami na ścianach widniały rysy, zupełnie jakby coś wielkiego przepychało się tędy z trudem.

— Illylle? — zawołał ponownie w myśli.

— Obserwuj... miecz. Tym razem doszły go tylko słowa i tchnienie niebezpieczeństwa, tak jakby ich porozumiewanie się mogło wzbudzić jakieś zagrożenie. Kontakt został zerwany, ale Ayyar poczuł się podniesiony na duchu; nie szedł już zupełnie sam.

Brzęczenie w ścianach stało się mocniejsze i odczuł jakby pulsowanie powietrza. Silny smród maszyn trwał tu zakorzeniony od dawien dawna. Na lewo ujrzał zarys drzwi i nad nimi nie zasłoniętą szczelinę; zatrzymał się, by przez nią zajrzeć do środka.

Wielkie ciemne obiekty, których nie mógł zidentyfikować — maszyny? Pomruk wydobywający się stamtąd wydawał się przytłumionym grzmotem, raczej niską wibracją niż dźwiękiem. Trudno było o porównanie tego miejsca, Białego Lasu z Nienazwanym jako mocą kierującą ludzkimi zabawkami, takimi jak te tutaj — ze Zwierciadłem Thanth i tym, co nim władało, gdyż przekraczałoby to znacznie wiedzę i doświadczenie życiowe Iftów.

Czym było Nienazwane? Był bliski zrewidowania swoich poglądów. Kto i dlaczego zbudował to wszystko? Czy to wszystko używane było tylko przez jego sługi?

Po ominięciu miejsca, w którym znajdowały się maszyny, Ayyar nie zauważył żadnych innych drzwi. Wkrótce przechodząc między dwiema kryształowymi płytami znajdującymi się naprzeciw siebie zauważył iskrzenie miecza.

Podejrzliwie zwrócił się w prawo i czubkiem miecza dotknął błyszczącej płaszczyzny. Lekkie dotknięcie nie mogące zarysować powierzchni, spowodowało, że z tego punktu pęknięcia rozprzestrzeniły się łącząc się w sieć, aż w jednej chwili cały blok zmatowiał. Natychmiast odwrócił się i w ten sam sposób potraktował drugą płytę. Jeśli, jak się tego spodziewał, stanowiły one jakąś formę ostrzeżenia lub kontroli, to właśnie przestały działać. Nie wiadomo jednak, czy nie zdążyły już wysłać informacji o jego obecności. Możliwe, że rzucił wyzwanie temu, co zamieszkiwało podziemia.

Rozejrzał się w poszukiwaniu następnych płyt, zdecydowany zniszczyć je, zanim zdołają zdradzić jego ruchy, i odkrył jeszcze dwie.

Być może drobne powodzenia napęłniły go zbytnią pewnością siebie. Nie był przygotowany na to, co się stało, gdy przystanął, by nieco odpocząć przy ostatnim bloku. Nagle ruszył, a raczej to skafander ruszył, niosąc go ze sobą, i na nic zdały się wysiłki, by zmienić kierunek marszu lub chociaż rzucić się na ziemię.

Ayyar skoncentrował całą swą siłę woli i wielkim wysiłkiem udało mu się zmusić rękę trzymającą miecz do schowania go do pochwy. Obawiał się, że to, co kontrolowało teraz kombinezon, mogłoby upuścić lub odrzucić broń, wokół której skupiła się cała nadzieja na ujście stąd żywcem.

Uważał dotąd, iż skafander był kierowany za pomocą „serca”, które wyrzucił, jednakże wyglądało na to, że cały ubiór reagował na rozkazy z zewnątrz. Teraz poruszał się szybciej i łatwiej niż wtedy, gdy sam stawiał kroki. Był po prostu transportowany — jeniec bez widoków na ratunek, w nie lepszej sytuacji niż człowiek, którego śladem wkroczył do tego labiryntu.

Skafander unosił go maszerując równym krokiem, mijając kolejne drzwi, nie pozwalając mu na dokładniejsze przyjrzenie się wnętrzu sal. Jeszcze więcej maszyn — lecz mniejszych i

kompletnie obcych. Znajdowały się tu następne kręcone schody, na które kombinezon wspiał się z wielką pewnością siebie.

Czuł wielką tęsknotę za Illylle — nie żeby oczekiwał od niej jakiejś rady w zaistniałej sytuacji, ale dlatego, że potrzebował — ach, jak bardzo — kontaktu z rzeczywistością. To, z czym miał do czynienia, nie było życiem, jakie znał dotąd, lecz raczej czymś zupełnie obcym jego gatunkowi od wieków.

Nie miał pewności skąd czerpał to przekonanie. Jego ręce spoczywały bezradnie w rękawicach, niechętne stopy stąpały równomiernie. Coraz wyżej — ale dokąd?

Gdy opuścił schody okazało się, że nie jest już sam; obok przetoczył się jeden z owych owalnych kombinezonów. Ayyar sądził, że został rozpoznany i dopiero, gdy skafander oddalił się na pewną odległość, skonstatował, że nie wysłano go po niego. Lecz jego własny kombinezon pociągnął go i w ślad za poprzednikiem.

W głębi jego duszy wojownik szykował się do ostatecznego, na śmierć i życie, starcia z wrogiem. Warknął. Wokół poczuł dławiący smród; ukrył swój strach i poddał się gniewowi. Pojął już, że dotarł do samego Nienazwanego.

Następny skafander wychynał z drzwi i przesunął się przez korytarz, a Ayyar aż zachłysnął się, widząc, co niesie metalowe monstrum. Przewieszane przez jego ramię zwisało, z kołyszającymi się bezwładnie głową i rękami, nagie, zielone ciało Ifta!

Illylle! Jak, skąd mogli...

Nie mógł zmusić swego skafandra do przyspieszenia kroku, by zrównać się z niosącym ciężkie brzemie, zanim wejdzie on w kolejne drzwi, ale mijając je po chwili wykręcił głowę na tyle, by dostrzec zielone ciało leżące tam na stole twarzą do góry i stwierdzić, że to nie Illylle!

Nie był to zresztą nikt z ich małej kompanii. Zdążył spostrzec szczelinę ziejącą w poprzek szyi, metalowe ramiona podnoszące się i opuszczające nad kamienną płytą stołu, pracujące nad... imitacją Ifta!

Nie udało mu się zobaczyć więcej, gdyż skafander poniosł go dalej przez hol, z którego prowadziły wejścia do wielu pokoi. Mijając je obserwował ich zawartość, ale jej nie rozumiał, dopóki na koniec nie znalazł się w jednym z nich. Oślepiiony światłem zacisnął powieki; kombinezon wykonał szereg równo odmierzonych kroków i zatrzymał się. Ayyar spróbował ostrożnie wiercić się w swojej skorupie, ale to było wszystko. Nie mógł nawet unieść ręki; jak więzień przykuty do ściany w celi.

Przez uchylone szparki powiek spróbował rozejrzeć się dookoła. Światło odbijało się od szeregu ślących refleksy powierzchni, ale szczęśliwie kombinezon nie zatrzymał się naprzeciw żadnej z nich. Rozejrzawszy się na boki zobaczył, że stoi w rzędzie robotów i skafandrów. Przed nim znajdował się owalny model na rolkach, za nim robot naprawczy niewiele różniący się od widzianych w porcie, dalej znów człekokształtny. Reszty nie był w stanie dokładnie zobaczyć.

Na prawej ścianie znajdowała się linia luster czy też innych odbijających światło powierzchni. Naprzeciw owej linii umieszczono ruchomy stół, którego blat podniesiono z pozycji poziomej do pionu. Przypięty do niego był ów człowiek, którego śladem Ayyar dotarł tu aż z doliny. Otwartymi oczami wpatrywał się w lustro odbijające każdy szczegół. Nie walczył z więzami, które go krępowały, i nie można było nawet mieć pewności, czy żyje. Ayyar nie dostrzegł, by klatka piersiowa więźnia podnosiła się i opadała.

Stał tu tylko jeden stół z przywiązanim człowiekiem. Lecz lustro po jego prawej stronie ukazywało jasno i wyraźnie odbicie osadnika — krzaczasta broda, nie strzyżone włosy, szarobury ubiór... jedyne, czego brakowało, to osoba, którą widać było w zwierciadle!

Skafander Ayyara wystąpił z szeregu pod ścianą, a drugi człekokształtny podążył w jego ślady. Stanęli naprzeciw lustru i Ayyar musiał zamknąć oczy przed jaskrawym blaskiem. Poza tym miejscem nie było żadnego innego źródła silnego światła w całym pomieszczeniu.

Kombinezon podniósł jego ramiona, a palce w rękawicach poruszyły się. Uczuł, że schwyciły i przekreśliły coś wystającego. Ayyar zerknął ukradkiem spod półprzymkniętych powiek i pojął, że jego skafander wraz z tym drugim zdejmują ze ściany lustro z odbiciem osadnika.

Płyta była o głowę wyższa od nich i niezbyt łatwa do odczepienia. Pracując powoli wyciągnęli ją z ramy i obrócili do pozycji poziomej. Wyobrazenie osadnika na powierzchni lustra nie poruszało się. Stosownie do wiedzy Nailla Renfro, mógł to być obraz trójwymiarowy. Zachowując wielką ostrożność, ruszyli trzymając płytę między sobą. Po chwili odwrócili się i wyszli z pokoju, nie zwracając uwagi na człowieka leżącego na stole.

Drugi kombinezon prowadził korytarzem, którym Ayyar dopiero co nadszedł. Po kilkunastu krokach weszli do pokoju, w którym stał rząd stołów. Dwa z nich były zajęte. Na jednym, leżała karykatura ciała Ifta; zamiast rąk — bąble galaretowatej substancji, głowa — nie ukształtowana do końca; w miejsce i długich, spiczastych uszu — sflaczałe kawałki materii.

Spoczywało to na takiej samej lustrzanej płycie, jaką przydźwigały tu skafandry. Ayyarowi zdało się, że na tym gładkim i lśniąącym blacie stołu dostrzegł zarys postaci, zupełnie jakby odbicie stanowiło wzorzec indukujący wzrost tego, co na nim leżało.

Na drugim stole rozlała masa drżącej galarety nie pozwalająca dostrzec ukrytego pod nią wzorca. Na tę masę światła słały z góry naprzemian krótkie, ostre błyski lub emitowały ciągły blask.

Między tym wszystkim Ayyar, Ift, zbuntowany i wzdragający się przed widokiem tego, co znajdowało się w sali.

Umysł, ciało i dusza wiły się w tak nie znośnych męczarniach, że z łatwością wyznałby wszystko, czego by odeń zażądano, nawet swe imię. Odór Nienazwanego był nie do wytrzymania i później pomyślał, że chyba nawet stracił na chwilę przytomność.

Rękawice poruszały się, a więc — z konieczności jego ręce również. Po zapięciu zatrząsków wokół brzegu stołu lustro zostało unieruchomione. Wykonawszy zadanie skafandry odmaszerowały z powrotem na swoje miejsce w szeregu sług oczekujących na wezwanie. Z dala od owego odrażającego miejsca wynaturzonej hodowli Ayyarowi przejaśniło się nieco w głowie. Siłą woli zmusił się, by przełknąć cierpką ślinę, i wreszcie na chwilę opanował wzburzony żołądek. Musi uwolnić się z ubioru — tylko jak?

W czasie ostatnich minut doszedł do przekonania, że ktokolwiek lub cokolwiek, co władało skafandrem, albo nie było świadome jego obecności w środku, albo, będąc przekonane o skuteczności skrępowania, nie dbało o to. Jeśli prawdą było to pierwsze, to mógłby myśleć o ucieczce, chociaż z drugiej strony zostałby pozbawiony w ciągu dalszej wędrówki w podziemiach nawet tak mizernej ochrony, jaką dawał kombinezon.

Jak by się tu wydostać?

Za pierwszym razem energia zmagazynowana w jego ciele za pośrednictwem miecza unieruchomiła kombinezon.

Teraz jednak miecz spoczywał w pochwie przy pasie, a on nie mógł podnieść ręki, aby go wydobyć. Od powrotu na miejsce rękawica zwisała bezwolnie, uczynił więc wysiłek próbując wykręcić przegub. Palce nie były mu posłuszne jak dawniej, jednak walcząc ze wszystkich sił zdołał podnieść trochę rękę i musnąć rękoięść broni.

Tylko tyle — i nic więcej. Miecz musiał dotknąć jego nie osłoniętego ciała, zanim energia zaczęłaby do niego przepływać. Nagie ciało...

Ayyar zaprzestał walki ze sztywnymi palcami. Miecz przewodził energię — ale czy rzeczywiście potrzebuje miecza? Przecież energia jest w nim samym. Przez chwilę ze wszystkich sił próbował wyzwolić ją poprzez którąkolwiek część ciała dotykającą skafandra, ale bez rezultatu.

Kombinezon ożył ponownie. Wystąpił z szeregu, a za nim ruszył model czworonogi. Skierowali się do stołu, na którym przybysz spoza planety pozostawał zwrócony ku swej i replice w lustrze. Ayyar ponownie musiał zamknąć oczy przed blaskiem. Poluźnili uchwyty trzymające milczącego jeńca. Ayyar uczynił wielki wysiłek i zapewne dlatego, że ruch, który zaplanował, nie kłócił się z wykonywanym zadaniem, osiągnął swój cel. Rękojeść miecza dostała się w jeden z zaczepów stołu i oto gdy skafander się cofnął cały miecz wysunął się z pochwy.

Teraz — jedna jedyna niepowtarzalna szansa! Skafander pochylił się do przodu, by zwolnić zaczepy wokół kostek u nóg leżącego. Ayyar rzucił się, by zachwiać równowagę kombinezonu, i w efekcie runęli na ziemię. Obrócił głowę i poczuł ustami chłód rękojeści. Zachłannie zacisnął na niej zęby, podczas gdy skafander niezgrabnie gramolił się do pionu. Gdy stanął prosto, miecz opadł i dotknął jego piersi.

To było to! Przedtem wysiłał się, by energia spłynęła po jego ręce do ostrza, teraz udało mu się wysłać ją z ust. Pojawiły się srebrne strumyczki spływające na skafander.

Czy to zadziała?

Drugi kombinezon trzymał się nadal nad uwolnieniem więźnia z więzów, ale jego własny zamarł bez ruchu. Ayyar niezdecydowanie podniósł rękę i bez trudu wyjął miecz z ust. Uwolnił się od mocy używającej skafandrów jako sług, ale jak długo potrwa ta bezcenna wolność? Zaczął odpinać zapięcia.

W końcu wydostał się z ubioru, który opadł pusty na ziemi. W czasie gdy to robił drugi, czworonogi kombinezon uwolnił więźnia do końca i ruszył z bezwładnym ciałem w kierunku drzwi, pozostawiając za sobą lustro wysyłające jaskrawe refleksy.

Ayyar złapał miecz, nałożył pas leżącego kombinezonu i pośpieszył korytarzem, lecz teraz w przeciwną stronę. Czy przetnie drogę poprzednikowi, czy odważy się wyzwolić tamtego człowieka? Ten ostatni nie poruszał się, oczy bez wyrazu wpatrywały się przed siebie; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie żył.

Skafander wszedł do jednej z sal, a Ayyar przystanął na progu wpatrując się w jej wnętrze. Rzędy wysokich cylindrów; stojące po prawej puste i czyste. Reszta była całkowicie wypełniona ciemną różowawą cieczą i przykryta ciężkimi kopułami z czerwonego matowego metalu. Wewnątrz unosiły się na wpół widoczne obiekty. Kombinezon zbliżył się do jednego z pustych cylindrów. Jedna z jego macek śmignęła i nacisnęła przycisk na jego podstawie. Potężny zbiornik wysunął się z łożyska i przemieścił na bok, a skafander wsunął do niego swoje brzemię. Pojemnik natychmiast powrócił do poprzedniego położenia, został nakryty kopułą, ze szczytu której przez rurkę począł napływać płyn, powoli podnosząc się wokół ciała.

Ayyar przywarł do ściany gdyż kombinezon zawrócił i zbliżał się do drzwi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czy mógł zostać odkryty? Był bez szans w razie ataku, mając tylko miecz do obrony. Uspokoił się — gdyby kombinezon zawierał kogoś lub coś, miałby się czego obawiać.

Jeśli jednak był pusty, to energia zgromadzona w broni poradzi sobie z nim z łatwością. Jego pewność siebie powróciła, mimo to rozważnie zszedł skafandrowi z drogi.

Ten jednak nie wykazał żadnego zainteresowania ani nie zatrzymał się — po prostu odmaszerował korytarzem, pozostawiając Ayyarowi wolne pole do działania. Cylindry wypełnione były płynem tak mętnym, że był w stanie dostrzec jedynie niewyraźny kształt unoszącego się w nich obiektu. Sala była ogromna i ilość wypełnionych cylindrów stojących na kształt złowieszczych drzew wprawiła go w osłupienie. Było ich tu o wiele więcej niż fałszywych Iftów, których widzieli — tworzyli prawdziwą armię. Lecz jeżeli stanowili oni wzory dla wytwarzanych tu imitacji, kimże byli?

Przemienionymi w Iftów ludźmi, takimi jak oni, pojmanymi przez Nienazwane? Serce Ayyara zabiło szybciej a gdyby byli to jeńcy Larshów z czasów dawnej wojny?

Może dałoby się przywrócić ich do życia?

Wrócił, aby przyjrzeć się niedawno otwieranemu kontenerowi. Czerwony płyn opływał już klatkę piersiową nieruchomego człowieka spływając mu po policzkach, on jednakże nie dawał znaku życia.

Gdzie miał szukać Nienazwanego? Do tej pory nie napotkał niczego ruchomego oprócz kombinezonów. Może należy znaleźć wyższe lub niższe poziomy? A w ogóle to stracił wyczucie stron świata i nie potrafił określić, gdzie się to wszystko znajduje — pod kopcami czy pod skalnymi ścianami doliny?

Wyszedł i kierując się na lewo ruszył na spotkanie nieznanego, pilnie szukając wzrokiem groźnych płyt na ścianach. Gdy je ujrzał, tym razem nie rozbił ich, ale położył się na podłodze i przeczołgał obok nich, nie odważając się wstać, dopóki nie znalazł się poza ich ramami.

Już jakiś czas temu przestał polegać na swym nosie, gdyż wszechobecna mieszanina zapachów zupełnie go zablokowała. Teraz znowu poczuł zapach przywodzący na myśl czyste ostrze noża tnące cuchnącą płetwę skalca.

Jeśli chodzi o rozpoznanie woni rosnących żywych rzeczy, Ifta nie da się oszukać; potrzebował ich jak wtedy w dolinie, gdzie zostawił Illylle. Ruszył ochoczo, ale nadal z rozwagą rozglądając się w poszukiwaniu pułapek.

W dół korytarza zamiast schodów prowadziła pochylnia.

Wciągnął powietrze w rozszerzone nozdrza — skąd tu, i to w zimie, zapach... wiosny. Ostrożność stłumiła jego pierwotny entuzjazm. Zdawało się, że w swojej domenie Nienazwane potrafi zapanować nawet nad porami roku.

Przeczołgał się pod następną parą płyt na ścianie i wyszedł na otwartą przestrzeń. Skądś z dołu napływała słodka, odurzająca woń, jaką mógłby wydzielać sam Las Iftcanu!

Światło przypominało do złudzenia srebrną poświatę księżyca. Ayyar westchnął z ulgą i przyjemnością; dał odpocząć zmęczonym oczom i ciału. Zadowolony, powoli odprężył się.

Zadowolony? Głęboko w jego umyśle zadźwięczał dzwonek alarmowy. Przecież to nie Iftcan — to pustka, którą włada niepodzielnie Nienazwane! Nie można dać się zwieść zewnętrznym pozorom, tak jak nie dali się zmylić fałszywym Iftom. Czyż nie widział przed chwilą, z jaką łatwością jedną rzecz przerabia się tu na inną?

Mimo woli tracił wszelką samokontrolę, to co leżało poniżej kusiło go nieodparcie; tam był jego dawno nie widziany dom. Zaczął schodzić wąską ścieżką, tak stromą, że musiał skupić całą uwagę na swych krokach. W dole rosło mnóstwo drzew, a ich zielone korony tworzyły zbitą gęstwę. Ayyar wciągnął badawczo powietrze w nozdrza nie znajdując żadnego wrogiego zapachu.

Opuścił dróżkę i zaczął stąpać po kostki w miękkim, bujnym mchu. Tu i ówdzie dostrzegał, zamknięte, nocą widmowo blade pęczki małych, niebieskich kwiatków. U stóp ściany gdzieś rosyły wysokie lilie, jasnozielone z ciemniejszymi plamkami zanikającymi na liściach. Były bezwonne, podczas gdy nocne lilie z Iftcanu były w stanie nasycić swym zapachem ogromny obszar... Taki drobiazg... to dziwne...

Ayyar stał, przypatrując się liliom. Potem schylił się i dotknął palcem jednego z aksamitnych płatków. Był prawdziwy, żywy — ale gdzie podział się upojny zapach? Niby drobiazg, ale skutecznie zburzyło to jego spokój. Przyjrzał się uważnie reszcie rosnących w lesie roślin. Mech, tak mech był prawdziwy.

Obejrzał drzewko sal. Jego cienkie liście wydzielają w nocy wilgoć zbierającą się w świetliste krople, jak wodne klejnociki. Jedno po drugim sprawdzał drzewka, krzewy, kwiaty i inne rośliny, szukając czegoś niezwykłego. Tylko te lilie...!

Nie! Ich słodko-mdlący zapach pojawił się w jednej chwili, zupełnie jakby ktoś wypuścił go ze spryskiwaczy w kępach lili. Wypuścił? Ayyar językiem zwilżył wargi. Gdy tylko pomyślał o bezwonnych kwiatach i uznał je za nienaturalne, skłoniło go to dokładniejszego zbadania otoczenia.

I wtedy, jak na zamówienie, pojawił się zapach — tyle że zbyt późno, by rozwiązać podejrzenia.

Roztarł między palcami jeden z mokrych liści — ich aromat wydawał się całkiem normalny. Teraz jednak już w niego nie wierzył, tak samo jak w realność całego tego: lasu. To jakieś szaleństwo. :

Ayyar wrócił na ścieżkę, bojąc się tego miejsca, które składało mu przedtem słodką obietnicę spełnienia jego najskrytszych pragnień. Ściana, wzdłuż której biegła ta wąska dróżka, była naga. To, co wydawało się przed chwilą masywną skałą, pod stopami znikło jak sen. A więc Nienazwane wie już, że on tu jest. Lecz on był już na to przygotowany i czujny, a wszystko za sprawą bezwonnych lili.

Przyjrzał się podłożu i drzewom. Nie były wprawdzie wysokie, ale mógł z łatwością przejść wyprostowany pod najniższymi gałęziami. Wyglądały jednak zaledwie jak miniatura Wielkiego Lasu. Mrok pod masą liści mógłby wprawdzie robić na przybyszu spoza planety wrażenie kompletnej ciemności, ale dla oczu Ifta nie stanowił on problemu. Na pniu i konarach wypatrzył całe grona jajeczek świetlików jaśniejące tym samym wewnętrznym blaskiem, który miał zdobić ich delikatne ciała, gdy już wyklują się z osłonek.

Stał na jedynej w okolicy otwartej przestrzeni. Nie było sposobu, by okrążyć las idąc wzdłuż ściany doliny, ani możliwości wycofania się do podziemi. Musiał pójść przed siebie, jeśli nie chciał zostać w zarośniętej mchem kotlinie na zawsze. Był wyposażony w zmysły Ifta i w swój miecz, i miał do spenetrowania bardzo przebiegle zastawioną pułapkę. Wzruszywszy ramionami nad własnym szaleństwem, Ayyar wkroczył pod pierwsze z drzew.

Nawet przy wnikliwej obserwacji nie zauważał żadnej niezgodności z naturalnymi lasami Janusa. Zaczął już wątpić w swoje odkrycie dotyczące lili. Ostrożnie torując sobie drogę między drzewami dotarł do następnej polanki, na której znajdowało się małe jeziorko, płynne srebro w świetle księżycy... Księżycy?

Spojrzał w skrawek otwartego nieba widoczny w górze.

Był tam księżyc, i owszem, ale... Ayyar zadrżał. Coś było z nim nie w porządku, tak jak z liliami. Mógłby przysiąc, że czegoś mu brakowało lub coś zostało dodane. Woda w stawie zapraszała, mamila go obietnicą głębokiego haustu czystej, zimnej wody. Dotknięcie Zwierciadła zobojętniło go jednak na pokusę, ułatwiło odsunięcie myśli o nękającym pragnieniu.

Nagle zza skały na brzegu wystrzeliło kościste odnóże wyposażone w zakrzywiony pazur, zanurzyło się w wodzie i uniosło z powrotem, ściskając wijące się, chude stworzenie — po czym wszystko wróciło do stanu pierwotnego. Rybołów, polujący we właściwym sobie czasie

i miejscu. Ayyar wsłuchiwał się w dźwięki. Rozpoznawał łowców — futrzanych i pierzastych, ale w owym żałobnym nocnym chórze nie słyszał głosu żerca.

Ift i żerec, dawni partnerzy z Wielkiego Lasu — nie pan i sługa, lecz równi sobie przedstawiciele różnych gatunków.

Ani śladu żerca... Ciekawe, czy śledzono go, obserwowano, gdy posuwał się przez ten las? Czy wytworzą teraz ptaka, tak jak zapach lilii, gdy tylko zauważył jego nieobecność?

Choć stał i nasłuchiwał, nie zabrzmiało ponure „huuu ruuuruuu”.

Okrażył jeziorko i ponownie wkroczył w las, starając się rozszyfrować cel, w jakim go stworzono. Jak dotąd nie napotkał na żadne niebezpieczeństwo, a przebywali tu naturalni mieszkańcy lasu, którzy, gdyby tylko chcieli, mogliby mu zagrozić. Kto lub co za tym stało? I dlaczego? W podziemnych korytarzach maszyny wykonywały polecenia Nienazwanego, a tu jak wierzył Ayyar, z Jego woli rósł Las w miniaturze. Zesztywniał i instynktownie skoczył, by plecami oprzeć się o pień drzewa. To nie zapach lilii dotarł do jego nozdrzy tym razem, lecz odór fałszywego Ifta!

Czy było możliwe, aby owe roboty karmiły się iluzją lasu, gdyż były zaprojektowane na wzór prawdziwych Iftów? Cekał. Nie doszedł go żaden odgłos kroków, ale zapach nasilił się i Ayyar był pewny, że stwór nadchodzi.

Krzak zadrżał gdy krągłe ramię odsunęło gałąź, a na otwartą przestrzeń wyszła dziewczyna.

Nie znał jej, nigdy jej nie widział. Była niepodobna do Illylle, towarzyski niebezpiecznych przygód, noszącej ubiór łowcy. Jak dawniej, w czasie wiosennych zalotów i Wybierania, dziewczyna ubrana była w pelerynę z żywych kwiatów, rozsiewających woń przy każdym ruchu. Owalna twarz, skośne oczy, idealna piękność swej rasy. Wpatrując się w Ayyara uśmiechała się i przyzywała go prastarymi, rytualnymi gestami ceremonii Wyboru. W jego pamięci obudziły się nie przeczuwane wspomnienia i podniecenie mimo woli zwabiło go spoza drzewa na polanę; bezwiednie wyciągnął do niej rękę.

W głębi duszy ujrzał słabo widoczną twarz, a następnie usłyszał szept.

— Kłamstwo...

Ledwo dosłyszalne ostrzeżenie dobiegało skądś z bardzo daleka, a dziewczyna kołysała się tuż przed nim. Jej stopy stawiały już pierwsze kroki tańca Wybierania, a ręce kusząco wyciągały się w jego stronę, lecz jej uśmiech był nieco niepewny, prawie bolesny...

— Vallylle, ja jestem Vallylle... I jestem twoja, tylko twoja, silny wojowniku...

Okrycie z kwiatów zaszeleściło; wydawało tak ciężką i duszącą woń, że Ayyar oddychał z trudem. Wszystko niby zgadzało się — żyła ongiś Vallylle, której szukał w czasie Wybierania. Pamięć Ayyara twierdziła, że to prawda!

— Kłamstwo!

Rozpaczliwy szept głęboko w duszy ostrzegał...

— Chodź! — przyzywała go władcym głosem. — Vallylle nie przywykła czekać na żadnego wojownika, wielu czeka na nią!

Pamiętał teraz, że to nie przechwałki, lecz prawda. Było wielu, którzy oddaliby wiele, bardzo wiele za taniec Wyboru z Vallylle. Wahać się teraz byłoby...

Ponownie wyciągnęła do niego dłoń. Nieświadomie uczynił jeszcze jeden krok do przodu.

— To tylko złudzenie!

Jego ręka drgnęła. Przez chwilę czuł się tak, jak wtedy gdy skafander miał nad nim władzę.

Skafander... labirynt korytarzy, lustra pułapki! Ayyar zamrugał, nagle oprzytomniawszy — i jeszcze ten smród imitacji Ifta! Dłoń jego powędrowała na rękojeść miecza, wydobyła go. Dziewczyna przestała się uśmiechać, a strach zmroził jej twarz w sztywną maskę; całe naturalne piękno zostało wyparte przez przerażenie. Cofnęła się i uniosła nieco ręce, jakby błagała o zachowanie życia. Jeśli była w całości produktem Nienazwanego, to grała swą rolę perfekcyjnie. Ayyar wahał się — był pewien, że to imitacja Vallylle, ale i tak nie mógł

zdobyć się na podniesienie ręki uzbrojonej w miecz i ścięcie jej. Wysłano przeciw niemu dobrze wybranego przeciwnika.

— Zwariowałeś! — krzyknęła. — Jesteś szalony!

Po raz pierwszy Ayyar przemówił:

— To nie ja jestem szalony, to ty zaprzedałaś się duszą i ciałem Nienazwanemu, Które Czyha.

Wciąż dzierżył miecz, zdając sobie sprawę, że rozwaga nakazuje, by zabił, lecz nie był zdolny do zadania ciosu.

Ujrzał, jak dziewczyna prześlizguje się koło pnia drzewa i umyka. Niewesoło zdawał sobie sprawę z faktu, że oto nie kupił sobie życia, a wręcz przeciwnie — porażkę i śmierć. Dookoła panował spokój, choć w tle słychać było stłumione, tajemnicze odgłosy. I znów, tak jak bezwonne lilie, uznał to za drobne, ale demaskujące przeoczenie. W prawdziwym Lesie na dźwięk ich rozmowy i nagłej ucieczki Vallylle zapadłaby na chwilę martwa cisza. Poczul nagłą pokusę, aby energią zgromadzoną w mieczu potraktować drzewa rosnące dookoła, lecz powstrzymał się od tak głupiego marnotrawstwa.

Jeśli w lesie znajdowali się jacyś obserwatorzy, to Ayyar, wytrawny myśliwy, nie dostrzegał ich.

Choć nie zjawilo się więcej zalotnych Vallylles, narastało w nim przekonanie, że był śledzony. Obrót, nagły skręt ciała, spojrzenie za siebie — nikogo. W końcu nie mógł już dłużej znieść tego uczucia i raz jeszcze przywarł plecami do drzewa.

Kusiło go, by wrzasnąć pomiędzy rzędy drzew: — Wyjdźcie! — opanował jednak lęk na tyle, aby stać w milczeniu.

Wzrok jego przyciągnęło dzikie wino oplatające konar nad głową. Wpijając wasy w korę, wiło się wokół pnia. Do złudzenia przypominało pasożyty widywane w Lesie. Jeśli wcześniej nie umarły, potrafiły osiągnąć wagę wystarczającą, by oderwać gałęzie i powalić swego dawnego gospodarza.

Niby zwyczajne dzikie wino, ale coś w wyglądzie liści budziło niepokój...

Tu i ówdzie wzdłuż łodygi gromadziły się kropelki wilgoci, a może tak jak sal, roślinna wydzielala nocą soki. Ayyar uniósł głowę, by zanalizować mdły, dziwny zapach.

Świetliste krople rosły i rosły, lśniły, fosforyzowały. Widział je nawet tam, gdzie nie docierało światło księżyca.

Kilka małych kuleczek zbiegło się w jedną dużą i spadło z liścia na ziemię. Ayyar wciągnął głęboko powietrze, aromat wzmógł się, lecz nadał był tak nikły, że mógłby go z łatwością nie zauważyć, nie będąc uprzedzonym.

Coraz więcej wielkich kropli, odgłos padającego deszczu.

Ayyar stłumił bolesny okrzyk — zdało mu się, że to ogień liznął wierzch jego ręki. Oleista kulka, która to sprawiła, nie dała się strząsnąć i ogień wgryzał się w ciało, powodując niewiarygodne cierpienia.

Już miał otrzeć dłoń o udo, gdy zawahał się. A co, jeśli kropla śmiertelnościanego płynu wsiąknie w ubranie? Ukląkł więc, wytarł grzbiet ręki o ziemię, by już w następnej chwili wyprostować się z jękiem, gdy następna kropla rozbryznęła się na jego ramieniu. Deszcz... ognisty deszcz! Na drzewie, pod którym stał, Ayyar spostrzegł całe girlandy kapiące trucizną. Zerwał się do biegu. Przez moment obawiał się, że nie wyrwie się z tej pułapki, ale po chwili, z trudem łapiąc oddech, wypadł na następną polanę i stanął bezpieczny pod gołym niebem.

Raz jeszcze ukląkł, nabrał w lewą rękę garść ziemi zmieszanej z liśćmi i, trzymając wciąż miecz w prawej dłoni, począł wycierać miejsca oblepione żrącą substancją. Spod spodu ukazały się czerwone rany.

Nienazwane wykonało drugie posunięcie, pomyślał ponuro. Był całkowicie przekonany, że ktoś lub coś prowadzi z nim rozgrywkę, której zasad nie pojmował. W ciągu wieków rodzaj ludzki prowadził przeróżne gry w przestrzeni kosmicznej, czasem gromadząc wiedzę o

przeciwniku, a gdy szczęście sprzyjało — również fortunę. Tym razem grał o najwyższą stawkę: o życie, a może nawet i o przetrwanie swojego świata. Jeśli nawet istniały jakieś reguły tej gry — nie miał o nich pojęcia.

Jaki będzie następny ruch? Skąd padnie cios? Jaką rolę przyjdzie mu odegrać? Przykucnął na ściółce i wspierając się na mieczu rozejrzał się wokół jak ścigane zwierzę.

Szum lasu oznajmiał, że jego ukryci mieszkańcy zajęli się swoimi codziennymi sprawami. Codziennymi sprawami...?

Obrócił się gwałtownie i poślizgnął na miękkiej ziemi, której wcześniej użył jako okładu na rany. Stracił równowagę, i to zapewne uratowało mu życie. Lepka lina wycelowana w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego głowa, śmignęła obok i, nie dotykając go, opadła na ziemię. Instynktownie odcoczył się na bok, trzymając miecz w pogotowiu. Skalec! Mógł czaić się w legowisku, wyczekując, co wpadnie do jego cuchnącej jamy, albo co byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne — wędrować swobodnie samopas.

Słyszał prychnięcie i sapanie zwierza, ale nie czuł wcale ostrzegającego smrodu. Następna lepka lina padła na czubek miecza, który spopielił ją jednym błyskiem. Zapomniał, że moc zgromadzona w mieczu może wyzwolić się sama. Okręcił się dokoła, szukając drżących cieni zdradzających ruch, ale niczego nie dostrzegł. Tak łatwe zaniechanie ataku było sprzeczne z naturą skalca.

Zrozumiał, że nie może po tym lesie spodziewać się tego co znał z normalnego życia na Janusie. Mógłby wycofać się pod drzewa, gdzie gałęzie osłoniłyby go przed siecią. Z drugiej jednak strony, mogły na nich czaić się jakieś nieprzyjemne stworzenia...

Wahając się między dwiema możliwościami, Ayyar wybrał trzecią. Zacisnął mocno zęby na mieczu i rzucił się biegiem ku drzewu nie obwieszonemu trującym winem. Złapał za jedną z niższych gałęzi i wprawnie wspiął się na górę chowając się między liśćmi.

Potem przebiegł po konarze i przeskoczył na następne drzewo, później na następne zwracając baczność na trujące wino. Nasłuchiwał, czy nie dobiegnie go z tyłu jakieś zamieszanie, odgłos czegoś przerażającego stąpającego w ślad za nim...

Jeszcze jedno drzewo, i jeszcze jedno — Ayyar nie by nawet, pewien w jakim kierunku zmierza. Zdziwiło go, że po jego przejściu w powietrze nie wzbily się żadne ptaki a małe stworzonka żyjące we wnętrzu drzewa ani na chwilę nie zaprzestały swojej krzątaniny. Jaka część tego lasu byli złudzeniem? Oparzenia bolały, jedno z nich — na ramieniu — znacznie ograniczało mu swobodę ruchu przy przeskakiwaniu z drzewa na drzewo. Nadal nie odczuwał pragnienia głodu czy zmęczenia, ale nie miał pojęcia, jak długo jeszcze potrwa ten stan.

Spoglądając z wysokości drzewa ujrzał, że przed nim grunt stopniowo się obniża. To utrudniałoby mu znacznie dalszą wędrówkę, ale mimo to nie miał najmniejszej ochoty zejść na dół. Przysiadł na konarze, nasłuchując i węsząc. Poniżej rosły wynaturzone pęki wysokich paproci. Podobnie jak wino, wyglądały na nieznany mu gatunek. Nieznane oznaczało podejrzanę. Ich karbowane, ciemnozielone przez chodzące w czerń liście były mocno poskręcane.

Ayyar zerwał gałązkę, położył się na brzuchu wzdłuż konara i dźgnął przerośnięty zarodnik na liściu najwyższe z paproci. Pękł z lekkim pyknięciem i zniknął w chmurce czarnego pyłu. Ayyar skrzywił się; choć starał się dotąd trzymać drzew, to przecież podszycie wyglądało do tej pory co najmniej przyjaźnie.

Być może gdyby wspiął się wyżej, a na dodatek teren nadal by opadał, to zdołałby dojrzeć, dokąd podąża. Czwarte z kolei drzewo miało dokładnie to, czego poszukiwał: stosunkowo łatwą drogę wspięcia się na górę i konar pozbawiony gałęzi, doskonale nadający się na stanowisko obserwacyjne. Poniżej grunt gwałtownie opadał i Ayyar zobaczył oświetloną światłem księżyca, zbitą gęstwą drzew, do złudzenia przypominającą widok, jaki ujrzał wchodząc tu z podziemia.

Światłem księżyca? Właściwie jak długo już wędruje? Czas zdawał się stać w miejscu, ale księżyc — czy co tam go zastępowało w tym nocnym koszmarze — stał na niebie w tym samym miejscu. Może dzień nie zbudzi się tutaj, słońce nie wszędzie? Mogłaby to być dziwna strefa przeznaczona wyłącznie dla Iftów, choć nie dla tych, których znał.

Promienie księżyca jakby skupiły się, przyciągnięte w jedno miejsce, tworząc świetlisty zarys...

Iftsig! Oczywiście to górujące nad resztą lasu ogromne drzewo nie mogło być prawdziwą Iftsigą — jednakże bez wątpienia widział jedną z Wielkich Koron! Tu, w samym sercu włości Nienazwanego, znalazł to, czego każdy Ift potrzebował do życia.

Światło księżyca migotało na zielonych i srebrnych liściach; Ayyar mógłby przysiąc, że słyszy ich zapraszające trzepotanie ze swego siedziska wysoko na gałęzi mniejszego drzewa. Skąd tutaj Wielka Korona?!

Wydawało się, że jest tak blisko, lecz było to tylko złudzenie. Nie mógł sobie nawet wyobrazić mnogości pułapek leżących po drodze do niej, ale nic nie byłoby w stanie zniechęcić go do próby przejścia.

Zadał sobie pytanie, czy zdoła utrzymać właściwy kierunek jeśli zejdzie na ziemię i niższe drzewa przesłonią mu widok. Wpatrywał się w odległe drzewo próbując zawczasu znaleźć jakieś punkty orientacyjne w terenie, które mogłyby mu służyć pomocą w wędrówce na ziemi.

Ostatecznie zaczął wędrówkę starym sposobem, po gałęziach, unikając kontaktu z najniższym piętrem lasu. W miarę jak posuwał się do przodu, drzewa stawały się niższe i węższe, aż zastąpiły je krzewy i Ayyar nie mógł już uniknąć powrotu na ziemię.

Potał poparzoną dłoń o ubranie. Utorowanie sobie drogi przez gęste zarośla nie wyglądało na łatwe zadanie, a nie chciał używać do tego celu miecza, gdyż nie chciał marnować jego mocy. Od tej chwili będzie musiał radzić sobie własnymi siłami — przeciskając się przez gąszcz.

Walczył tak przez jakiś czas, aż dotarł do słabo porośniętego terenu. Zdawało się, że korzenie Wielkiej Korony wysały wszelkie składniki odżywcze z gleby, pozostawiając nędzne resztki wystarczające jedynie dla skarłatej roślinności. Posuwał się dalej pod jej osłoną, od czasu do czasu wyczierając spoza traw, by skorygować kierunek. Pień drzewa zdawał się rozmywać w drżącym świetle księżyca zamazującym jego kontury. Wewnętrzna czujność nieco osłabła i Ayyar prawie uwierzył, że dąży na spotkanie rzeczywistości a nie iluzji.

Grunt pod jego stopami wciąż opadał. Teraz mógł już objąć wzrokiem całe wysokie, srebrne drzewo, do złudzenia przypominające Iftsigę. W dawnych czasach chwały taki jak ten kolosy tworzyły całe miasto, Iftcan.

Ayyar parł naprzód, niepomny na smagnięcia gałęzi raniące jego ciało, na liczne upadki. Na drodze mogły czyhać skałce czy trujące wino — nie zwróciłby teraz uwagi na nie. Tak jak nie zauważył głębokiej rozpadliny otwierającej się pod jego stopami. Z głową wciąż uniesioną wysoko, by nie stracić z oczu ukochanego drzewa, raptownie zapadł się w ciemność.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Znajdował się w jakimś zasnutym mgłą, tajemniczym miejscu. Przed sobą miał zwykłą planszę do gry z zaznaczonymi polami, na których stały misternej roboty figurki szachowe o znajomych kształtach. Był tam miniaturowy Larsh z zarośniętą twarzą zwróconą ku górze, zupełnie jakby jego migoczące w mroku oczy mogły go widzieć. Dostrzegł osadnika, przybysza spoza planety w portowym uniformie, oraz małe maszyny, a wszystko to zgromadzone równym szeregiem po przeciwnej stronie planszy, bez wątplenia gotowe do ataku. Po swojej stronie miał nieliczne i mało zróżnicowane figury: Iftów, wspomaganych przez drzewa, Wielkie Korony.

Nie wiadomo, skąd wiedział na pewno, że nie mógł uniknąć gry i że chociaż nie pojmował jej zawłości — bezwarunkowo musi wygrać. Jedyłą jego szansą na zwycięstwo było poznanie reguł gry przed ostateczną rozgrywką.

Figurka Larsha pomaszzerowała naprzód na swych maleńkich nóżkach, a na opróżnione miejsce natychmiast podtoczył się jeden z miniaturowych owalnych skafandrow kosmicznych. Gdzieś poza planszą i zasięgiem wzroku Ayyara dało się odczuć głęboką satysfakcję.

To zmusiło Ayyara do działania; wyciągnął rękę i umieścił zielonego wojownika twarzą naprzeciw Larsha. W odróżnieniu od owego pół człowieka — pół bestii jego pionek nie nosił znamion życia; wydawał się zaledwie nieożywioną figurką w jego palcach. Gdy postawił ją na wybranym polu, na tablicy coś błysnęło i między Larshem a Iftem pojawiła się lustrzana bariera, na której przez długi moment trwało odbicie figurki należącej do Ayyara. Kiedy zniknęło, lustro zapadło się w planszę. W szeregach wrogiej armii przybył następny zielony Ift.

I znów, nadal nie mogąc dostrzec przeciwnika po drugiej stronie planszy, odczuł czyjeś wyraźne zadowolenie.

Co oznaczał ten ruch? Rzeczywiste zwycięstwo Larshów nad Iftami? Czy użycie zwierciadła, przeniesienie jego pionka w szeregi przeciwnika — były odległym echem czegoś, co się już wydarzyło?

Wyteżył pamięć — jak się tu znalazł? Gdzie się znajdował? Przedzierał się przez las w kierunku Wielkiej Korony.

Potem... nic! Znalazł się tu, z oczami wlepionymi w planszę.

Myślamy był zgoła gdzie indziej, próbując znaleźć jakiś sens w tym, w czym przyszło mu brać udział. Musi skupić się na ruchach na planszy i czujnie nań reagować; nie ma zbyt wiele czasu na rozważania.

Kimże jednak był, by grać o taką stawkę? Nie był ani prorokiem, ani Władcą Zwierciadła, tylko Ayyarem, jednym z wielu zbrojnych obrońców Iftcanu. Kimże był, by przemawiać w imieniu...

— Thanth — podszeptał słaby głos w głębi jego umysłu — moc Thanth, która została przeniesiona aż tu w twoim ciele i w moim...

— Illylle! — błagał myślą o odpowiedź. — Co mam zrobić, Illylle?

— To, co widzisz, że masz do zrobienia. Ale nie daj się oszukać, Ayyarze, niejednokrotnie co innego widzisz swoim sercem, a co innego oczami...

Oczy spoglądają na planszę i pionki... Serce... Nie daj się oszukać? Czuł się zakłopotany, a na dodatek był pewien, że swym nie zdecydowanym zachowaniem daje Wrogowi broń do ręki.

Plansza? W rzeczywistości nie ma żadnej planszy, nie ma wątlej linii zielonych pionków zgromadzonych, by stawić czoła trzykrotnie ich przewyższającym siłom przeciwnika! Musi

tylko stanowczo zaprzeczyć iluzji. Ayyar wysunął palec wskazujący, dotknął planszy i skupił na niej swe myśli...

Z punktu, którego dotknął, światło rozprzestrzeniło się między rzędy figur, które nieoczekiwanie wraz z całą planszą obróciły się w nicość.

Widział jakieś białe obiekty wystające z podłoża. Leżał na boku patrząc na skalną ścianę najeżoną kryształami lśniącymi w lodowatym świetle. Uniósł rękę i osłonił oślepienie oczy. Nawet najmniejszy ruch obolałego, zeszywniałego ciała wywoływał ostry protest, mimo to podciągnął się i usiadł. Ziemię pokrywał czerwony, drobny piasek znany mu z doliny kopców. Palcami drugiej ręki wymacał zimny metal rękojeści miecza i uczepił się jej jak tonący w rzece chwytając się przepływającej kłody.

Wewnętrzny... zewnętrzny... To był obraz zewnętrzny.

Odrzucił głowę do tyłu i wpatrzył się w górę. Ujrzał brzeg rozpadliny i wystającą nad niego ułamaną gałąź. Wpadł tu na skutek nieostrożnego marszu ku gigantycznemu drzewu.

Ta myśl spowodowała, że całkowicie oprzytomniał. Jeśli tylko dotrze do drzewa, będzie w stanie stawić czoła Nienazwanemu w każdej postaci. Cóż jednak mogła oznaczać gra na planszy w nieprzeniknionej mgle? Czy była to arogancka pogrożka? Obietnica pochłonięcia i wcielenia we własne szeregi wszystkiego, co poważy się wystąpić przeciw Nienazwanemu? Sednem owej tajemnicy, której nie potrafił rozszyfrować, było lustro.

A teraz — drzewo czekało.

Ayyar utykając boleśnie rozpoczął wspinaczkę. Początkowo posuwał się z pomocą wystających ze ściany kryształów, potem napotkał przewieszkę, której nie potrafił sforsować. Pokuśtykał w poprzek rozpadliny szukając dogodniejszego miejsca. Ściana wciąż rosła i stała się coraz bardziej stroma. Zniechęcony powędrował w przeciwnym kierunku, lecz tu skały nad głową zbiegały się w sklepienie ciemnej jaskini.

Próbując wspiąć się do tu, to tam został prawie zasypany przez lawinę poruszonej ziemi. Nie było drogi w górę ściany.

Poddał się więc i ruszył w dół.

Drogę ograniczały rosnące coraz wyżej ściany. Opadała ona stromo w dół i w prawo, w stronę, gdzie rosło ogromne drzewo. I wtedy patrząc w górę, wysoko ponad głową, w pół drogi do nieba — ujrzał potężne konary. Wszedł w cień drzewa.

W miarę jak droga skręcała w prawo, cień gęstniał i mroczniał. Dawne przekazy twierdziły, że cień drzewa ma potężną niszczącą moc... To drzewo stało w samym sercu domeny Nienazwanego...

Ayyar przystawał od czasu do czasu, aby popatrzeć na baldachim nad głową, aby znów rozkoszować się przebywaniem w obecności Wielkiej Korony. Dopiero wtedy powoli dotarło doń, że nie była to ta Iftsiga, za którą tak tęskniło jego serce.

Nie zaszeleścił ani jeden liść nad jego głową. Oczekiwał, że Wielka Korona przywita go, jak powinna witać Ifta, ale cisza i uczucie nicości nie zmieniły się ani na jotę.

Poznał ongiś martwe wieżyce Iftcanu, białe i okropne jak kości, wzbudzające w mijającym wędrowcu rozdzierające serce uczucie dotkliwej straty. Taka była śmierć Wielkich Koron.

Instynkt Ifta podpowiedział mu, że za pustką tu panującą nie ma śladów minionego życia, tylko nicość czegoś, co nigdy nie było żywe. W tej samej chwili zorientował się, że piętrzące się z obu stron przypory nie były jak dotychczas wałami ziemi, a gigantycznymi korzeniami. Stał u stóp drzewa.

Ich potężne sploty wspierały je tak samo jak ongiś w Iftcanie. Do złudzenia przypominało samą Iftsige — lecz to drzewo było martwe od zarania. Było tak samo nieprawdziwe jak Vallylle — zwierciadlane odbicie prawdy, zawierające nie więcej życia niż powierzchnia, od której się odbijała.

Może to przynęta w pułapce zastawionej na Iftów? W uścisku dłoni Ayyara rękojeść miecza stała się cieplejsza, a z jego czubka trysnęła srebrna iskra. Ta droga była mu bez wątpienia przeznaczona — nie było odwrotu.

W miarę jak zbliżał się do samego pnia drzewa, dostęp światła odcinały wysoko nad jego głową zbiegające się korzenie. Gdy wkroczył w głęboką ciemność między nimi, doświadczył takiego uczucia osamotnienia, oddalenia od przedstawicieli swego gatunku — być może już na zawsze, że pełen obaw i złych przeczuć wydał cichy okrzyk:

— Illylle!

Nie oczekiwał wprawdzie odpowiedzi, lecz mimo to jej brak zmroził mu krew w żyłach. Poczł się jak ktoś, za kim zamykają się drzwi więzienia, kto słyszy zatraskujący się rygiel zamka i doskonale wie, że nigdy już stamtąd nie wyjdzie. Nie mógł się odwrócić — znalazł się pod czyimś wpływem zupełnie jak wtedy, gdy skafander sam poniósł go do podziemi. Tym razem nakaz pochodził nie od Nienazwanego, lecz z energii zmagazynowanej w nim samym.

Minął zewnętrzną powłokę pnia; słabe czerwone światło wydobywające się z ziemi oświetlało każdy krok, zupełnie jakby stapał po żarzących się jeszcze węgielkach gasnącego ogniska. W takim to otoczeniu ponownie spotkał się oko w oko z Iftem. Ten osobnik nie przypominał wodzącej na pokuszenie Vallylle. Jego zniszczoną twarz przecinała blizna po szpetnie zagojonym cięciu, charakterystyczna dla byłego wojownika, a usta układały się w gorzki grymas. Miast miecza w ręce trzymał złamane drzewce sztandaru, który zwiślał pomiędzy drzazg podarty i poplamiony.

Pamięć ocknęła się i podpowiedziała imię:

— Hanfors...

Wyszeptał to imię prawie bezgłośnie. Nazwany trwał nieporuszony jak kamienny posąg. W szeregu obok, jak okiem sięgnąć, stali następni: wszyscy wojownicy, którzy kiedykolwiek prowadzili Iftów ku sławie lub klęsce. Ayyar znał tych spośród nich, którzy walczyli za jego czasów, w dniach, kiedy i jego miecz zakosztował krwi Larshów. Ale byli tam również bohaterowie wcześniejszych i jeszcze wcześniejszych czasów...

Nagle w jego myśli zakradł się ślad zwątpienia — to prawda, że Hanfors poprowadził ich na przegraną wojnę, tak samo Vanok i Selmak. Lecz inni? Przecież znajdowali się tu również wojownicy z epoki Zielonego Liścia, kiedy Nienazwane pozostawało skrepowane Kłatwą. Żyli oni w czasach chwały i rozkwitu, a nie upadku swej rasy. A więc, jeśli miałoby to być wyrazem triumfu Nienazwanego, to żadna z tych uosabiających zwycięstwa Iftów i upokorzenie ich odwiecznego wroga postaci nie pasowała tu. Ich obecność zadawała kłam mitowi o niemożności wygrania z Nienazwanym. Ayyar nie wiedzieć dlaczego był przekonany, że to drobne odkrycie jest bardzo ważne.

Nie umiał ani nawet nie próbował rozstrzygnąć, czy stoi naprzeciw żywych Iftów, czy figur gloryfikujących zwycięzców; nie miał też zamiaru dochodzić prawdy. Potem ujrzał po przeciwnej stronie bliźniaczy rząd postaci. Te były uzbrojone — pierwsze dzierżyły miecz i włócznię jak Iftowie, następne inną broń. Lecz ci stojący najbliżej to Larshowie. Ayyar szedł wzdłuż szeregu przyglądając się im z rosnącym zdumieniem, gdyż znacznie różnili się między sobą. Początkowo ledwie człekokształtne stworzenie prostowało się i stawało coraz wyższe, a gęste kudły porastające całe ciało zrzędy i stopniowo zanikły. Ayyar stał między dwoma osobnikami — ostatnimi w swoich szeregach. Ift wyglądał tak samo jak zawsze, choć nosił całkowicie nieznaną rodzaj ubrania. Natomiast osobnik w szeregu po prawej z całą pewnością nie był Larshem! A ten ubiór kryjący jego szczupłą sylwetkę — to przecież skafander kosmiczny! Ręka owej postaci ścisnęła broń niejasno przypominającą pozaplanetarny blaster!

Kolejność postaci w obu szeregach była odwrotna Iftowie od formy prostszej zmienili się niewiele, chociaż Hanfors stojący na przedzie był z nich najdoskonalszy. Zgoła odwrotnie

przebiegała linia Larshów — ukazywała powolną ewolucję od prymitywu do cywilizacji dostatecznie rozwiniętej, aby sięgać gwiazd.

Ile więc stuleci minęło, odkąd Iftowie znikli z powierzchni Janusa? Jak długo trwała ewolucja Larshów i następnie ich wymieranie? Myśl o takiej otchłani czasu przeraziła Ayyara. Był ostatnią rozpaczliwą odpowiedzią Iftów na wymieranie ich gatunku. Niósł jako część siebie wspomnienia człowieka maszerującego ramię w ramię z Hanforsem, w czasach gdy Larshowie byli jeszcze półzwierzętami. Ileż to lat temu...? Poczul zawrót głowy i czym prędzej odsunął od siebie rozważania dotyczące czasu.

Czyżby więc Larshowie pod przewodnictwem Nienazwanego polecili do gwiazd? Co się stało potem, co położyło kres ich cywilizacji, co tak skutecznie wymazało jej ślady z powierzchni Janusa? Cały ten czas drzewa Iftcanu, lub przynajmniej ich część, trwały, trzymając straż, czuwając nad nasionami Iftów. Mogłoby się zdawać, że na przekór całemu zadufaniu Nienazwanego, ta głęboko ukryta komnata dowodzi niezbitości wyższości wiedzy i doświadczenia Iftów. Larshowie nadeszli i przeminęli, a Iftowie znów przemierzali Las.

Jest ich, nowych Iftów, tak niewielu — zaledwie garstka tutaj i kilku dalszych za wielką wodą. To jeszcze nie naród, mniej nawet niż Kompania Pierwszego Kręgu. Jaką mogliby mieć szansę, nawet wyposażeni we wszystkie swoje umiejętności — przeciw Nieznanemu, gotowemu na wszystko?

Ayyar nie chciał dłużej patrzeć na szeregi Iftów i Larshów. Dręczyła go wciąż myśl, że Nienazwane poniosło porażkę — Larshowie stali się przeszłością. Czyżby próbowało użyć magii, aby ich ponownie ożywić?

Następne drzwi, następna komnata... W czerwonej poświacie majaczyły maszyny, dziwaczne przyrządy prawdopodobnie służące do latania, inne przeznaczone do poruszania się po ziemi. Stały pokryte tak grubą warstwą pyłu, że z trudem przychodziło wyobrazić sobie, od jak dawna tak trwają. Stworzone przez Larshów, dzieło ich umysłów i rąk, teraz martwe jak ich konstruktorzy.

Nie było mu jednak dane długo kontemplować maszyn.

Miecz w jego dłoni nagle ożył, zwrócił się w kierunku podłogi i nie dał się poruszyć. Stawał się coraz cięższy, ciągnąc jego rękę, ramię, całe ciało w dół, aż czubek dźgnął w podłogę. Znajdowało się tam pęknięcie, z którego pod dotknięciem miecza wydobyło się oślepiające światło.

Podłogę poczęło się zapadać; szczelina okazała się brzegiem platformy, takiej samej, jaką napotkał w dolinie kopców. Skrzypiąc, zjeżdżała powoli — była w widoczny sposób w gorszym stanie od tamtej.

W dół... ostrożnie balansował na niestabilnej powierzchni. Wciąż jeszcze widział otwór nad głową i czerwoną poświatę. Dookoła było jednak mroczno. Coś zazgrzytało i platforma zatrzymała się. Z góry spadła gruda ziemi. Ayyar przesunął się i poczuł pod butami gładką powierzchnię. Znów trafił do podziemi.

Gdy tylko zwrócił się w lewo, miecz rozjarzył się i ciepło z rękojeści rozeszło się po całym jego ciele. Platforma nie podniosła się i nie zamknęła otworu, a więc tym razem pozostawała mu droga ucieczki. Ostrze miecza lśniło żółto, a nie zielono lub srebrzyście, jak widział to poprzednio.

Ayyar był pewien, że miecz oddaje mu swoją energię.

Wiedziony przez tajemną wolę, która go przywiodła do domeny Nienazwanego, podążył śmiało korytarzem przed siebie.

Korytarz wiódł prosto; w ścianach nie było żadnych drzwi.

Cały czas czuł napływ siły wzmagającej jego czujność i gotowość. Jednakże Ayyar był przekonany, że nie była to moc pokrewna Thanth, lecz raczej coś stąd pozwalało mu na regenerację energii.

Dotarł do zamkniętych drzwi, które zlekcewały jego wszelkie wysiłki zmierzające do ich pokonania, dopóki nie dotknął ich mieczem. Odpowiedzią był tak oślepiający błysk, iż musiał zasłonić oczy. Poczul gryzący, duszący podmuch powietrza, uderzający prosto w twarz. Gdy ośmielił się spojrzeć, ujrzał rozgrzany do białości, stopiony brzeg metalowych drzwi, które pod naciskiem jego ramienia runęły do przodu.

W stąpił w rozległą przestrzeń, która natychmiast pochłonęła całe światło wydobywające się z miecza. W pobliżu znajdowały się cienkie metalowe pręty, a między nimi niezliczone rzędy luster, upakowanych ciasno, lecz nie stykających się ze sobą. Pokryte były grubą warstwą kurzu. Z wielką ciekawością potarł palcem powierzchnię najbliższego i stwierdził, że pod pyłem znajduje się druga nieprzezroczysta warstwa, wysuszona i krucha, odpadała całymi poszarpanymi płatami.

Ayyar przybliżył światło miecza i przyjrzał się obrazowi w zwierciadle — kobieca twarz o szeroko rozstawionych oczach, cera koloru kości słoniowej, gęste żółte włosy. Ani Ift, ani Larsh — raczej, zdecydował, końcowy produkt ewolucji tych ostatnich. Posłużył się pamięcią Nailla — przez port na Korwarze przewijały się rasy z tysiąca światów człekokształtne i nieludzkie, a jednak ta twarz nie przypominała mu żadnej widzianej uprzednio. Wpatrywała się w niego jak żywa, jakby miała za moment doń przemówić.

Zielona Przemiana, która uczyniła z niego Ifta, zaszczepliła mu jednocześnie odrazę do rodzaju ludzkiego. Patrząc w te nieruchome oczy odczuwał nieopisaną nienawiść... Dlaczego? Cóż złego mogło jemu lub jego gatunkowi wyrządzić to odbicie?

Chyba że — lodowaty dreszcz przeszył go do szpiku kości — chyba że z tego lustra może odrodzić się istota w nim ukazana. Czyżby to właśnie przydarzyło się Larshom: zredukowanie do portretu w magazynie? Z drugiej strony był świadkiem, że Nienazwane używa teraz nowych luster do budowy niewolników. Tutaj — zatoczył mieczem łuk, oświetlając wszystko dookoła — znajdowały się niezliczone zasoby wizerunków, potężna armia, a może nawet cały naród.

Ayyar ruszył między półki; mijał podobne przejścia odchodzące w prawo, w lewo — bez końca wypełnione lustrami. Dwukrotnie zatrzymał się i oczyścił powierzchnię z pyłu: za pierwszym razem spojrział nań mężczyzna innej rasy. Za drugim niespodziewanie odsłonił obraz porośniętej futrem głowy zakończonej ostrym ryjem, należącej do stworzenia obcego gatunku, które można by śmiało nazwać zwierzęciem.

Zauważył przy tym, że ta ostatnia półka była oznaczona czerwono, podczas gdy inne nie nosiły żadnych kolorów.

Przyglądając się dokładniej odkrył półkę oznaczoną na niebiesko. Jeszcze raz oczyścił powierzchnię, z której wyjrzała na niego twarz — jeśli można by to nazwać twarzą. To lustro było mniejsze, zaledwie połowy wielkości poprzednich. Stworzenie widoczne w nim było białe, bezwłose, miało ostro zakończony pysk i małe, okrągłe uszy. Lekko rozchylone szczęki ukazywały kły...

Bielec! No, może nie całkiem taki jak te, które znał, ale kto wie, może i one uległy zmianom czy udoskonaleniom w czasie stuleci. W takim razie dlaczego Nienazwane wciąż używało bielców starożytnej rasy, współczesnej Iftcanowi?

A to tutaj — czymże było? Bielcem? Czymś innym? Nic z tego nie pojmował.

Długo spacerował między rzędami, w pyle i ciszy, właściwym miejscem naznaczonym piętnem śmierci. Cały czas prześladował go odór fałszywych Iftów.

Przyspieszał kroku, aż na koniec wzbijając kłęby pyłu ruszył biegiem, mijając kolejne półki z lustrami. Nie było widać ich końca. Wypełniała go energia spływająca z miecza; nie zdziwiłby się, gdyby przy ruchu ręki z czubków palców trysnęły mu iskry. Wydało mu się, że przybycie tutaj nie miało najmniejszego sensu. Cały czas dręczyło go irytujące uczucie, że odpowiedź na wszystkie jego pytania znajduje się w zasięgu ręki, dostępna w każdej chwili — pod warunkiem, że wykaże się dostateczną inteligencją.

Dotarł wreszcie do końca jaskini czy może raczej komnaty z lustrami. Miecz świecący niczym pochodnia wskazał na ścianę zwieńczoną wysokim łukiem. Znajdowały się w niej następne zamknięte na głucho wierzeje, ale Ayyar nie zawahał się ani chwili i wypalił je tak jak poprzednie.

Źle czuł się w tym miejscu i niczego nie pragnął bardziej niż opuścić je jak najszybciej.

Otworzył się przed nim korytarz szerszy niż jakikolwiek napotkany do tej pory w podziemiach, o podłodze pokrytej grubą warstwą nietkniętego pyłu. Miecz znów wskazywał prosto przed siebie. Dotarł do następnych, tym razem otwartych, drzwi i wszedł do jednego z uprzednio już widzianych szybów. Drabina prowadziła w górę, ale miecz szarpnął potężnie w dół, zmuszając go, aby ukląkł. Tylko, że to, co niegdyś było przedłużeniem drabiny wiodącym w dół, nie nadawało się do użytku. Przeszkodą nie były drzwi — otwór pokrywała, jak pieczęć, spieczona masa kompletnie stopionego metalu. Ayyar przypuszczał, że zrobiono to specjalnie, aby uniemożliwić przejście tą drogą.

Spróbował użyć mocy miecza, ale energia z niego wypływająca nie zdołała oddzielić nawet najmniejszej cząstki wierzchniej warstwy szklistej skłębionej masy. W końcu oręż, zupełnie jakby utracił wszelką nadzieję na powodzenie, opadł bezsilnie w jego rękę. Wiedział już, że pod spodem znajduje się to, czego tak usilnie poszukiwał — mózg i serce tego miejsca. Sam nie zdołałby sforsować wejścia, aczkolwiek wydawało się, że Nienazwane swobodnie operuje z dala od swego źródła, na Pustkowie i jeszcze dalej, przez swoje sługi i narzędzia.

Czyżby dotarł tak daleko, do samego serca terytorium Wroga tylko po to, aby jak Hanfors poznać smak przegranej?

Ayyar przysiadł na piętach, z mieczem na kolanach, uważnie przyglądając się korkowi ze stopionego metalu. Miał uczucie, jakby moc wypełniająca Thanth, używając jego zmysłów rozważała problem przebicia bariery, a może też i inne sprawy. Żaden Ift sam nie podołałby temu zadaniu, jednakże znajdowali się na terytorium Nienazwanego i mogliby użyć w tym celu licznie tu zgromadzonych narzędzi lub maszyn, dobrze znanych przybyszom spoza planety, którymi przecież niegdyś byli. W dolinie kopców znajdowały się i maszyny, i ludzie, którzy potrafili je obsługiwać, lecz ci znajdowali się całkowicie pod kontrolą Nienazwanego.

Czas nie stał w miejscu! Ayyar zerwał się na równe nogi — dręczenie się myślami o tym, czego nie da się zrobić, było zwykłą stratą czasu. Iftowie muszą znaleźć sojuszników lub sposób na przebicie się przez barierę i dotrzeć do tego, co ukryte jest poniżej. Dla żadnego z nich: Iftów, osadników, pracowników portu — nie ma na całej planecie innej przyszłości poza bezmyślną egzystencją na usługach Nienazwanego. Lepiej już zginąć, próbując coś zmienić, niż poddać się bez walki.

Schował miecz i podszedł do drabiny. Musiał teraz odnaleźć drogę do wyjścia, wrócić przez Pustkowie do Illylle, a następnie do pozostałych — zadecydują razem, co i jak zrobić. Przecież każdy z odmienionych pochodził z innego środowiska, tak że ich różnorodne doświadczenia i wspomnienia pomogą wspólnie stworzyć jakiś skuteczny plan. To, co jeszcze przed chwilą patrzyło oczami Ayyara, odeszło, choć nie poczuł zmiany aż do chwili gdy został sam.

Wspinał się, mijając kolejne poziomy. Niespodziewanie napotkał resztki poszarpanego metalu, zwisające w strzępach, których ostre jak brzytwa krawędzie groziły mu poszatkowaniem, gdy przeciskał się pomiędzy nimi. Unikając osypującej się wokół drabiny ziemi, parł w górę, dopóki jasne słońce nie oślepiło mu oczu, a świeże powietrze nie owionęło twarzy.

Znalazł się gdzieś wysoko, usiadł ostrożnie i rozejrzał wokoło. Był na szczycie kopca! Rozpłaszczony tuż ziemi podczołgał się do krawędzi i ocieniając oczy spojrzął w dół. Wprawdzie długotrwałe błądzenie w podziemnych korytarzach zakłóciło jego orientację względem stron świata, ale bez wątplenia był to taki sam kopiec jak te, które widział w

pierwszej dolinie. A może po prostu powrócił w to samo miejsce? Rozejrzył się w poszukiwaniu jakichś szczególnych znaków orientacyjnych. W oddali z łoskotem poruszała się portowa koparka; dojrzał puste miejsce operatora. A więc powrócił do czerwonej doliny; teraz należy tylko przekroczyć ją i dojść do drogi. Na razie jednak nic z tego — była pełnia dnia, a on nie nosił tym razem maskującego przed Wrogiem skafandra kosmicznego.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gdzie podzieli się ci wszyscy otumanieni ludzie, którzy . się tu przedtem? Ayyar przyjrzał się dolinie osłaniając dłońmi. Koparka nadal z trudem brnęła przez piach, po ludziach nie było śladu. Nie był tego pewien, lecz przypuszczał, że droga prowadząca na zewnątrz doliny leży po przeciwnej stronie kopca. Wyciągnął i włożył gogle z liści; światło osłabło i stało się możliwe do zniesienia.

Ayyar spojrział w dół ocienionego stoku.

Opadał stromo i nie był pokryty roślinnością. Z łatwością mógłby ześlizgnąć się w dół używając miecza jako hamulca. Koparka przesunęła się właśnie i zrobiła zwrot w prawo. Teraz!

Odepchnął się i w miarę, jak nabierał szybkości, rył coraz głębsze koleiny w ziemi, pchając ją stopami przed sobą. Substancja, z której zbudowano kopiec, nie była właściwie ziemią — obrzydliwie tłusta w dotyku wydzielala dziwny zapach starej zgnilizny, który wywoływał falę mdłości. Na koniec zjechał na piasek i przyklękawszy na jedno kolano zaczął rozglądać się w poszukiwaniu strażników.

Musiał koniecznie utrwalić w pamięci położenie tego szczególnego kopca na wypadek, gdyby powrócił i chciał tędy wejść do podziemi. Stał on blisko ściany klifu przy końcu doliny, ostatni w rzędzie i był okrągły. Ayyar wstając strząsnął z siebie resztki ciemnej substancji i trzymając się w cieniu kopca brnął naprzód w głębokim po kostki, ciężkim piachu.

Minął jeszcze dwa kopce nie napotykając ani ludzi, ani maszyny, która chyba gdzieś się oddaliła, gdy nagle, bez ostrzeżenia nastąpił atak. Szok sparaliżował go — straciwszy równowagę, oparł się o ścianę kopca. Spojrział w dół i ujrzał pierzastą strzałę sterczącą z uda. Ift! Ale gdzie się ukrył i dlaczego do niego strzelał?

Przywierając plecami do ciemnej substancji kopca zdołał jakoś utrzymać się na nogach, ale na jak długo? Nie widział samego łucznika, natomiast tamten z pewnością mógł go dosięgnąć bez trudu. Żaden powiew nie niósł zapachu fałszywego Ifta. Krew wypływała z rany szybko... zbyt szybko.

Fałszywy Ift... miecz... Przypomniawszy sobie, co zrobiła Illylle, gdy kiedyś jeden z tych przerażających robotów zaczął się na nich w zasadzce. Postarał się obliczyć, skąd wypuszczono strzałę. Miecz w jego ręce zaczął kołysać się w miarę jak pochłaniał moc Ayyara. W przód... w tył...

Druga strzała nie nadlatywała. Czyżby Wróg zapragnął wziąć go żywcem?

Niechaj... to co we mnie... z Thanth... ujawni się!

Nie bardzo wierzył w skuteczność zaklęcia, zostało jednak wysłuchane. Ujrzał odcinający się na tle piasku cień, którego głowa kołysała się w przód i w tył, wtórując ruchom miecza.

Tu — do mnie! Ze wszystkich sił starał się wydać myślą rozkaz, który przyciągnie napastnika. Wychodź!

Był to z pozoru Ift, lecz sam wygląd nie był w stanie oszukać węchu Ayyara i jego umysłu.

Łucznik zbliżał się, podrygując i dziwacznie wysoko unosząc stopy, jakby brodził w głębokiej wodzie. Zielona głowa kołysała się z boku na bok, wtórując ruchom srebrzyście lśniącego miecza w jego ręce. Ayyar uczył, jak jego ciało powoli opuszcza obca moc.

Z jakiego lustra narodziła się ta nieruchoma twarz bez wyrazu?

— Podejź — powiedział przyciszonym głosem, ledwie ośmielając się uwierzyć, że potrafi przyciągnąć go na odległość ciosu.

Obcy każdym swym krokiem wyrażał sprzeciw przeciwko temu, do czego był zmuszany.

— Chodź tu...

Stwór zatrzymał się i zakolebał w przód i w tył, jakby pod wpływem dwu sprzecznych rozkazów. Jego ręce bardzo powoli uniosły łuk. Czyżby władza Ayyara nad nim osłabła?

Nie odważył się dłużej czekać, przypomniał sobie sztuczkę wykorzystywaną w walkach wręcz. Wbił palce lewej ręki głęboko w podłoże, na moment przerzucił ciężar ciała na zranioną nogę i rzucił się na fałszywego Ifta. Chmura czarnego pyłu lecąca przed nim osłepiła przeciwnika. A chociaż padł na ziemię bliżej niż zamierzał, to i tak zdołał ciąć ostrzem zielone ciało wroga.

Fałszywy Ift wzdrygnął się i wypuścił łuk z rąk; jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Ayyar z twarzą wykrzywioną bólem dźwignął się i wstał, choć przed chwilą nie był wcale pewien, czy mu się to uda. Upadek odłamał wystającą część strzały i wbił grot głębiej w ciało; nie miał jednak czasu, aby się tym zająć. Zatoczył się do przodu i raz jeszcze ciął konwulsyjnie podrygującą głowę fałszywego Ifta. Dał się słyszeć przeraźliwy dźwięk, który z pewnością nie wydobył się spod między wykrzywionych warg stworzenia.

Tamten runął na twarz, ręce zagłębiwszy w podłoże, i już się nie poruszył. Jego ciało poczęło ześlizgiwać się po zboczu, aż spoczęło na piasku przykryte warstwą ziemi, którą pociągnęło za sobą.

Ayyar chwilę obserwował martwego nieprzyjaciela, aby upewnić się, że nie powróci do życia. Wówczas zajął się własną raną. Mimo przeraźliwego bólu udało mu się wyrwać grot strzały. Miał nadzieję, że zdoła kontynuować marsz. Oddał pas materiału ze swego ubrania i używając łuku Ifta jako usztywnienia, zabandażował zranioną nogę.

Ile jeszcze podobnych stworzeń czaiło się w tej dolinie? Przeszukiwał właśnie wzrokiem zacienione miejsca, gdy nagle podskoczył, usłyszawszy metaliczny brzęk za plecami. Była to ładowarka, ta sama, którą widział za rzeką — ileż to już dni temu? Okrążała kopiec, kierując się wprost na niego, zupełnie jakby celowo naprowadzana, by zwalić go z nóg. Ayyar, kuśtykając, z trudem ukrył się za krzywizną nasypu.

Ładowarka sunęła dalej, aż dotarła do miejsca, gdzie leżał rozbity robot. Ayyar niejasno spodziewał się, że maszyna zawaha się; trudno było mu uwierzyć, że nie ma nikogo na miejscu kierowcy. Ona jednak bez wahania przetoczyła się, wgniatając zmiażdżonego robota głęboko w piach. Ayyar powoli uniosł miecz. Jak jednak mógłby stawić opór tonom bezmyślnego, pracującego przed siebie metalu...

Jeśliby skręciła w lewo przy końcu kopca, to nie miałby dokąd uciec; nie zdołałby wspiąć się ponownie. Jedyne, co mu pozostało, to czekać i zadręczać się niepewnością przez niekończące się, długie sekundy.

Kiedy pojawił się przed nim przód ładowarki, Ayyar nie mógł się już cofnąć bardziej — nie było dokąd. Jednak zwrot, na który czekał, nie nastąpił; maszyna posuwała się dalej prosto przed siebie. Ayyar wspierając się na łuku pokuśtykał najszybciej jak potrafił w lewo, w kierunku następnego kopca.

Posuwał się jak ścigana zwierzyna, bacznie obserwując otoczenie. Chował głowę w ramionach, jakby obawiał się następnej strzały. Niepokój znacznie przewyższał ból wywołany przez ranę.

Cały czas towarzyszył mu zgrzyt ładowarki posuwającej się równoległe do niego, lecz nie zauważył żadnego innego ruchu w pobliżu. Kulejąc i odpoczywając co chwila, szedł zbyt wolno. Na koniec ujrzał drogę u stóp zbocza. Zastanowił się — czy patrolujące skafandry nadal tędy przechodzą?

Ruch na drodze. Ayyar rozejrzał się za jakimś schronieniem, lecz niestety, między ostatnim kopcem i drogą rozciągała się otwarta przestrzeń. W porywie desperacji przykucał przy ścianie doliny, zdając sobie sprawę, że był to nieprzemyślany i błędny wybór. Opadającą w dół ścieżką nadchodziła jakaś grupa postaci. Nie był to patrol skafandrów, jak się obawiał, lecz... kobiety!

Patrzył, nie wierząc własnym oczom. Niektóre z nich miały zasłonięte twarze, surowy nakaz, którego musiały przestrzegać wszystkie osadniczki z dala od domów. Owijały oblicza pasem materiału z otworami na oczy i usta, co upodabniało je do robotów. Inne zgubiły lub odrzuciły zasłony i szły z odkrytymi twarzami. Paradoksalnie ich nowymi maskami stały się pustka i bezmyślność.

To niebywałe — kobiety z osad, nie mające nigdy prawa oddalić się od domu, a z nimi dzieci! Ayyar wziął głęboki oddech. Zdawało się, że Nienazwane pustoszy planetę, ściągając do siebie wszystkich osadników z Janusa.

Kroczyły tak samo wpatrzony w przestrzeń, takim samym równo odmierzonego krokiem jak owi mężczyźni, których widział wcześniej. Niektóre niosły niemowlęta, inne prowadziły większe dzieci za rękę. Nie odzywały się do siebie ani słowem, zupełnie jakby ktoś rzucił na nie urok. Ten widok sprawiał o wiele bardziej przykre wrażenie niż przemarsz mężczyzn. Ayyar całą siłą woli powstrzymywał się, by nie wyjść im na spotkanie, by nie złapać najbliższej kobiety za ramię i spróbować wyrwać z odrętwienia.

Naliczył dwadzieścia osób. Nie zatrzymali się dotarłszy do doliny, lecz podążali dalej równym krokiem drogą między kopcami, tą samą, którą on sam niedawno przeszedł. Patrzył bezradnie w ślad za nimi. Nie byli już jednym gatunkiem i kiedy go mijały, odczuwał do nich silną awersję, jednak pamięć Nailla ponaglała go do uwolnienia nieszczęsnych istot spod władzy okrutnego fatum. Ale nie mógł nic zrobić ponad to, co i tak było jego celem — odszukać drogę do Nienazwanego i pokonać je.

Aby poważnie się na to, potrzebował pomocy, jednak nie ze strony ludzi, których tak łatwo usidlić, ale od przedstawicieli własnego gatunku. Zaczął wspinać się na drogę, zdecydowany nie oglądać się na małą grupkę przedzierającą się przez piach.

Droga nie zdawała mu się tak trudna kiedy nią schodził, ale teraz musiał liczyć się ze swą raną, a więc posuwał się z trudem i powoli. Ayyar nie miał pojęcia, ile ze swej energii zużył na powalenie fałszywego Ifta, ale i tak był świadom jej powolnego odpływu.

W górę i w górę... Nagle oślepiły go refleksy światła odbite przez odłamki Białego Lasu i nie zdołał stłumić okrzyku bólu. Nawet z goglami na oczach obawiał się spojrzeć w dal przed siebie choćby przez chwileczkę. Słońce paliło jego ciało gdy się tak czołgał, ciągnąc zranioną nogę, unikając obciążania łuku, aby nie pękł.

Posuwał się śladem kolein w pokruszonym kryształach. Nasłuchiwał, badał wiatr, pragnąc dowiedzieć się, czy jest ktoś przed nim. W pobliżu znajdowało się jedno ze wzniesień terenu — wyciągnął rękę chcąc się podeprzeć, ale natychmiast ją cofnął, oparzywszy palce. Jako że było to i tak jedyne schronienie w pobliżu, przycisnął się za nim, zacinając zęby, aby zdzierżyć gorąco, nasłuchując zbliżającego się chrzęstu.

Nie ośmielał się patrzeć zbyt długo, wyciągnął tylko miecz. Cokolwiek nadciągało, musiało być bardzo ciężkie — skafander czy może jakaś maszyna?

W pole widzenia wysunął się znajomy czarny ryj. Ayyar spał się — maszyna, która ukazała się, nie była przeznaczona do pokonywania lasów czy łąk, ale do unicestwienia ludzi. Był to paralizator, używany przez siły obrony portu. Porażał ludzi i inne humanoidy, pozbawiał ich władzy nad własnymi mięśniami, przemieniał nieszczęsne ofiary w bezradną trzęsącą się galaretę na długie godziny, a nawet dni! Nie słyszał wprawdzie, aby używano ich na Janusie, ale z pewnością ochrona portu miała je w swym wyposażeniu. Jak osadniczki przed chwilą, wibrator podążał uparcie naprzód, przyzywany jakimś tajemniczym rozkazem w głąb doliny. Ludzie, jego twórcy, nie przewidzieli, że mogłby poruszać się samodzielnie, bez udziału kierowcy.

Ściąganie ludzi i maszyn w to miejsce oznaczało zdaniem Ayyara jedno: formowanie armii. Przeciw czemu? Tym żalosnym resztkom, które mogły jeszcze pozostawać we władzy garstki Iftów? Jeśliby nawet zdołali ściągnąć resztę swych towarzyszy spoza morza, nigdy nie będą w stanie stawić czoła Nienazwanemu na otwartym polu.

Ayyar odczekał, aż paralizator oddali się dostatecznie, i przewyciężając ból wstał i ponownie wpatrzył się w przeciwną stronę drogi. Nagle przyszło mu do głowy, iż być może Nienazwane poczuło się zagrożone? Może jego pobyt w podziemiach, to, co tam widział i czego się dowiedział — wywołał poważny alarm. Ale nie, te wędrówki zaczęły się już wcześniej...

O ile wcześniej? Zmarszczył brwi, analizując wspomnienia. Obudzili się na alarm Iftsi. Ludzie z portu już wcześniej zaatakowali Las, ale wówczas nie znajdowali się oni jeszcze pod całkowitą kontrolą Nienazwanego. Ludzie, których widział w obozie, wydawali się zupełnie normalni. A podczas najazdu fałszywych Iftów, którego byli naocznymi świadkami, nie podejmowano żadnych działań w celu pojmania osadników i uczynienia z nich sprzymierzeńców. Nie, nic takiego nie miało miejsca dopóki nie wezwali flitera z portu, próbując skontaktować się z ludźmi i wspólnie zwrócić się przeciw Nienazwanemu.

Ayyar pojął oczywistą prawdę; Nienazwane wyniosło naukę z ich próby kontaktu — takie przymierze byłoby dlań zagrożeniem.

Potem udali się do Thanth i postępowali tam według rytuału starożytnych Iftów. Odpowiedzią Nienazwanego było masowe niewolenie przybyszy spoza planety, zagarnianie każdego człowieka i rzeczy, z którą Iftowie mogliby się sprzymierzyć. Po raz kolejny stanął przed zasadniczym pytaniem: co takiego posiadają Iftowie, czego by Nienazwane tak panicznie się obawiało?

Kiedyś, dawno temu, bohater z plemienia Iftów wystąpił przeciw Nienazwanemu i rzucił nań obezwładniającą Klątwę. Była ona powtarzana w późniejszych czasach i utrzymywała Nienazwane w niemocy w jego gnieździe. Po pewnym czasie przełamało Ono Klątwę i w późniejszych latach Iftowie nie potrafili już przeciwstawić się potędze Nienazwanego. Iftcan padł, zdobyty przez Larshów. Czyżby Zło nadal drżało przed Klątwą, czyżby przygotowywało nową armię „Larshów”, aby położyć kres wszelkiemu oporowi?

Kłątwa! Jeśli nawet jej istnienie było prawdą, to jej istota i sposób narzucenia jej przez Kymona Wrogowi nie dawały się wyodrębnić z legendy i Iftowie późniejszych dni nie potrafili poznać owej tajemnicy. Teraz Ayyar spenetrował podziemia, odszukał zamknięte schody prowadzące prawdopodobnie do gniazda Nienazwanego. Tyle mógł ofiarować tym, których teraz szukał, nic więcej.

Illylle — musi odszukać Illylle. A potem muszą przebyć Pustkowie, dotrzeć do morza i odnaleźć pozostałych. Będzie mu niesłychanie trudno opowiadać o swym niepowodzeniu, ale jedyne, co mógł im zanieść, to szczegółowy opis wszystkiego, co widział. Wówczas może znajdzie się wśród nich ktoś, kto podpowie im jakiś plan działania...

Ayyar był kompletnie wyczerpany; z każdym niezgrabnym krokiem wypływało zeń coraz więcej energii. Może dano mu siłę dla osiągnięcia jednego tylko celu, a gdy go nie zdołał osiągnąć, wyciekała zeń jak krew przesiąkająca przez zaimprovizowany opatrunek.

Był zmuszony polegać głównie na słuchu i węchu, trzymając oczy wciąż zaciśnięte przed blaskiem słońca, chociaż oceniał, że było już dobrze po południu. Z całego serca tęsknił do chłodu nocy; nie pamiętał, jak dawno temu ostatni raz dane mu było przespać żar dnia.

Teraz uwaga... musiał bardzo pilnie uważać, aby nie przeoczyć zejścia do doliny, w której rosły prawdziwe drzewa.

— Illylle? — spróbował zawołać ją w myśli, a wyschłe, spękane usta same ułożyły się w jej imię. Głód i pragnienie rosły, w miarę jak słabła jego moc. Odpowiedź nie nadchodziła.

Rozglądał się za rozwidlonym odłamkiem kryształu pozostawionym jako znak orientacyjny. Dostrzegł go, gdy był już prawie pewien, że zaszedł za daleko. Zataczając się opuścił drogę i szedł zygzakami, omijając skorupy. Wiodła go orzeźwiająca woń lasu, obiecując schronienie i wypoczynek.

I wtedy nagle ziemia usunęła mu się spod stóp, więc upadł i stoczył się w dół zbocza. Przerażliwy ból w wykręconej zranionej nodze rozjarzył się czerwienią w jego głowie i odesłał go w ciemność.

— Illylle? — Czy to jego głos, taki matowy i ochrypły?

Otumaniony, Ayyar otworzył oczy, wdzięczny za cudowny cień na twarzy. Tak dobrze było tu leżeć pod zielonym baldachimem osłaniającym od okrutnego światła. Był zmęczony, tak bardzo zmęczony. Ból... Spróbował unieść rękę i znaleźć źródło bólu w swym ciele.

Ciemność... dobrotliwa ciemność... mógłby zanurzyć się w niej jak w morzu...

Morze!

Musiał dotrzeć do morza, wraz z Illylle...

Jakże ciężko było porzucić tę zaciszną skorupę. Illylle... morze... inni... Zraniona noga była sztywna i zbyt słaba, by utrzymać jego ciężar. Ayyar uczepił się pnia drzewa i podciągając się, wstał.

Wielkie drzewo, zielony liść,

Ciężka dola Iftów!

Silne drzewo, mocna gałąź...

Z jego warg spłynęła stara inwokacja. Nie nabrała żadnego nowego znaczenia; przecież nie czuł dłońmi szorstkiej kory jednej z Wielkich Koron. A jednak na słowa tej modlitwy przywarł do tego młodego drzewa tak jakby to była Iftsiga.

Być może poruszyło to w nim resztki energii, którą Thanth napelniła mu ciało. Zdołał ruszyć się z miejsca i zataczając się od drzewa do drzewa dobrać do miejsca, w którym pozostawił Illylle, pogrążoną w letargu, spoczywającą w szczelinie skalnej za stosem kamieni.

Opadł na jedno kolano, starając się nie zginać zranionej nogi i zaczął wyjmować kamień po kamieniu. Ręce mu drżały, tak że musiał siłą woli panować nad każdym ruchem. Zapadał zmierzch, a nadchodzący zmrok przynosił ulgę, jak zapach zielonej oazy odświeżał płuca spragnione powietrza Lasu. Jeszcze cztery kamienie i mógł spojrzeć na nią.

Leżała tak, jak ją pozostawił, z bladą, mizerną twarzą o zaostrzonych rysach, z zastygłym wyrazem głębokiego smutku.

— Illylle — zawołał do niej cicho, łagodnie. Ciężkie powieki nie drgnęły; nie mógł nawet dostrzec, czy dziewczyna w ogóle oddycha.

— Illylle! — Odezwał się ostro, ponaglany strachem. Położył rękę na jej ramieniu i mocno nią potrząsnął. Ciało pod wpływem tego ruchu nieco się poruszyło, nagle prawa ręka opadła bezwładnie i spoczęła dłonią do góry na jego sztywnej nodze.

— Illylle!

Niezgrabnie wydzwignął ją na otwartą przestrzeń. Zimne w dotyku ciało bezwładnie zwisało w jego ramionach. Usiadł, podtrzymując ją; głowa Illylle znalazła się na jego ramieniu, a nogi jeszcze w szczelinie.

Przypominając sobie ich rozstanie ujął jej obie dłonie w swoje, mocno ściskając i pragnąc z całego serca, aby moc, którą mu przekazała, przepłynęła teraz z powrotem i pobudziła ją do życia. Bez rezultatu. Czyżby odebrał jej zbyt wiele, aby teraz udało się ją obudzić?

Poczuł strach całkowicie odmienny od tego, który towarzyszył mu nieprzerwanie od czasu opuszczenia Zwierciadła. Przedtem obawiał się o bezpieczeństwo ich oddziały czy swoje własne — teraz trwoga o dziewczynę przerosła wszystko inne.

Jarvas lub Zwierciadło Thanth — człowiek lub miejsce, jedno i drugie mogło pomóc przywrócić jej życie, lecz żadne z nich nie znajdowało się w zasięgu ręki. Aby dotrzeć do Thanth musiałby przenieść Illylle przez Pustkowie, a to było ponad jego siły. Mógł zrobić tylko jedno: ponownie ją opuścić i udać się na spotkanie Jarvasa, nie tylko z wiadomościami

o Nienazwanym, ale po prostu dla ratowania Illylle! Poruszając się powoli, gdyż każdy ruch wywoływał w nim fale bólu, Ayyar pieczołowicie umieścił na powrót jej lekkie, młode ciało w szczelinie i począł układać kamienie. Starał się przy tym nie pozostawić najmniejszego śladu, że coś zostało za nimi ukryte. Nie miał pojęcia, czy słudzy Nienazwanego mogą tu zaglądać, ale uznał to za prawdopodobne. Gdy już wszystko zostało zrobione, Ayyar przysiadł na długą chwilę, niepewny, czy będzie w stanie wyruszyć. Gdzie znaleźć żywność i wodę? Bez nich nie odważyłby oddalić się z tej oazy. Zieleń dookoła pobudziła jego optymizm. Zmusił się do powstania; utykając i zataczając się od drzewa do drzewa, przedzierając się przez gęstwinę krzewów, rozpoczął poszukiwania. Na zewnątrz panowała zima, ale tutaj mógł na krzakach napotkać dojrzewające strąki. Natknął się na ziarna fussanu, zerwał pełną garść strączków, otworzył jeden z nich i począł przeżuwać jego zawartość. Ziarna były wprawdzie jeszcze cierpkie, a nie słodkie, ale i tak dodały mu sił.

Zjadł, a resztę nazbieranych zapasów zawinął w róg peleryny, którą zabrał z krypty Illylle.

Woda? Uniósł głowę, by zbadać węchem powietrze — słaby zapach wody...? Tak! Tam...

Utykając ciężko udał się do miejsca, gdzie tryskające z ziemi źródło zasilalo leniwy strumyczek. Ayyar zanurzył twarz w jego chłodzie, napił się, pozwalając, aby woda zmyła z jego skóry pył podziemi i doliny kopców. Musiało mu to wystarczyć na drogę przez Pustkowie, gdyż zapasu nie miał w czym zabrać. Lewą ręką przyciskając do siebie zawiniątko z fussanem, prawą wsparł jak zwykle na rękojeści miecza i ruszył ku ścianie doliny. Teraz na południowy wschód przewodnikiem będą mu gwiazdy.

Nie zatrzymał się, przechodząc koło kryjówki Illylle; obawiał się, że nie miałyby dość odwagi oderwać się od niej.

Nadzieja, choć znikoma, była wszystkim, co posiadał. Musiał wspinać się na czworakach na szczyt stoku prowadzącego do Kryształowego Lasu. Noc dodała mu otuchy, otulając przyjazną ciemnością jak peleryną.

Gwiazdy prowadziły go na południowy wschód. Pełzał powoli, kalekimi ruchami, wystawiony na atak bielców, fałszywych Iftów i innych sług Nienazwanego grasujących nocą. Dalej i dalej, usta zaciśnięte z bólu. Od czasu do czasu żuł ziarna fussanu, starając się trzymać je w ustach jak najdłużej.

Czas płynął; Ayyar przedostał się przez obszar zasłany odłamkami kryształu i wkroczył na pustynię. Posuwał się przez nią, pilnie rozglądając w poszukiwaniu ewentualnych kryjówek, gdy nagle ze wschodu wystrzelił w niebo promień światła. Znak orientacyjny — dla kogo?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ayyar usiadł wsparty o skałę i obserwował światło. Wydobywało się skądś z pogranicza Pustkowie i dalej położonych, nie zbadanych terenów. Teraz promień był wycelowany prosto w niebo, ale od czasu do czasu przemiałał obszar dookoła. W takich momentach Ayyar odczuwał gdzieś głęboko wewnątrz wezwanie, przymus, aby podążyć w tamtym kierunku. Nie sprawiało mu jednakże kłopotu zapanowanie nad owym impulsem.

Gdy się tak przyglądał, promień nagle skręcił w dół i poprzez rzekę wycelowował w ziemię wyrwane puszczy przez osadników. Przez chwilę zawisł bez ruchu w powietrzu, po czym silny i skupiony opadł, by na koniec począć coraz szybciej pulsować. Rozjarzył się tak jasno, że Ayyar nie pozwolił sobie na zbytnie ryzyko i odwrócił oczy. Domyślał się, iż promień był wycelowany w którąś z osad, prawdopodobnie w celu zwabienia jej mieszkańców w szpony Nienazwanego.

Ciągle jeszcze nie potrafiło ono w ten sam sposób usidlić Iftów, a więc mieli pewną przewagę nad innymi. Któż jednak wiedział co jeszcze mogło grasować wzdłuż i w poprzek tej przeklętej krainy? Zataczając się Ayyar opuścił bezpieczne schronienie i wyruszył w dalszą drogę, tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to zraniona noga.

Teren był tu pełen zapadlisk i nierówności, idealnych na zasadzkę, posuwał się więc ostrożnie, nad słuchując, węsząc i czujnie rozglądając się w poszukiwaniu nieprzyjaciół. Raz dobiegło go wycie bielca i stanął jak wryty, czekając, czy nie usłyszy odpowiedzi dobiegającej z sąsiedztwa. Na szczęście usłyszał tylko szum wiatru.

Chmury mknęły po niebie goniąc jedna drugą i zasłaniając księżyc. Zimno przenikało go na wskroś. Z doliny, w której panowało nieomal lato, wkroczył w chłód przedwiośnia. W pewnym momencie potknął się o kamień, wsparł zbyt mocno na łuku i złamał zaimprovizowaną podpórę.

Świt był już blisko i Ayyar wiedział, że musi schować się, aby nieco odpocząć; nie dałby rady zrobić ani kroku więcej. Instykt Ifta wskazał mu kępę bezlistnych zarośli. Z trudem udało mu się wdrzeć do środka, gdzie łamiąc i naginając gałęzie uwił sobie coś na kształt gniazda, zasłoniętego przed niepożądanym okiem. Czuł potrzebę snu tak silną, jakiej nie odczuwał od czasu opuszczenia Zwierciadła. Wziął w usta kilka ziaren, ułożył możliwie najwygodniej zranioną nogę i przestał stawiać opór opadającym powiekom.

Znalazł się ponownie w tajemniczym, zasnutym mgłą miejscu, w którym znowu próbował stawić czoła niewidzialnemu gracze. Wydawało mu się, że Iftowie oraz trzy pionki zgromadzili się w zwartej grupie po jego stronie, jakby szykując się do ostatecznego starcia. Natomiast po stronie niewidocznego przeciwnika maszerowała prawdziwa armia: ludzie z portu, Larshowie, imitacje Iftów, osadnicy... Niektórzy z nich wysunęli się do przodu, co według podejrzeń Ayyara miało skusić go do jakiegoś pochopnego wypadu na pozycje wroga. Nie zrobił jednak żadnego ruchu, tylko studiował dziwny układ wrogiej armii, pilnie notując wszystko w pamięci.

Uwagę jego przyciągnęli zwłaszcza fałszywi Iftowie i Larshowie. Iftowie i lustra... Kto wykonał wzorce, według których skonstruowano owe roboty? Czy nie odwzorowano ich z prawdziwych Iftów, wziętych do niewoli w pradawnych czasach? Jeśli tak, to czy owi jeńcy mogli wciąż jeszcze przebywać w podziemiach? Może udałoby się ich ożywić i uwolnić?

A Larshowie, którzy od niezdarnych półzwierząt przebyli długą drogę, ewoluując w cywilizowanych ludzi, z których jednego, ubranego w skafander kosmiczny, oglądał stojącego w szeregu w komnacie pod fałszywym drzewem. Teraz, gdy wpatrywał się w planszę dokładniej, wydało mu się, że pionek co chwilę zmieniał wygląd, jakby w wizerunku pół—zwierzęcia ukryty był człowiek... Zdziwiło go to niepomiernie, gdyż zakłócało to i

zmieniało logikę zdarzeń. Ta myśl nie dawała mu spokoju, dręczyła go bezustannie. Rozwiązanie leżało na wyciągnięcie ręki, lecz wciąż mu się wymykało.

Oczekiwał na ruch niewidocznego gracza, na bolesną naukę dla swojej małej, defensywnej armii. Nagle zrozumiał, że siedzi i czeka tu nadaremnie, że przeciwnik jest po prostu nieobecny. Jednakże nie wywołało to w nim uczucia podniecenia, a raczej przecucie, iż tamten odłożył na bok planszę i pionki, aby oddać się innej, zuchwalszej grze na znacznie większą skalę.

Larshowie... Iftowie...

Ayyar przebudził się — jeśli był to sen, a nie powrót z zaświatów. Powiew niósł zapach fałszywych Iftów. Nie poruszył się — nasłuchiwał, patrzył...

Niewiele mógł zobaczyć przez krzewy, lecz jego słuch działał. Wrogowie nie starali się ukryć swego nadejścia: wyraźnie rozróżniał dźwięk obcasa ześlizgującego się po kamieniu, otarcie się krawędzi peleryny czy nogi o gałęzie. Nie zdradzając swej obecności, Ayyar powoli uniósł miecz; nie wypuścił z dłoni rękojeści nawet podczas snu. Bał się, że opuściła go cała energia, a bez takiego wspomnienia jak mógłby wystąpić przeciw robotom?

W szarym świetle poranka ujrzał niewyraźną sylwetkę. Otworzył szerzej oczy na widok twarzy przybysza i o mało nie wykrzyknął na głos jego imienia:

— Amper...!

Poczuł zawrót głowy, a czas zawirował. Amper! Przyjaciel, niegdyś bliski jak brat, który był mu towarzyszem podczas bitwy o Iftcan. Najpierw Vallylle, a teraz Amper, który znaczył dla niego tak wiele. Sam już widok twarzy przyjaciela odblokował pamięć, zalał umysł falą obrazów, jakże realistycznych...

Jedynie fakt, że robot stał nadal w tym samym miejscu, odwrócony od krzaków, uratował Ayyara przed odkryciem; dał mu czas niezbędny do przypomnienia sobie kim lub czym był ten Amper. Fałszywy Ift uważnie nasłuchując odwrócił nieco głowę w prawo.

Ayyar przygryzł dolną wargę aż do bólu. Wystarczy, aby robot odwrócił się jeszcze trochę, a z góry z łatwością dojrzy go przykucniętego za pozbawionymi liści zaroślami, i bez wahania tnie mieczem.

Gdzieś z oddali dał się słyszeć wysoki, przenikliwy gwizd, do złudzenia przypominający sygnał zwiadowczy Iftów. Stwór bliźniaczo podobny do Ampera podniósł głowę i powtórzył hasło, zapewne przekazując je następnemu. Czy to możliwe, że natknął się na sieć łowców polujących właśnie na niego? A może to tylko zwykły patrol mający za zadanie przejąć i poprowadzić ludzi podążających za promieniem?

Podczas gdy Ayyar trwał w bezruchu, ledwie ośmielając się oddychać, przeciwnik najwyraźniej nie miał zamiaru odejść. Zdawało się, że Amper gra w kotka i myszkę z Ayyarem, że fałszywy Ift doskonale zdaje sobie sprawę z jego obecności i tylko czeka, aż ofiara nie wytrzyma napięcia i sama się ujawni. Cały czas nie odwrócił głowy i nie spojrzał wprost na Ayyara.

Gdy wreszcie Amper, owinąwszy się ciasniej peleryną, rzucił się biegiem przed siebie, Ayyar nie mógł z początku uwierzyć, że uszedł z życiem. Nadal czekał, czujnie nasłuchując, analizując zapachy niesione przez wiatr — czy aby gdzieś w pobliżu nie czai się następny potwór. Nie mógł pozwolić, aby niecierpliwość wzięła górę nad rozważą, chociaż niczego bardziej nie pragnął niż zwiększyć dystans między sobą a repliką swego dawnego towarzysza.

Poznał właśnie następny sekret Nienazwanego — otóż fałszywi Iftowie musieli być lustrzanymi kopiami tych, którzy ongiś przemierzali Iftcan. Przywołane spoza życia niktzemne cienie kochanych i szanowanych przyjaciół, którzy tak jak on niegdyś żyli i oddychali. Wyglądało na to, że Iftowie nie znikli bez śladu z powierzchni Janusa. Powrócili — jedni w postaci nowych Iftów, a inni bezdusznych kreatur Nienazwanego.

Ayyar wyczołgał się ze swej kryjówki w zaroślach. Zatrzymał się na chwilę, aby zrobić sobie nową laskę z gałęzi odartej z liści. Nadchodził dzień i słońce zaczynało rozjaśniać

wszystko dookoła, ale nie odważył się czekać, aż znów zapadnie noc. Fałszywi Iftowie i inne stworzenia wędrujące Pustkowiec nie były uzależnione od ciemności. Czas nagle i Ayyar nie zniósłby myśli, że cokolwiek mogłoby go opóźnić w drodze.

Utykając posuwał się naprzód, co jakiś czas odpoczywając w bezpiecznym miejscu. Na razie ich nie brakowało — wyżłobione rowy, skalne wypiętrzenia, krzaki czy inna roślinność, która zresztą nieraz wyglądała tak odstręczająco obco, iż starał się unikać jakiegokolwiek z nią kontaktu.

W południe legł w cieniu głazu, żując resztki ziaren, próbując przynieść ulgę wysuszonym i spękany ustom. Z trudem udawało mu się nie myśleć o wodzie. Prześladowały go wspomnienia chłodnych sadzawek w Lesie, bystro rwących rzek i strumieni. Wzmógł się wiatr, a w jego zapachu dawało się wyczuć morską sól. Zapewne zbliżał się do celu, ale i tak nie miał pojęcia, gdzie na nie kończącym się brzegu znajdzie pozostałych.

Słońce paliło się teraz zbyt mocno i zmuszony był pozostać w cieniu. Nie znajdował jednak ucieczki od własnych natrętnych myśli.

Amper... ilu spośród tych, których Ayyar kiedyś znał, lubił, kochał, stało się narzędziami lub bronią Nienazwanego? Tamta sala wypełniona lustrami przedstawiającymi obcych, których nigdy nie widział na Janusie — kim byli?

Czy żyli tu kiedyś jako obca rasa? A Larshowie — starsi przecież od Iftów, czyżby stali się ludźmi, takimi jak ci przybyli spoza planety? Ile lat miało Nienazwane? Czy w ogóle można byłoby przypisać mu wiek, w kategoriach ludzkiego rozumu? Czy pochłonęło i trzymało w niewoli całe narody? Tyle pytań bez odpowiedzi...

Owionęła go morska bryza — obietnica wyzwolenia od ohydny zapachu Pustkowiec i stworzeń na nim grasujących. Wprawdzie nie było to słodkie powietrze Lasu, ale dawni Iftowie znali i lubili morze. Co znajduje się za tą płytką odnogą oceanu, w której kierunku teraz zmierzał? Z nadejściem zimy nowi Iftowie wycofywali się aż za wielką wodę, a potem z wiosną garstka ich przyplływała po następnych przemienionych. Był to jedyny sposób, jaki znali, na odrodzenie prastarej rasy, a proces ten niestety postępował bardzo wolno. Gdyby jednak powiodło się przywrócenie do życia tych, którzy zostali pojmani i zamienieni w lustrzane wizerunki, to odrodzenie nabrałoby szybszego tempa. Niestety, nikt dotąd nie zdołał wyrwać Nienazwanemu jego ofiary. Ayyar niecierpliwie się ogromnie przeczekał popołudnie, a gdy cienie poczęły się wydłużać i gęstnieć, wyruszył z wiatrem w twarz jako obietnicą bliskiego celu. Coraz częściej pojawiały się łachy piasku, aż wreszcie ujrzał przed sobą wydmy. Z poprzedniej bytności na wybrzeżu zapamiętał zatokę, w której dojrzał oddalający się statek współbraci. Przybył wówczas zbyt późno, i dlatego musiał zimować po tej stronie wody. Nie wiedział, gdzie jej teraz szukać — na prawo, czy na lewo?

Im bliżej było do morza, tym zimniejszy wiał wiatr. Owinął się ciasno peleryną i szedł dalej chroniąc się jak mógł od zimna. Ciasnym przesmykiem między dwoma wydmami przedostał się na plażę. Na przekór pięknemu zachodowi słońca, niebo ponad przetaczającymi się falami było posępnie ciemne. Po raz pierwszy od swej przemiany Ayyar poczuł, że mógłby woleć światło od ciemności. Niebo i mroczny, ołowianej barwy ocean tchnęły uczuciem osamotnienia i niosły przecucie zagrożenia.

Fale znaczyły misternym wzorem piasek, krzyżując się z płataniną śladów wymytych przez dawno minione sztormy. Ponad jego głową jakieś latające stworzenia wzbijały się w niebo i pikowały w dół z okrzykiem pełnym nieopisanego smutku. Coś długiego, pokrytego łuskami wypełzło z wysiłkiem ze spienionej wody między skałami, legło wyczerpane na mokrym piasku i nagle rzuciło się z zaskakującą szybkością ku kryjówe. Nie potrafił go zidentyfikować; Ayyar z Ky–Kyc był leśnym łowcą, a nie mieszkańcem wybrzeża oceanu.

Nie zamierzał posuwać się środkiem plaży, gdyż na płaskiej otwartej przestrzeni czuł się nagi, wystawiony na niebezpieczeństwo. Skradał się pomiędzy wydmami na wschód,

wypatrując w oddali zatoki. Zbliżał się do tajemniczego cienia — powoli, utykając, z laską co chwila obsuwającą się w sypkim piachu.

Wyrosłe przed nim skalne ściany wbijały się w plażę jak wyciągnięte ramiona, których ręce omywane były oceanicznymi falami. Z ich poszarpanych szczytów dobiegł go gwizd w niczym nie przypominający głosu ptaka.

Na znajomy dźwięk świadczący o obecności współplemieńców, zabrakło mu determinacji, by iść dalej. Siły opuściły go ostatecznie, zachwiał się i oparł ciężko na lasce, swym ciężarem wbijając ją tak głęboko w sypki piach, że stracił równowagę i runął do przodu. Leżał tak, jak ryba wyrzucona na brzeg, niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek wysiłku.

Gwizd zabrzmiał ponownie; tym razem z innej strony. Ayyar był tak wyczerpany, że nie potrafił nawet ucieszyć się z ich nadejścia — leżał biernie i czekał.

Pierwszy nadbiegł Lokatath, potem Jarvas, a za nimi jakiś nieznajomy Ift. Lokatath uniósł głowę Ayyara, a Mistrz Zwierciadła ukląkł, aby przyjrzeć się jego nodze. A więc bracia zza oceanu przybyli — przed czasem i wprost w zamęt wojny.

Ayyar pragnął wyrzucić z siebie wszystko, co wiedział: Illylle... zablokowane przejście do Nienazwanego... strzępy wiedzy, które posiadał z takim poświęceniem w podziemiach. Teraz jednak, gdy nadszedł czas, aby przemówić, wyschnięte usta i spękane wargi nie były w stanie wydać ani słowa.

Przeprowadzili go wokół urwiska na pół niosąc, na pół podtrzymując odmawiające posłuszeństwa ciało. Tam ujrzał, że w zatoce unosił się na wodzie potężny pień, dorównujący rozmiarami Wielkim Koronom. Zdawał się rzucony na pastwę wiatru i fal, lecz w rzeczywistości był statkiem Iftów. Gdy wreszcie dotarli do brzegu, usadowili go bezpiecznie w małej szalupie i powiosłowali do otworu w ogromnej kłodzie. Musieli wciągnąć go na górę, gdyż sam nie był w stanie się wspiąć.

Próbował coś wyszeptać, lecz nie zatrzymali się, by go wysłuchać. Wydrążonym w drewnie korytarzem zanieśli go do kabiny do złudzenia przypominającej komnatę Iftsigi. Poczucie bezpieczeństwa otuliło go jak peleryna i pomyślał, że tu nie straszne wydałyby mu się nawet najzimniejsze sztormowe wiatry. Gdy położyli go na koi, wydał głębokie westchnienie ulgi.

A wtedy, kiedy Kelemark nachylił się nad nim, nastał czas kojącej ciemności, dawno oczekiwanej, pozwalającej odsunąć na bok myśli...

Illylle? W ową ciepłą ciemność wdarło się to imię. Ayyar poruszył się gwałtownie, niechętnie przyjmując do wiadomości konieczność udzielenia odpowiedzi. Poczul słodki, ciepły płyn, który zwilżył mu wyschnięte usta, uleczył obolałe gardło. Zupełnie jakby zakosztował znów soków Iftsigi, poczul rozchodzącą się w całym ciele energię i przyplływ sił.

— Co z Illylle?

Otworzył oczy. Jarvas stojący opodal wpatrywał się weń, jakby mógł wyczytać odpowiedź na swe pytania wprost z jego myśli.

— Śpi w kryjówce... nie potrafiłem jej obudzić — odpowiedział. — To było tak...

Najtrudniej było zacząć, potem słowa same płynęły z jego ust. Opowiedział im obrazowo o podróży od Zwierciadła przez Pustkowie, o odnalezieniu prawdziwego lasu na terytorium wroga i o tym, jak się tam schronili. Opisał, jak Illylle przekazała mu całą moc uprzednio otrzymaną od Thanth oraz jak odbył podróż w skafandrze kosmicznym, wreszcie o tym, co odkrył w podziemiach.

Był świadom faktu, że za plecami Jarvasa gromadzą się inni, by słuchać jego opowieści. Nie zwracał jednak na nich uwagi, gdyż dla niego to Mistrz Zwierciadła był przywódcą.

Kiedy opisał wizerunki w lustrach i powiedział, do czego służą, fałszywą Wielką Koronę w złym lesie i zgromadzonych pod jej korzeniami — usłyszał przyspieszone oddechy. Wtedy po raz pierwszy mu przerwano. Stojący za Jarvasem Ift odezwał się autorytatywnym tonem:

— Opowiedz raz jeszcze o Larshach...

Ayyar niecierpliwił się, pragnąc zakończyć opowieść, lecz wykonał polecenie i powtórzył opis milczącego szeregu, który zaczynał się na półzwierzęcym Larshu, a kończył na całkowicie ludzkiej istocie odzianej w skafander kosmiczny.

— I powiadasz, że stali oni w odwrotnej kolejności niż szereg Iftów, pierwszy Larsh, ostatni prawdziwy człowiek, a Ift z ostatnich dni znajdował się naprzeciw Larsha?

Ayyar przytaknął. Jarvas odwrócił głowę i zapytał stojącego za nim:

— Myślisz, że to ma znaczenie, Olyron?

— Być może. Co widziałeś dalej?

Kontynuował, mówiąc o sali pełnej maszyn, o tym, jak jego miecz otworzył niższe przejście, o sali — magazynie luster. Ponownie usłyszał przyspieszone oddechy słuchaczy.

— Czy jesteś pewien, że to, po co cię wysłano, leży poniżej owej blokady?

Ayyar nie wątpił w to; szczegółowo opisał masę stopionego metalu, a następnie swą walkę z fałszywym Iftem, przemarsz osadniczek z dziećmi, swój powrót do Illylle i na koniec spotkanie z Amperem na Pustkowi. Kiedy o tym mówił wszyscy podskoczyli, jakby wsadził kij w mrowisko. Gdy opowieść dobiegła końca, ponownie opanowała go słabość. Kelemark musiał to zauważyć, gdyż ofiarował mu natychmiast drewniany kubek zawierający słodki wiosenny sok drzewa, który rozjaśnił umysł i usunął zmęczenie.

— A więc... — Część zgromadzonych rozeszła się, lecz Kelemark, Jarvas i ten, którego zwali Olyron, pozostali. To właśnie on przemówił. — A więc wydaje się, że nasza misja nadal pozostaje nie zakończona.

Ton jego był niewesoły i Ayyar doszukał się w nim krytyki, iż oto wybraniec Zwierciadła nie potrafił wykonać zadania. Odpowiedział Olyronowi równie chłodnym spojrzeniem. Jarvas jednak uśmiechnął się ciepło do Ayyara:

— Wiemy teraz znacznie więcej. Przecież nie można spodziewać się wygrania wojny w jednej małej potyczce. Powiedz, Olyronie, który z tu zgromadzonych mógłby mieć w swej drugiej pamięci jakiś sposób na usunięcie owej przeszkody na drodze do Nienazwanego?

Ayyar usiadł i ostrożnie zaczął poruszać zranioną nogą. Choć zdawała się sztywna, to prawie już nie bolała, a na ranie utworzył się strup, więc nie potrzebował opatrunku.

— Użycie pamięci człowieka przybyłego spoza planety — zwrócił uwagę — oznaczałoby poddanie się władzy Nienazwanego.

— A gdyby tak przekazać wspomnienia następnej osobie — Jarvas nie porzucał rozważań — która użyłaby ich pośrednio, nie wpadając przy tym w pułapkę... Co o tym myślisz Olyronie? Czy byłoby to możliwe?

Ift potwierdził:

— Być może. Wszystko to ma tak głębokie i splątane korzenie, że nie sposób się w tym dobrze rozeznąć. Gdybyśmy tylko umieli odczytać znaczenie owego szeregu Larshów... Przewiduję, że miałyby to dla nas zasadnicze znaczenie! Z kolei lustra przedstawiające człowieka, budujące z jego wizerunku robota... albo Ift, którego znałeś niegdyś... Czy oni zdolni są przetrwać, czy tylko lustra, z których powstał? My podążamy za siłą, docierającą do nas przez Zwierciadło, które w rzeczywistości jest ożywioną lustrzaną taflą wody. Od czasu do czasu występuje ono przeciw wrogim siłom i walczy z nimi, podczas gdy odbicia, z którymi mamy do czynienia, biorą przeciwników w niewolę lub ich okrutnie mordują.

Jarvas spojrział na drewniane ściany za ich plecami.

— Tolhron — powiedział z namysłem.

Miejsce smutku i boleści,
I nieskończonego zła.
Uwięzieni na Tolhronie
przez krew i przez kość,
przez zakłęcie zaczerpnięte

z głębokiej studni,
gdzie czai się nicość...

Ayyar zauważył, że Kelemark i Olyron tak samo jak i on nie potrafią nic zrozumieć z tej tajemniczej melorecytacji.

Jarvas zaśmiał się krótko:

— Znów echo wspomnień. Była kiedyś taka baśń dla dzieci o mistrzu czarnej magii, który trzymał jeńców w specjalnie do tego stworzonym miejscu. Nie mogli się oni uwolnić, ponieważ czarownik stworzył podłogę ich więzienia z krwi i kości. Rzucił na nią złe zaklęcie, które sprawiło, że więźniów mogło uwolnić tylko przyniesienie w to miejsce identycznej krwi i kości. Nie mam pojęcia, dlaczego teraz przyszło mi to do głowy.

— Czy w tej historii było jakiegokolwiek powiązanie między Nienazwanym a Tolhronem? — zapytał Kelemark.

— Nie, o ile dobrze pamiętam.

— W większości legend znajdzie się ziarenko prawdy — zauważył Olyron. — Ciekawe, że właśnie teraz słowa te przyszły ci na myśl... Gdybyśmy tylko więcej wiedzieli o Klątwie Kymona! Uważam, że twój pomysł dzielenia się wspomnieniami ma zalety. Czy jesteś pewien, że odnajdziesz właściwy kopiec? — zapytał Ayyara.

— Zapamiętałem go jak mogłem najlepiej. A co z Illylle? — Ayyar zwrócił się do Jarvasa.

— Myślę, że nie będzie kłopotu z przyniesieniem jej tutaj, a następnie przywróceniem do życia i zdrowia. Wyślemy dwa oddziały: jeden na ratunek Illylle, drugi do kopca...

— A dlaczego nie jeden, który zabrałby ją w drodze powrotnej? — wtrącił się Olyron.

— Po prostu dlatego, że ta grupa może nie powrócić! — Ayyar ześlizgnął się z koi i wstał, opierając się ręką o ścianę; nie próbowali mu przeszkadzać.

Olyron podszedł do wyjścia:

— Pójdę prosić o wspomnienia, które mogłyby nam pomóc.

— A, co jeśli ich nie znajdzie? — Ayyar pesymistycznie widział na ich drodze jedynie przeszkody.

— Wtedy będziemy musieli zrobić co się da bez tego... rozpoczął Jarvas — gdy nagle przerwał mu Kelemark:

— Wszelkie narzędzia, jakich moglibyśmy potrzebować, znajdziemy w porcie...

— To nasza druga szansa, bo nie wiem, czy dalibyśmy radę zwalczyć silne uczucie odrazy do ludzi — zauważył Jarvas.

— Illylle poradziła mi natrzeć wewnątrz skafandra liśćmi i mogłem po tym pozostawać w nim jak długo chciałem — powiedział Ayyar.

— Coś przyszło mi na myśl; mamy tu substancje, które mogłyby nam służyć równie dobrze — odpowiedział żywo Kelemark. — Pójdę i pozbieram parę z nich, nigdy dotąd nie spróbowaliśmy tego sposobu.

I on również wyszedł.

Jarvas patrzył wprost przez siebie, jakby Ayyar stał się nagle niewidzialny. Czy wspomnienie o Tolhorne mogło mieć głębsze znaczenie? Gdyby nie musieli polegać na tak nędznych strzępach wspomnień z historii Iftów, z pewnością byłiby lepiej przygotowani.

— To jest gdzieś o krok... — Jarvas podniósł dłoń ku górze i powoli poruszał palcami jakby próbując złapać coś niewidzialnego. — Odpowiedź znajduje się na wyciągnięcie ręki, tkwi w czymś, co ty widziałeś, lecz ja nie umiem jej odkryć! Jeżeli to, jeżeli tamto...! Czy już nigdy niczego nie będziemy wiedzieć na pewno?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wszyscy przebywający na statku zebrali się, aby wymienić wspomnienia. Jeden po drugim odpadali kolejni Iftowie, aż wreszcie Olyron przemówił do pozostałych.

— Bracia! Czy nie wydaje się wam dziwne, że praktycznie wszystkie nasze wspomnienia pochodzą jedynie z ery Zielonego lub Szarego Liścia, a nie ma wśród nas nikogo z czasów Błękitnego, będącego złotym wiekiem naszego narodu? Albo że wszystko, co wiemy o Kłątwie Kymona, pochodzi wyłącznie z legend? Oznacza to, że ci, którzy zaplanowali naszą przemianę, korzystali ze wzorców pełnego życia okresu Zielonego Liścia i podupadającego Szarego. Ale dlaczego nie czerpali z czasów naszej minionej potęgi — z ery Błękitnego Liścia? Czy były to dla nich już tak odległe czasy, że nie potrafili przywołać osobowości sprzed wieków, aby ulokować je w pułapkach? A może była jakaś inna ważna przyczyna, sprawiająca, że tamten okres był dlań niedostępny?

— Jakże może to mieć znaczenie? — zapytał jeden z braci.

— Nie wiem, ale z pewnością wiedza o czasach Kymona mogłaby nam wiele wyjaśnić i podpowiedzieć. Trudno wygrać z kompletnie nieznanym przeciwnikiem; prędzej czy później niewiedza obróci się przeciw nam samym.

— Jeśli nawet brak nam informacji o Kymonie — przypomniał im Jarvas — to wiemy co nieco o Jattu Nkoyo.

Skinął na Ifta po swej lewej stronie. Ze wszystkich tam obecnych tylko Jeyken, ongiś znany jako Jattu Nkoyo, technik naprawiający roboty, mógł im pomóc ze względu na swój zawód. On też zachował najlepszą ludzką pamięć spośród tych, którymi dysponowali. Musieli jednak korzystać z niej pośrednio, gdyż inaczej sam Jeyken dopuściwszy do głosu Nkoyo popadłby we władzę Nienazwanego.

— Nie możecie zbyt polegać na tym, co mogę wam ofiarować. — Jeyken rozłożył ramiona jakby w geście odmowy wykonania zadania znacznie przerastającego jego siły. — Tak naprawdę potrzebujemy solidnej wiedzy inżyniera i jego znajomości specjalistycznych narzędzi.

— Ale ponieważ nie spadną one z nieba — sucho zauważył Olyron — zrobimy, co się da, z twoim udziałem. Przekaż Drangarowi co wiesz, krok po kroku sprawdzając obserwacje Ayyara; może coś wyjaśnicie.

— Zastanawia mnie to urządzenie w kształcie kolumny wysyłające promień widywany nad Pustkowiec — wtrącił się Jarvas. — Zbliża się czas przybycia statków kosmicznych z zapasami. Czy przypuszczacie, że ów sygnał mógłby sprowadzić któryś z nich na Pustkowiec? Te poruszające się samodzielnie skafandry muszą pochodzić właśnie ze statku międzyplanetarnego. Zresztą kiedyś znaleźliśmy tam jeden z nich, starego typu. Równie dobrze mogą tam być i inne.

— A więc, jeśli dobrze zrozumiałem, proponujesz wyprawę na źródło owego światła, nawet jeśliby miałyby to mieć dla nas poważne konsekwencje? — zapytał się Olyron.

— Jeśli Ayyar ma rację i to urządzenie jest obecnie wykorzystywane do sprowadzenia pozostałych osadników na Pustkowiec, to od dawna stanowi ono dla nas zagrożenie — odparł Jarvas. — Uważam, że powinniśmy wysłać tam trzeci oddział.

Olyron rozejrzał się sceptycznie dookoła, powątpiewając, jak Ift bez udziału maszyn i narzędzi miałby sobie poradzić z takim zadaniem. Ayyar był skłonny zgodzić się z nim. Jattu Nkoyo był tylko technikiem naprawiającym zepsute roboty, a do unieszkodliwienia kolumny wysyłającej hipnotyzujący promień czy do utorowania drogi w podziemiach potrzeba znacznie głębszej inżynierskiej wiedzy.

Mimo to raz jeszcze opisał im dokładnie i szczegółowo masę stopionej substancji. Wtedy Jeyken przechylił się do tyłu i popatrzył na Ifta, który miał przejąć całe jego techniczne doświadczenie.

— To wszystko może okazać się niemożliwe do wykonania. Jeśli dysponowałbyś piłą laserową, mógłbyś spróbować nadtopić brzeg wokół korka i oddzielić go w całości od otworu. Lub, jeśli korytarz na niższym poziomie biegnie równolegle, mógłbyś wyciąć fragment podłogi i pozwolić, aby spadł na dół. Jednakże bez piły laserowej... — Potrząsnął głową z powątpiewaniem. — Zdaje się, że powiedziałaś, iż skafandry kosmiczne zachowały pasy z dodatkowym wyposażeniem? — zapytał Ayyara, a kiedy ów przytaknął, kontynuował spekulacje: — Z pewnością nie uda ci się przepalić korka za pomocą samych ręcznych narzędzi, tak jak energia miecza poradziła sobie z drzwiami. Drzwi... — powtórzył z namysłem.

— Co z nimi? — ponaglił go Jarvas, gdy Jeyken zamilkł.

— To miejsce, te podziemia, jak je nazywasz, musiały zostać zbudowane przez astronautów, przybyszy ze świata zewnętrznego. Czyż nie miałeś wrażenia, że wydają ci się znajome?

— Rzeczywiście!

— A ile poziomów minąłeś, wspinając się po drabinie?

— Dwa.

— Czy korytarze na każdym z nich rozchodziły się, tworząc taki sam wzór? I jak daleko od siebie znajdowały się poziomy, o ile szczebli drabiny?

Ayyar zamknął oczy próbując wyobrazić sobie podziemną drabinę. Czy rzeczywiście korytarze na każdym z poziomów rozmieszczono według tego samego planu? Chyba nigdy jeszcze nie wysiłał tak mocno pamięci.

— Myślę, że poziom górny miał podobną ilość korytarzy biegnących w tych samych kierunkach co na dole. Reszty nie jestem pewien. Było... nie, nie potrafię podać liczby szczebli. — Następny brak w sprawozdaniu, i to taki, którego mógł uniknąć. Dlaczegoż nie zwrócił baczniejszej uwagi na takie szczegóły?

— W takim razie opowiadałbym się za przebicciem się na dół z jednego z korytarzy.

— Przez metalową okładzinę i skałę? Jak, ryjąc w niej paznokciami? — Drangar prychnął pogardliwie. — W swoim czasie orałem pola, ale to była miękka ziemia, no i oczywiście miałem pług...

Jeyken nie odpowiedział mu bezpośrednio. Położył dłonie na pobieżnym szkicu wykonanym przez Ayyara, a przedstawiającym korytarze i drabiny — tak jak je zapamiętał.

— Słaby punkt znajduje się tutaj — wskazał na drzwi do korytarza. — Jeśli jest to typowy projekt statku kosmicznego, to drzwi na wszystkich poziomach zostały osadzone na wspólnej pionowej kolumnie, jedne nad drugimi. A gdzieś w pobliżu musi być w ścianie przejście, umożliwiające dostęp ekipom naprawczym do zablokowanych systemów. Na statkach kosmicznych jest w powszechnym użyciu robot naprawczy do prac wewnątrz i w otwartej przestrzeni. Różnorodność jego zadań spowodowała, że jest on masywny i wszechstronnie wyposażony, a więc potrzebuje dużo miejsca do manewrów. Jeśli on mieści się w kanale naprawczym, to człowiek zmieści się tym bardziej.

Po chwili ciągnął dalej:

— Wypalcie zamek, o, w tym miejscu, tak jak Ayyar spalił drzwi. To da wam dostęp do któregoś z kontrolnych kabli biegnących w szybie. Oto wasza droga do niższego, niedostępnego poziomu.

— Ciągłe tylko jeżeli i jeżeli — powiedział Jarvas. — Wszystko to opiera się na założeniu, że podziemia zbudowano na wzór statku kosmicznego.

— Nie mamy dostępu do dużej piły laserowej, bracia — odparł Jeyken. — Nie widzę więc innego sposobu.

— Z energii miecza nic już nie zostało — zauważył Ayyar.

— A wice musimy pojmać skafander i zabrać mu blaster — odrzekł Jarvas. — Jeśli nastawisz go na najwyższy stopień, to tnie wszystko co zechcesz. Drangar, oto za czym masz się rozglądać... — Przeszedł do szczegółowego opisu wejścia do kanału naprawczego oraz tego, co zazwyczaj znajdowało się w środku.

Ayyar osunął się na ławę i wbił wzrok w swe dłonie bezwładnie spoczywające na stole. Nie wierzył, aby zdołali wiele osiągnąć za pomocą planów tak dalece opartych na przypuszczeniach i szczęściu. Już lepiej uznać swoją porażkę, uratować Illylle, przeprowadzić się za morze pozostawiając po tej stronie zniszczony Las, Pustkowie i ludzi na pastwę Nienazwanego.

— Nie potrafimy... nie damy rady... Podniósł oczy i napotkał wzrok Jaryasa.

— Pomyśl, czy rzeczywiście jesteś w stanie odsunąć od siebie myśl, że oto cały zasiew na nic, że nasze powoli odradzające się plemię — teraz ledwie mizerna garstka — nie ujrzy następnej wiosny?

Ayyar czuł w sobie jakieś pęknięcie. Sok drzewa wprawdzie pobudził i wzmocnił jego ciało, ale umysł pozostawił w stanie skrajnego wyczerpania. Wiedział teraz, że Jarvas miał rację; musiała zostać im zaszczepiona potrzeba ocalenia własnego plemienia, zastawiania pułapek i kreowania w ten sposób nowych Iftów. Nie wolno było chować głowy w piasek i udawać, że ludzie, których widział idących w upiornych pochodach, sami potrafią wyrwać się spod wpływu Nienazwanego.

To mogło oznaczać koniec nowego zasiewu, ale lepiej już zginąć w bitwie z Nienazwanym, jak przystało wojownikowi, niż zgodzić się milcząco na powolny zmierzch rasy, a może i na niewolę.

Zerwał się na równe nogi. Opuszczając Zwierciadło wraz z Illylle miał głębokie przekonanie o celowości swoich działań, czuł wielką ufność we własne siły — teraz uczucia te odpłynęły, pozostawiając zaledwie nikłe zaciekawienie — jak też się to wszystko skończy.

— A Illylle?

— Kelemark i Lokatath przyniosą ją tutaj, jak ją odnajdą.

Czekali teraz na nadejście nocy. Dwa oddziały już opuściły zatokę, w której statek— drzewo szykował się do powrotu za wielką wodę, gdy tylko trzecia grupka zejdzie na ląd i ukryje się. Jeden z oddziałów miał za zadanie udać się w górę rzeki i spróbować zrobić coś ze źródłem wysyłającym hipnotyzujący promień. Jeśli w ogóle ktoś z nich wierzy, że jest to wykonalne — pomyślał Ayyar, obserwując, jak znikają między wydmami.

Drugi, większy oddział mający jego za przewodnika, skierował się wprost do siedziby nieprzyjaciela. Szedł nieco sztywnym krokiem ze względu na ledwie zagojoną ranę, ale na szczęście bez tamtego nieznośnego bólu. Każdy z nich niósł przytroczone do pasa butelkę z oleistym, korzennie pachnącym eliksirem, który według Kelemarka i kilku innych Iftów miał pomóc im przetrwać odrazę przed dotknięciem ludzkich narządzi.

Bez wątplenia szło im się znacznie lepiej niż Ayyarowi w drodze powrotnej. Rączo pomykali przed siebie, niestrudzenie nad słuchując, węsząc i rozglądając się za nieprzyjacielem. Zdawało się jednak, że słudzy Nienazwanego nie patrolowali tak daleko na południe. A może tylko nie natknęli się na ich ślady.

— Nienazwane nie zwraca na nas uwagi — wypowiedział głośno swoje myśli Ayyar, gdy przystanęli na chwilę, aby napić się soku i zjeść oszczędnie rozdzielone sprasowane orzechowe wafle.

— Na to wygląda — przytaknął Jarvas, i dodał: — albo Nienazwane jest zajęte czymś innym, a nas uważa za mizernego przeciwnika, którego z łatwością zdoła zmiażdżyć w jednej chwili, gdy tylko upora się z poważniejszymi zadaniami.

— Ale przecież cała ta wojna rozpoczęła się od najazdu na Las! — zdumiał się Ayyar.

Czyżby Jarvas miał rację twierdząc, że Nienazwane poniechało rozprawy z pozostałościami Iftcanu dla bardziej naglących spraw?

— Przypuśćmy, że dokończenie zniszczenia umierającego Lasu nie jest już teraz takie ważne — kontynuował Jarvas. — Przypuśćmy, że Nienazwane odkryło, że osadnicy i mieszkańcy portu użyci przeciw nam, stali się tak doskonałymi sługami, że może Ono zapomnieć o Iftach i wykorzystać ludzi do realizacji jakiegoś tajemniczego planu. Przypuśćmy, że Larshowie zawiedli jako pomocnicy, a więc Nienazwane zapadło w długi sen, oczekując przybycia kogoś odpowiedniejszego...

— Ale przecież Nienazwane jest prastarym wrogiem Iftcanu i Iftów! — zaprotestował Drangar, jakby niemiły był mu pomysł, iż byli oni ledwie pyłkami, które można niefrasobliwie zdmuchnąć, aby oczyścić miejsce potrzebne do realizacji jakiegoś innego planu.

— Owszem, dla Iftów Nienazwane jest ich wielkim Wrogiem. Jak wiemy, utrzymywaliśmy Je pod kontrolą przez całe pokolenia, aż pokonało nas na naszej własnej ziemi przy pomocy Larshów. Być może jednak Nienazwane ma jakiś inny cel przed sobą i nasze długie zmagania zaledwie opóźniły jego osiągnięcie, a dopiero teraz odkryło medium, za pomocą którego ma zamiar dopiąć swego.

— Przecież osadnicy, załoga portu są tu już od wielu lat. Dlaczego miałyby czekać tak długo, gdyby chciało ich użyć?

Jarvas wzruszył ramionami.

— Możliwe, że po prostu nie było świadome ich istnienia, dopóki Iftowie nie zakłócili Jego spoczynku. Wtedy, pod wpływem starych wspomnień, raz jeszcze postanowiło nas zniszczyć. Być może nie wie nawet, że jest nas tak niewielu! Poszukując sług na miejsce Larshów, odkryło istnienie ludzi i teraz eksperymentuje z nimi. Myślę, że fałszywi Iftowie byli tylko nie całkiem udanym prototypem wykonawcy poleceń Nienazwanego. Pamiętacie tę kobietę-robotę, której użyło do otwarcia wrót osady? Teraz potrzebuje więcej surowego materiału do dalszych doświadczeń, a więc zwabia ludzi do siebie i formuje ich w zależności od swoich potrzeb...

— I zapewne będąc wielce zaabsorbowane wyzwaniem stojącym przed Jego wiedzą, nie skupia uwagi na nas? — zauważył Kelemark. — To rzeczywiście kuszące wyjaśnienie, lecz nie polegałbym zbyt na nim.

— Spójrzcie! — Rizak wskazał na północny wschód. Pojawił się tam promień, tym razem celował jednak nie w osady, lecz w port.

— Wciąż zbierają żniwo — odezwał się przyciszonym głosem Jarvas. — Najpierw z osad, teraz z portu, a może i z tamtego statku...

Obserwującego promień Ayyara zdumiała ich własna buńczuczność, wiara w to, że są w stanie zniszczyć choćby pomniejsze dzieło Wroga. Nie potrafił uwierzyć w powodzenie oddziału, który zobowiązał się tego dokonać.

Ruszyli truchtem, raz po raz rzucając spojrzenia na promień w oddali, który świecił niezmiennie w stronę portu. Żadne inne znaki nie świadczyły o tym, że Nienazwane przebudziło się i czuwa.

Zdawało się, że Pustkowie jest opuszczone. O wschodzie ujrzeni, jak światło odbija się od ruin Białego Lasu. Ayyar odszukał jeden po drugim znaki orientacyjne terenu. Zielona dolina z pewnością znajdowała się niedaleko.

— Najpierw sprawdźmy teren. — Ayyar zrównał się z Jarvasem. — Tak sobie myślę, że jeśliby Nienazwane naprawdę szukało prawdziwych Iftów na swojej ziemi, to mogłoby zastawić na nas pułapkę w dolinie.

— Tak, to prawda — zgodził się Jarvas. — Wejść tam od północy, a reszta niech porusza się z największą ostrożnością.

Było ich pięciu. Z ich pierwotnego składu pozostali Kelemark, z zawiniątkiem zawierającym leki, wypychającym pelerynę na biodrze, Lokatath i Rizak. Inni ochotnicy, Drangar i Myrik przybyli zza wielkiej wody. Teraz zaś wszyscy wykorzystując cienie i nierówności gruntu znikli, jakby zapadli się pod ziemię.

Ayyar ruszył do przodu, mając zamiar dotrzeć do doliny nie od strony drogi, lecz od południa. Nie był w stanie posuwać się pozostając cały czas niewidocznym, gdyż przede wszystkim musiał unikać pogruchootanych kikutów kryształu. Polegał na swoim nosie i jak dotychczas nie wyczuł zapachu fałszywych Iftów ani innych sług Nienazwanego. W plecy wiał mu lekki poranny wietrzyk, który chwilami wzbudzał dziwne dźwięki na iglicach z kryształu, a nieprzyjaciele mogli znajdować się przed nim.

Brzeg tej strony doliny był tak wysoki, że Ayyar nie widział zza niego tak wytęsknionych, pokrytych liśćmi gałęzi. Doszedłszy na krawędź stromego stoku, stanął na samym brzegu i zaczął przeszukiwać dolinę baczynym okiem. Mimo wielkiej podejrzliwości nie dopatrzył się żadnych oznak niebezpieczeństwa. Znalazł dogodne miejsce do zejścia; przez tych parę chwil będzie musiał zaryzykować, że zostanie odkryty.

Zeskoczył i wylądował prawie po kolana w zielonej roślinności. Ostry ból przeszył jego udo. Przed sobą miał zarośla, więc uznał, że znalazł się blisko znanego mu strumienia z małym stawem. Uniósł oczy i spojrzął w kierunku, z którego miał nadejść Jarvas. Zobaczył kiwającą doń rękę i odpowiedział na ten znak.

Wkroczył pod baldachim drzew. Okrążył właśnie jeden z pni, gdy nagle stanął jak wryty na widok kolein w zmiażdżonej i połamanej roślinności. Ktokolwiek przeszedł tędy, z całą pewnością nie liczył się z przeszkodami mniejszymi niż drzewo i torował sobie drogę na przelaj. Ayyar nie musiał oglądać śladów zagłębionych w mchu, by wiedzieć, kto dokonał tych zniszczeń.

To jeden ze skafandrów, zapewne człekokształtny, sądząc z pozostawionych wyraźnych odcisków stóp, wrył tę ścieżkę, maszerując jakiś czas temu w dół doliny, a następnie z powrotem. Zdradziły go ślady — rośliny, które nie uległy pełnemu zmiażdżeniu, powoli się podnosiły.

Ze ściśniętym sercem, na myśl o tym, co ujrzy, Ayyar rzucił się biegiem, podążając za śladami w kierunku wąskiego krańca doliny. Kamienie, tak pieczołowicie przezeń ułożone, leżały porozrzucane bezładnie dookoła, a nisza, w której pozostawił uśpioną Illylle, była pusta.

Ayyar stał, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. To wszystko jego wina! Gdyby nie pozostawił jej... Na pewno znalazłby jakiś sposób, aby zabrać ją ze sobą. Ale nie, on odszedł, pozostawiając ją na pastwę sług Nienazwanego, którzy pojмали ją, bezbronną i uprowadzili. Jeżeli jeszcze żyje...

— Czy tutaj ją zostawiłeś? — To Jarvas dołączył do niego.

Ayyar skinął głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Ile czasu upłynęło, odkąd ją zabrano? Może gdyby opuścili zatokę przed zapadnięciem nocy, zdążyliby na czas...

Jarvas zacisnął dłoń na jego ramieniu, zatrzymując go w miejscu, tam, gdzie ziemia była zryta przez ciężkie stopy skafandra.

— Uspokój się! — Rozkaz, został wypowiedziany tak ostrym tonem, że dotarł do Ayyara przez zamęt panujący w jego głowie. — Co się stało, to się nie odstanie. — Jarvas mówił stanowczo i z naciskiem, powoli oddzielając wyrazy. — Wyruszmy stąd...

— Do luster w podziemiach. — Ayyar, mając w pamięci co tam widział, wykręcał się, próbując wyrwać się z uchwytu Jarvasa.

— Być może. Pomyśl, cóż dobrego przyjdzie nam lub jej z tego, że rzucisz się na oślep, nie zastanowiwszy się najpierw, co chcesz zrobić? Nie wierzę, aby mogli oni zrobić z nią cokolwiek, gdy leży pogrążona w takim śnie.

Ayyar zwrócił się do niego twarzą:

— A co ty w ogóle o tym wiesz!

— Zapadła w sen, gdy oddała ci to, co uprzednio sama otrzymała od Zwierciadła — odparł cicho Jarvas. — Jeśli nawet nie pamiętam wszystkiego, co wiedział dawny Jarvas, Mistrz Zwierciadła, to dobrze wiem, że kto raz był obdarzony taką mocą i przekazał ją komuś innemu, nadal znajduje się pod opieką Thanth. Pamiętasz, kiedyś widziałeś jego moc w działaniu? Dookoła ciebie, a i poza doliną masz dowody jego potęgi. Natura Nienazwanego jest tajemnicą, podobnie jak natura Thanth. Jednakże my, dzieci Lasu, wiemy, że w chwilach zagrożenia Zwierciadło odpowie na nasze wezwanie...

— Ale ja nie jestem Mistrzem Zwierciadła — odparł napastliwie Ayyar. — I moje wspomnienia zawierają tylko obrazy śmierci, spustoszenia i klęski. A gdzie podziewało się wtedy Thanth?

— Kto to wie? Lecz czy widząc, jak powstaje ono na nasze wezwanie o pomoc, ośmieliłbyś się powiedzieć, że nie byłoby w stanie rzucić wyzwania Nienazwanemu? Czyż mógłbyś zaprzeczyć istnieniu mocy, którą sam niosłeś? Powiadam ci, że są nam przeznaczone drogi, których cel nie został nam objawiony. Jeśli tylko okaże się to możliwe, odbijemy Illylle. Czy chcesz, abym ci to uroczyście przysiągł?

Ayyar zamrugał, ale nie spuścił oczu z Jarvasa. Podtrzymywał w sobie tę wściekłość, czerpiąc z niej siłę, pozwalającą mu zapomnieć o strachu.

— Pozostał świeży ślad i łatwo byłoby...

— Nie możemy sobie teraz na to pozwolić. Potrzebował dłuższej chwili, aby słowa te doń dotarły.

Gdy to nastąpiło, szarpnął się i wyrwał z uchwytu Jarvasa.

— To wy nie możecie! — krzyknął. — Ale ja to zrobię!

— Nie!

I znów zabrzmiało to tak autorytatywnie, że Ayyar zamilkł.

— Najpierw drzwi, potem...

— Nie! — Teraz Ayyar wykrzyczał swój sprzeciw.

— Tak! — Jarvas nie zwracając uwagi na jego odmowę, tym samym rozkazującym tonem osadził go w miejscu.

— Pokaż Drangarowi i reszcie właściwe drzwi, potem pójdziemy po Illylle. Czy wątpisz w moje słowa?

W głosie Jarvasa dało się wyczuć hamowane emocje, i to właśnie ostatecznie zatrzymało Ayyara.

Ostatecznie Jarvas postawił na swoim. Wstało słońce i jego blask uniemożliwił im śledzenie promienia. Tym samym nie mieli pojęcia, czy drugiemu oddziałowi udało się unieszkodliwić jego źródło.

Ayyar z całej duszy wyrwał się naprzód, ale w pełnym świetle dnia nie było to możliwe, ponieważ gogli starczyłoby tylko dla czterech spośród nich. Musieli poczekać na noc lub od pierwszej chwili stanąć na pozycji słabszego.

Próbował rozładować stres stając na warcie na obrzeżu doliny. Pilnie obserwował wygniecioną w roślinności ścieżkę wiodącą przez las. Jednak jego wysiłki pozostały bez nagrody — nie pojawiło się nic. Być może siły Nienazwanego obawiały się dnia tak samo jak Iftowie. Dookoła panowała jednak atmosfera wyczekiwania, napięcie, jakie odczuwa żołnierz wypatrując ataku nieprzyjaciela. Zupełnie jakby właśnie teraz Wróg wysyłał przeciw nim swoje oddziały, porządkując wojska, przesuając do przodu swoje pionki na planszy, którą Ayyar dwukrotnie widział we śnie.

W południe jaskrawy blask tak dał mu się w znaki, że musiał wycofać się do doliny, aby w zielonym cieniu poszukać odpoczynku dla oczu. Nadszedł Lokatath.

— Ayyar, wspominałeś coś o kobietach i dzieciach wywabionych z osad...

Ayyar bezmyślnie przytaknął — to wszystko wydarzyło się tak dawno, już długie godziny upłynęły od chwili, gdy znalazł ślad wiodący przez dolinę do pustej niszy.

— Czy poznałeś, z której byli osady?

Ayyar niecierpliwie wzruszył ramionami. Cóż to za różnica? Osadnicy znaczyli dla niego mniej niż nic. Ongiś był niewolnikiem, potem przemienił się w Ifta, ale jako żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na osadników — ta ich okrutna, surowa religia, posępne spojrzenie na świat, niechęć do wszystkiego wokół. — Nie mam pojęcia...

— Tak właśnie przypuszczałem. — Lokatath wpatrywał się w połamane krzaki przed nimi. — To było wiele lat temu, nawet nie próbowałem zliczyć jak dawno. Czasami przypominam sobie, że nazywałem się ongiś Derek Yessters. Widzę wtedy jak przez mgłę znajome twarze i słyszę znajome głosy. Tamto życie było tak ciężkie i surowe, że wydawało się nam, iż nawet światło słońca i księżyca nas omija. Nikt z nas nie śpiewał tak jak Iftowie sławiący piękno Lasu, nikt nie umiałby zachować się w nim swobodnie, nawet gdybyśmy mogli sami decydować. Nadal jednak ich pamiętam... Jestem ciekaw, jak powiodło się tym, których niegdyś znałem.

— Zostawiłeś kogoś bliskiego? — Jakaś szczególna nuta w głosie tamtego dotarła do świadomości Ayyara. Jego ważne wspomnienia dotyczyły życia poza planetą.

— Ojca, który wysłał mnie do Lasu na spotkanie Zielonej Przemiany, i matkę, która płakała. Pamiętam jej łzy. Teraz zapewne oboje od dawna nie żyją — harówka w osadach nie sprzyja długiemu życiu. Nie wiem nawet, czy rozpoznałbym teraz ich twarze, gdyby stanęli przede mną. Według ich wymagań nie byłem silny i dobrze rozwinięty. To odmienność od mych krewnych przywiodła mnie do pułapki i odcisnęła na mnie piętno Ifta. Prawdą bowiem jest, że tylko tacy podatni na wpływy jak ja ongiś byłem łapią się na przynętę i doświadczają przemiany.

— Słuchajcie! — Ayyar obrócił się raptownie i stanął twarzą w kierunku drogi prowadzącej w górę po stoku w kierunku lśniących, pogruchotanych skorup kryształu. Miał rację; to nie wiatr grał na ostrzach odłamków. Coś nadchodziło drogą.

Wspiął się pospiesznie i wczułgał między ruiny, a Lokatath pospieszył za nim. Obaj znaleźli schronienie w plątaninie powalonych pni i gałęzi.

Z głębi doliny nadchodzili ciężkim, marszowym krokiem ludzie, najzwyczajniejsi ludzie. Nie byli osadnikami, nosili uniformy lub odzież roboczą używaną w porcie. Było ich dziesięciu; stąpali jakby nie znali strachu przed tym co przed lub za nimi, a raczej jakby zaprzętała ich myśl o jakimś ważnym zadaniu do wykonania.

— Czy to roboty? — szeptem zapytał Lokatath.

Ayyar nie był pewien, ale uznał to za bardzo prawdopodobne. Byli uzbrojeni w schowane w kaburach paralizatory i blastery — oto słudzy Nienazwanego wyruszali wykonać jakieś nieznanne polecenie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

— Zapewne Nienazwane obsadza port swymi sługami w celu przejęcia statku kosmicznego — domyślał się Jarvas, kiedy go wezwano, aby zobaczył maszerujący na północny wschód oddział nieprzyjaciela.

— Czy nigdy nie przyszło wam do głowy, że Nienazwane może pochodzić spoza planety? — spytał Rizak. — Przypuśćmy, że przybyło tu z przestrzeni kosmicznej jako wygnaniec, a teraz pragnie wrócić do domu. Może poprzednie próby zagarnięcia statku kosmicznego zakończyły się niepowodzeniem, a teraz zamierza spróbować ponownie?

— To po co mu osadnicy? — zapytał Lokath.

— Jako Jego słudzy na tej planecie... A może chce Ono po prostu unieszkodliwić potencjalnych oponentów? Nie mogę przestać myśleć o tamtych zgromadzonych tysiącach luster z wizerunkami. Może przywiozło je tu ze sobą...?

— A Larshowie? — wtrącił się Drangar. — Dlaczego wówczas użyło ich, a nie tamtych postaci z luster, jeśli były tak łatwo dostępne?

— Mogło potrzebować różnych rodzajów sług do wykonania różnorodnych zadań — przerwał mu Jarvas. — Ale tę myśl warto zapamiętać, Rizak. Iftowie znają i pamiętają tylko Janusa, a i nasze ludzkie wspomnienia nie przyczyniają się do wyjaśnienia natury Nienazwanego. Jeśli rzeczywiście przybyłoby Ono z przestrzeni kosmicznej wieki temu, to podziemia do złudzenia imitujące korytarze statku kosmicznego byłyby jak najbardziej zrozumiałe! Nie rozumiesz? A jeśli było Ono tak bardzo obce Iftom, to mogli oni od samego początku kompletnie nie rozumieć siebie nawzajem, zwłaszcza że Iftowie wcale nie ruszali się z planety i byli tak mocno związani z ziemią jak Wielkie Korony, no i nie pragnęli żadnej odmiany. Ale my potrafimy zrozumieć znacznie więcej, gdyż przybyliśmy tu kiedyś z obcych światów.

— Myślisz, że jesteśmy lepiej przygotowani, aby poradzić sobie z obcym? — zapytał Myrik, drugi z Iftów zza wody, cichy i spokojny współtowarzysz.

— I to także należy przemyśleć raz jeszcze. Dla Iftów Nienazwane z pewnością zawsze było absolutnie obce. Rasa nigdy nie opuszczająca powierzchni swojej planety bardzo łatwo ulega ksenofobii. Możliwe, że obrzydzenie, jakie odczuwamy obecnie do towarzystwa ludzi i do wszystkiego, czego dotknęli, nie zostało nam zaszczerpione przez Zieloną Przemianę w celu utrzymania nas z dala od ludzi. Może to po prostu jest uczucie, jakim Iftowie zawsze obdarzali wszystkich i wszystko, co nie pochodziło z Janusa. Dla nich — a teraz dla nas — obce uosabiało wcieloną zło. Ocena czegokolwiek jest ściśle zależna od przyjętych założeń.

— Przecież Nienazwane jest tu obecne od zawsze — powiedział Myrik — Kymon zetknął się z Nim w epoce Błękitnego Liścia, a od tamtego czasu minęły całe stulecia! Gdyby nasz Wróg był rozbitkiem ocalałym z jakiejś pradawnej katastrofy, nie mógłby żyć aż do dziś.

— Od jak dawna jesteś Iftem? — Jarvas odpowiedział pytaniem na pytanie.

Usta Myrika poruszały się. Ayyar uznał, że tamten liczy.

— Nazywałem się przedtem Rahuld Urswin, zajmowałem się statystyką komputerową na zlecenie Kombinat. Przybyłem tu w roku 4570 i następnego roku przeszedłem Zieloną Przemianę, która dopadła mnie podczas polowania na wyspach południowych.

— Ty zaś — Jarvas zwrócił się z kolei do Ayyara — dołączyłeś do nas jako ostatni. W którym roku wylądowałeś na Janusie?

— W 4635.

— Ja wylądowałem tu w 4450 czy coś koło tego — ciągnął Jarvas. — Czy zestarzeliliśmy się, ja lub ty, Myrik?

Tamten powoli pokręcił głową przecząco.

— A więc możemy przyjąć, że długość życia Ifta jest znacznie dłuższa niż dwieście lat przeznaczonych ludziom. A na przykład tacy Zacathanowie dożywają blisko tysiąca lat. Spośród ras znanych w naszej galaktyce oni żyją najdłużej. Jednakże jaką część galaktyki zdążyliśmy poznać, nawet odbywając najdalsze loty? Mogą tam cały czas istnieć nieznane nam gatunki, dla których życie Zacathana jest krótsze od jednego dnia.

— Cóż więc, jeśli taka istota nie dzieli z innymi gatunkami wspólnego rozumienia czasu? — zaryzykował pytanie Rizak. — Jeżeli pierwsi Iftowie i współcześni przybysze spoza planety są dla Nienazwanego zaledwie zwierzętami?

— To mogłoby pasować do ogólnego obrazu, ale nie dowiemy się prawdy, zanim nie staniemy z Nim oko w oko. Tak się składa, że każdy z nas jest w gruncie rzeczy dwiema osobami; trudno wyobrazić sobie lepszy oręż przeciw temu czemuś za zamkniętymi drzwiami niż nasze wspomnienia z mrocznej przeszłości dawnych Iftów, dodane do doświadczeń człowieka spoza tej planety. Jeśli okaże się, że Nienazwane jest obcym na Janusie, to zaakceptujemy ten fakt i opierając się na nim zbudujemy sposób działania.

Wszystko to mogło być prawdą, ale nie zbliżyło ich ani na krok do Illylle. Ayyar uważnie obserwował oddział ludzi maszerujących w dali. Może to następna grupa wysłana przez Nienazwane? Jak Iftowie mieliby przeciwstawić się bronii, w którą wyposażeni byli tamci?

Odezwał się Rizak:

— Według moich obliczeń czekają nas jeszcze cztery godziny słońca. Musimy czekać, gdyż wędrówka w takim blasku byłaby zbyt trudna i ryzykowna...

Ayyar miał ochotę z całej siły wbić miecz w ziemię przed sobą. Czekać, czekać, ciągle czekać! A może Illylle nie dano czasu oczekiwania? Nie przywiązywał większej wagi do sugestii Jarvasa, że może ona być bezpieczna ze względu na specyficzny sen, w którym jest pogrążona. Skąd mogą być pewni czegośkolwiek na jej temat? Równie dobrze ta sytuacja może ułatwić zmianę jej w lustrzany wizerunek. Jako Ift odczuwał nienawiść i strach przed Nienazwanym i Jego siłą. Jednocześnie prześladowały go wspomnienia z innego życia. Nauka również ma swoje demony i złe duchy. Łatwiej przyszłoby mu zaakceptować Nienazwane takim, jakie widzieli je Iftowie, potężną, przerażającą złą moc, niż jako konkretnego, dotykającego, cielesnego obcego.

Ręka Jarvasa wyrwała go z zamyślenia i wciągnęła w zielony półcień doliny, podczas gdy Rizak przejął po nim wartę. — Opowiedz nam — poprosił starszy Ift — raz jeszcze o podziemnych przejściach.

Powtarzał im to wielokrotnie, więc dlaczego znów? Na pewno znali wszystko to na pamięć. No cóż, jeśli tak być musi... Cierpliwie, krok po kroku, przemierzył w myśli korytarze, opisując dokładnie wszystkie szczegóły, jakie pamiętał. Dwukrotnie Jarvas poprosił, aby się zatrzymał. Raz, gdy opowiadał jak zobaczył ciało oficera z portu umieszczone w kontenerze, i drugi raz dla opisu pomieszczenia pod fałszywym drzewem, gdzie szeregi Iftów i Larshów stały naprzeciw siebie.

— Wydaje się, że ciała wizerunków z luster zostały zachowane — zauważył Myrik. Czyżby oznaczało to, że proces ten mógłby ulec odwróceniu? Jeśli tak, to co dzieje się z tymi, którzy posłużyli za wzory dla fałszywych Iftów? Ayyar rozpoznał w jednym swego towarzysza ostatnich dni, a także dziewczynę w fałszywym lesie. Pamiętał nawet ich imiona.

— Ten szereg Larshów — zamyślił się Jarvas. — Jestem przeświadczony, że w nim ukryty jest klucz do tajemnicy. Gdybyśmy tylko go odkryli, na pewno wszystko by się zmieniło. A co do reszty, czy możemy być pewni czegośkolwiek?

Pozostali zgodzili się z nim. Lecz słońce wciąż stało wysoko, a oni nadal pozostawali więźniami doliny. Czas mijał niemrawo.

Kiedy nareszcie wczesnym wieczorem Jarvas zezwolił na wymarsz, Ayyar zerwał się do biegu rozrytą drogą przez dolinę, ledwie świadom, co robi. Rizak dogonił go i zagroził mu drogę.

— Chcesz skrócić kark, bracie, zanim go skrócisz któremuś z tamtych? Zaczynj wreszcie myśleć i zachowaj siły na to, co na nas czeka.

Jakoś udało mu się przełknąć to napomnienie. Wreszcie dotarli do doliny kopców. Ayyar wypatrywał choćby śladu kobiet i dzieci. Nie było tu nikogo, nic się nie poruszało — nawet maszyny bez kierowców. Mimo to zachowywali największą ostrożność przemykając obok szeregu pryzm ziemi. Kelemark zatrzymał się obok jednej z nich, zdrapał odrobinę kwaśno pachnącej ziemi, roztarł między palcami i powąchał. Potem ze wstrętem wytarł palce w piasek.

— To nie pochodzi z Janusa — powiedział — a jeżeli nawet, to zostało w jakiś sposób zmienione.

Mówił z dużą pewnością siebie. Jako że był kiedyś pracownikiem służb medycznych w porcie, on pierwszy wyprawił się do Lasu Iftcanu w poszukiwaniu miejscowych ziół do eksperymentów. Połączone osobowości Ifta i człowieka dały w jego przypadku uzdrowiciela.

Drangar rozejrzał się dookoła z dreszczem odrazy i otulił szczelnie peleryną:

— Całe Pustkowie zmieniło się po przyjsciu Nienazwanego. Wszystko tu zostało skalane.

Ayyar z całą determinacją, na jaką go było stać, minął kopiec, który poprzednio otworzył się dla niego i umożliwił mu wejście do podziemi. Wskazał tylko towarzyszom miejsce, w którym znalazł windę. Coś całkiem niedawno poryło i podeptało piasek, lecz jego pylista struktura nie pozwalała na dokładne odczytanie śladów. Jasne jednak było, że ostatnio odbywał się tędy wzmożony ruch.

Doszli do kopca wskazanego przez Ayyara i wspięli się na jego szczyt. Odkopali ziemię narzuconą przez Ayyara w celu ukrycia wejścia. Następnie odkryli właz i zaczęli schodzić po drabinie na pierwszy poziom. Myrik na chwilę oddalił się, aby zbadać inne otwory, i po chwili wrócił.

— Żużel, i to mocno zapieczony, na pewno nie zwykłym blasterem!

Korytarze drugiego poziomu ciągnęły się nieco dalej, ale kończyły się niespodziewanie taką samą masą stopionej substancji. Doszli na koniec do miejsca, gdzie spiek niezwykle mocno przywarł do drabiny i szybu, całkowicie uniemożliwiając przejście. Myrik ukląkł i dotknął zakrzepłej masy.

— Ta sama robota co powyżej — stwierdził. — I wykonana bardzo dawno, jak mi się wydaje. Ciekawe, dlaczego nie zamknęli również górnego wylotu.

— Któż zrozumie, czym kieruje się Nienazwane? — powiedział Drangar. On również przykląkł. — Nic tego nie ruszy. Potrzebowałbyś ładunku wybuchowego zdolnego powalić jedną z Wielkich Koron.

Rizak odrzucił pelerynę do tyłu i położył dłonie na biodrach.

— A co z tymi drzwiami do kanału naprawczego o których mówił Jeyken?

Ayyar wskazał im korytarz, prowadzący do sali, w której zgromadzono ogromne ilości luster; Drangar, Myrik i Rizak zaczęli jej szukać. On tymczasem niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, wrywając się na poszukiwanie Illylle.

— To musi być tu! — Drangar przycisnąwszy ręce do ściany wyczuł prostokątny otwór. — Ayyar, czy moc powróciła do twojego miecza?

Zapytany wyciągnął miecz, ale z jego czubka nie spłynęła ani jedna iskra.

— Nie — odparł.

— W takim razie spróbujmy czegoś innego. Zabierze to nam mnóstwo czasu, o ile w ogóle się uda.

Drangar wyjął zza pasa zrolowany kawał miękkiej kory.

Położył go na podłodze i rozwinął, po czym wyjął z niego małe narzędzia wykonane z tego samego metalu co miecze Iftów, przeznaczone do pracy w drewnie. Ale czy przydadzą się do metalu?

— Dajcie z siebie wszystko — zwrócił się Jarvas do Kelemarka i Lokatatha. — Ruszamy?

Odpowiedź była natychmiastowa. Ayyar poprowadził ich drabiną na górę. Zapadł już zmrok gdy wychynęli na szczyt kopca. Lokatath uniósł głowę i węszył jak pies.

— Powąchajcie!

Poculi odrażający zapach fałszywych Iftów. Był na tyle mocny, by domyślić się, że Wróg jest blisko.

— Tam!

Jakiś cień przemykał między kopcami. Lecz nie był on jedyny — jeśli nie myliło ich powonienie, inni musieli znajdować się jeszcze bliżej. Ayyar badawczo przyglądał się stokom kopca.

Lokatath, który podzielał jego podejrzenie, udał się na rekonesans w korytarz biegnący w przeciwnym kierunku. Reszta w tym czasie odpoczywała, wypatrując ewentualnych napastników.

Jest! Ayyar dojrzał jakąś sylwetkę rozplaszczoną na bocznej ścianie kopca, unikającą kontaktu wzrokowego z nimi. Stwór znajdował się mniej więcej na trzech czwartych wysokości od podstawy kopca i nie miał łuku. Trzeba będzie polegać na mieczu. Przypomniawsobie, że dotąd napotykanne przez nich roboty były uzbrojone w broń nowszej generacji.

Sylwetka na stoku ani drgnęła, zupełnie jakby była świadoma ich obecności. Ayyar odważył się wyrzeć poza pozostałe krawędzie kopca — niedaleko dostrzegł jeszcze jedną.

— Okrążyli nas — szepnął Lokatath — i wspinają się...

— Wycofajmy się do korytarza — cicho rozkazał Jarvas. Ayyar ostatni zszedł drabiną aż na drugi poziom o zamkniętych wyjściach.

— Ilu ich jest?

— Co najmniej sześciu! — odparł Lokatath. — Wątpię, czy więcej. I co zrobimy?

— Jest jeszcze ta druga droga... — Ayyara cały czas nie opuszczała myśl o Illylle i o jego własnej misji. — Z powrotem przez salę z lustrami i imitację lasu... — Położył już stopę na szczeblu drabiny, gdy Kelemark zatrzymał go.

— Pozostali muszą mieć dosyć czasu na pracę...

— Peleryny — zarządził Jarvas. — Zdjąć je! Ayyar mocował się przez chwilę z zapieciami pod szyją, aż wreszcie odrzucił wierzchnie okrycie.

— Ułóżcie je płasko, tutaj. O, tak. — Jarvas rzucił swoją pelerynę opodal drabiny, to samo uczynili Lokatath, Kelemark i Ayyar. Zdjęte okrycia przykryły podłogę wokół drabiny.

— Teraz wszyscy do korytarza!

Plan Jarvasa był wielce tajemniczy, ale Ayyar wykonał go bez namysłu. Korytarz był krótki, stanęli plecami do poszarpanej masy stopionego metalu, twarzą w kierunku drabiny. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Jarvas rzuca na dywan, utworzony przez ich rozpostarte peleryny, garść czegoś, co wyglądało jak zwykle kamyki. Bez trudu odgadł, jaka niespodzianka przywita tych, którzy ich ścigali.

Las był swego czasu domem nie tylko dla Iftów, ale i innej rasy, urodzonej i wychowanej w jego cieniu, wykarmionej tym, co w Lesie żyło. A rosły tam dziwaczne, do niczego nie podobne warzywa, które były nie mniej niebezpieczne niż dzikie zwierzęta przemierzające leśne ostępy. Szare kamyki nie były tym, na co wyglądały, lecz nasionami, których można było użyć jako broni. Czy rzucają się na fałszywych Iftów, tak jak zwykły robić z prawdziwymi?

Jarvas nie spieszył się, aby pobudzić je do życia. Ayyar obserwował go, jak klęczał na jednym kolanie przy drabinie, z przygotowaną butelką soku drzewa w ręce, i nadsluchiwał z uniesioną głową.

Oczekiwanie zawsze jest trudne, tym razem jednak raz po raz oblizywał wyschłe wargi, zmuszał się do pozostania w bezruchu i stawienia czoła rosnącemu napięciu. Przykucnięty, z mieczem w pogotowiu, nadsluchiwał odgłosu butów na drabinie i co chwila zerkał na małe, niewinnie wyglądające kamyki, ledwie widoczne w mroku.

Wreszcie jakiś dźwięk. Ayyar kątem oka zauważył ruch obok. To Jarvas wyjmował zatyczkę z butelki.

Na rozpostarte peleryny padło światło, mniej jaskrawe od promienia z blastera, lecz równie groźne, a za nim pokazała się smużka dymu. Jarvas rzucił butelkę, płyn rozbryzgnął się po wyglądających na kamyki nasionach. Nastąpiła chwila trwoźnego oczekiwania, potem pyknięcie, które wydało się głośne pośród panującej dookoła ciszy, a z wyblakłych pod wpływem soku plam uniosła się para.

Nasiona pękły pod wpływem skręcającej się zawartości, a wężopodobne obiekty rozprysnęły się bezładnie dookoła, po chwili jednak przywarły do drabiny i mocno ją oploty. Sama woda ożywiłaby nasiona, ale sok dwukrotnie przyspieszył ich wzrost i rozwój. Zdawało się, że owe łodygi sięgają w nicość, karmią się pustką. Zrazu nie większe od palca, osiągnęły grubość przegubu Ayyara, wypuszczając coraz więcej pnączy. Z niewiarygodną prędkością wspinały się po szczeblach drabiny jak dzikie wino po pergoli, obrastając ją szczelnie, już prawie zapychając szyb.

Z pędów zaczęło wydobywać się słabe, pomarańczowe światło skierowane ku górze, ujawniając chmurę roztańczonego pyłu. Każdy z Iftów w korytarzu oddał kawał peleryny, aby ochronić swoje ciało. Zgodnie ze swoją naturą drobinki pyłu dążyły pionowo w górę, przyciągane przez świeże powietrze w górnym otworze.

Iftowie nie słyszeli, co się dzieje, gdyż zbili się w ciasną gromadkę pod strzëpami peleryn. Nie mogli być pewni, czy drobiny pyłku zaatakowały fałszywych Iftów, tak jak to zwykle robiły z żywymi organizmami. Jarvas ruszył pierwszy. Ayyar ujrzał jak Kelemark wślizguje się pod swój kawałek peleryny, czołga się do otworu wokół drabiny i schodzi. Reszta czekała cierpliwie, dopóki nie dotarł na dół.

Ayyar ruszył za nim, zeszywniały ze strachu, nie ośmielając się przyspieszyć. Z wielką determinacją wstrzymywał oddech, obawiając się nabrać powietrza w płuca. Pyłki, które by się tam dostały, zapuściłyby korzenie i rozrastały wewnątrz ciała. W końcu dotarł na miejsce i poczekał na Lokatatha i ostatniego ze wszystkich Jarvasa. Kelemark stwierdził: — Z góry nie dochodzi żaden dźwięk. W górze ponad nimi peleryny falowały, zwisały coraz niżej, wzdęte ciężarem tego, co w nich rosło. Udało im się uciec dosłownie w ostatniej chwili.

— Chyba coś pozerają, bo jeśli nie, to przestaną rosnać — mruknął Lokatath z satysfakcją.

— Jednocześnie jednak blokują nam to wyjście — zauważył Jarvas. — Musimy więc poszukać innej drogi.

W górze rozległ się nagle trzask rozdieranej tkaniny i biały, wężowaty korzeń, który zdołał się uwolnić, śmignął jak bicz, z trzaskiem tnąc powietrze. Wijąc się dziko i skręcając skierował się ku górze w poszukiwaniu powietrza, nie obdarzając podziemi najlżejszym zainteresowaniem.

Ayyar odprężył się. Chociaż znał naturę demona, którego uwolnili, to jednak jego dzikość i nieopanowanie wzbudziły w nim obawę, że może on zwrócić się przeciw nim. Tak jak to powiedział Lokatath, roślina musiała znaleźć wystarczającą ilość pożywienia, aby nadać swemu dalszemu rozwojowi należyty impet. Roboty czy nie, fałszywi Iftowie nie dali rady potężnemu chwastowi.

Dotarli na miejsce, gdzie inni rozpracowywali drzwi. W ścianie ział otwór odsłaniający wielką ilość biegnących w nim kabli, na widok których Drangar potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Jak wam idzie? — zapytał Jarvas po krótkim objaśnieniu, co zaszło na wyższym poziomie.

— Sam zobacz... — Drangar wskazał na cztery złamane narzędzia. — Nie mamy nic, czego można by tu użyć.

— Jest miejsce, w którym znajdziemy, co trzeba! — przerwał mu żywo Rizak. — Mam na myśli te wszystkie maszyny zgromadzone pod imitacją drzewa. Między nimi muszą znajdować się narzędzia służące do konserwacji i napraw.

— W każdym razie warto spróbować — przysiadł na piętach Drangar. — Chodźmy więc...

Ayyar cały czas służył za przewodnika, a więc mógł i teraz. Do przejścia przez ten nawiedzony las potrzebował jednak towarzystwa; mógłby z nim pójść Lokatath.

Pośpieszyli korytarzem w kierunku miejsca, gdzie znajdowały się zmagazynowane lustra. Parokrotnie przystawali, aby przetrzeć powierzchnię i przyjrzeć się wizerunkom.

— Ilu ich tu może być? — Kelemark rozejrzał się dookoła. — Setki!

— Cały naród — trzeźwo zauważył Rizak. — Albo i więcej. — Przystanął przy odbiciu futrzanego niehumanoida o wąskim pysku, które odsłonił Ayyar będąc tu uprzednio. — Cóż to było? Jakiś nieznany gatunek inteligentnej istoty czy może zwierzak...?

— Chodźmy już! — Ayyar ponaglił ich i posłusznie przyspieszyli kroku.

Dotarli do otworu prowadzącego do sali maszyn. Stanęli jeden na drugim, a na końcu Ayyar wdrapał się na nich. Podciągając się za pomocą miecza dostali się na górę. Niecierpliwymi dłońmi ścierali prastary kurz, odkrywali pojazdy, otwierali z trudem dawno nie ruszane bagażniki. Wszystkie zaprojektowane były przez obcych i jedynie wyjątkowa sytuacja mogła zmusić ich do kontynuowania poszukiwań, mimo silnej odrazy, jaką odczuwali.

W końcu Drangar odkrył narzędzia w dużym wyborze, wprawdzie dziwnie ukształtowane i z pewnością przeznaczone do całkiem innych celów, niż to, co zamierzali nimi zrobić, ale i tak znacznie lepsze niż te, które przynieśli ze sobą.

— Te mogą być, ale... — spojrzał spod oka na Jarvasa — o wiele lepiej poradzilibyśmy sobie używając blastera, jednego z tych noszonych przez skafander kosmiczny.

— Owszem, jeśli taki znajdziemy. Zaczynj z tym, czym dysponujesz. Trzeba zrobić, co się da.

Przynajmniej skafandry i Illylle znajdują się w tym samym kierunku, pomyślał Ayyar. Tym razem nie odwiodą go od poszukiwań!

Rizak, Jarvas, Kelemark, Lokatath i on sam — pięciu, by stawić czoło nie wiadomo jak znacznym siłom przeciwnika zgromadzonym w podziemiach. Ayyar nie czekał na pozostałych lecz puścił się biegiem przez salę, w której szeregi Iftów i Larshów patrzyły się sobie w oczy od nieskończenie długiego czasu. Cekał na niego sztuczny las ze swoimi pułapkami.

Nie zwracał uwagi na figury ani na to, co robili inni. Zbiegał już wąską ścieżką, na której poprzednio upadł, gnając na łeb na szyję do drzewa. Miał nadzieję, że potrafi odnaleźć miejsce niefortunnego upadku.

Lokatath dogonił go w chwili, gdy próbował znaleźć jakiegokolwiek wzniesienie, a następnie odszukać jakiś znak orientacyjny.

— Dokąd teraz?

— Na górę, ale nie wiem dokładnie, gdzie...

Tamten stanął, wpatrzony we wznoszące się wysoko drzewo.

— Przecież to... jedna z Koron...

W jego głosie zabrzmiał jakiś dziwny ton. Ayyar z wysokości brzegu doliny spojrzał na towarzysza.

Lokatath stał hipnotycznie zapatrzony w drzewo, na jego twarzy pojawił się wyraz głodu, a nawet cię zachwyty. Nagle zawrócił w kierunku Wielkiej Korony. Ayyar pośpiesznie złapał go za ramię i poczekał, aż pozostała trójka dołączy do nich.

— Nie patrzcie tam! — ostrzegł ich. — To złudzenie mające omamić was i przyciągnąć!

Mimo woli spojrzeli w górę. Lecz Jarvas natychmiast odwrócił wzrok i tak jak Ayyar Lokatatha, złapał Rizaka i Kelemarka.

— On ma rację, to dla nas śmiertelne niebezpieczeństwo! Odwróćcie się! — Ciągnął ich i odpychał. — Nie patrzcie na to!

Pokusa zdawała się nie do zwalczenia, lecz jakoś udało im się wyrwać. Ayyar przestał szukać znajomych miejsc na przeciwległej ścianie; po prostu musiał stąd natychmiast odejść.

Pomagając sobie wzajemnie weszli w las, w którym mogły na nich czyhać całkiem inne pułapki niż Ayyar zdążył poznać.

Idąc zwartą grupą utorowali sobie drogę pod baldachimem zieleni, mającym ich przewrotnie fałszywymi obietnicami. Za przykładem Ayyara, gdy tylko doszli do prawdziwych drzew, wspięli się wysoko na nie, kryjąc się cały czas w cieniu. Zmierzali prosto do odległej ściany i wejścia do podziemi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Coś w lesie uległo zmianie — dźwięki, które poprzednio uśpiły jego czujność, teraz ucichły. Iftowie poruszali się w martwej ciszy, świadomi każdego szelestu, jaki wywoływało ich przejście. Nie była to jednak wyczekująca cisza, jaka towarzyszy zastawionej pułapce; wydawało się raczej, że siła manipulująca tym miejscem odwróciła się lub wycofała. Ayyar podzielił się tą opinią z innymi.

Jarvas przysiadł na szerokim konarze.

— Wycofała się? — powtórzył w zamyśleniu. — Może musiała skoncentrować się na czymś gdzie indziej? Ale gdzie?

— Na przykład na drzwiach, które Drangar próbuje sforsować? — podsunął Lokatath.

— Możliwe, chociaż nie jestem jeszcze pewny. Nienazwane stara się zgromadzić całą dostępną moc w swoim ręku. Raczej wysyła swoje sługi, a nie gromadzi ich tu dla obrony.

— Jeszcze jeden powód, aby się śpieszyć! — Ayyar prowadził ich w górę zbocza.

Minęli okolicę obrośniętą trującym dzikim winem. Przyłapał się na tym, że nad słuchuje i wypatruje fałszywej Vallylle. Jeśli nawet jeszcze przebywała w lesie, to na pewno nie szukała jego towarzystwa po tym, co między nimi zaszło. Ku jego zdziwieniu doszli do ściany poniżej wejścia do podziemi nie niepokojeni przez żadne wrogie stworzenia. Wciąż jeszcze nie odnaleźli zejścia w dół klifu, ale bez wahania ścięli parę drzewek, oczyścili swój łup z niepotrzebnych gałązek i zrobili zeń prymitywną drabinę.

Po wejściu do podziemi zawahali się i przystanęli, czujnie węsząc i rozglądając się dookoła. Z korytarza dochodziła ich mieszanka ohydnych odorów. Było ich tak wiele, że trudno byłoby je zidentyfikować. Jarvas powiedział:

— Czuję maszyny...

— Chemikalia... — dodał Kelemark, węsząc.

— Nie, myślę, że czuję fałszywych Iftów — zaczął Lokatath.

Rizak przyłożył dłoń do ściany korytarza.

— Tędy przepływa energia. To miejsce żyje.

Jarvas poszedł za jego przykładem, ale po chwili oderwał nagle rękę, jakby wibracje paliły jego ciało.

— Uważajcie na kryształowe płyty — ostrzegł Ayyar. — Myślę, że one wszczynają alarm. Musimy ich unikać za wszelką cenę.

Jak okiem sięgnąć, w mętym świetle korytarz wydawał się zupełnie pusty. Prześlizgnął się obok Jarvasa i wyszedł na czoło. Opadł na kolana, aby minąć pierwszą parę płyt.

— Tutaj znajduje się sala, w której przechowują ciała. Zatrzymał się przy drzwiach. Kelemark precyzyjnie się obok niego i wbił wzrok w rząd kontenerów. Ayyar szepnął:

— Jest ich więcej, znacznie więcej. Kiedy byłem tu poprzednio, tylko cztery w tym rzędzie były zajęte, a teraz wszystkie są pełne!

— Gdzie robią lustra? — zapytał Jarvas.

Kelemark podszedł do najbliższego cylindra. Zbliżył twarz do jego powierzchni, osłaniając oczy dłońmi. Potrząsnął przecząco głową:

— Nic nie widać...

— Chodźmy do luster — naciskał Jarvas.

Illylle! Na to imię Ayyar rzucił się pędem w dół korytarza. Musiał wziąć się w garść i opanować nieostrożne odruchy. Jeśli zdoła wyprowadzić ją stąd, to na pewno nie działając impulsywnie i bez przemyślenia.

— Chciałbym zobaczyć miejsce, w którym hodują roboty! — Kelemark wydał rozkaz, jakby to on dowodził. Jarvas na to podniósł rękę:

— Najpierw lustra!

Ayyar opanował na tyle swoją niecierpliwość, aby zatrzymać się przed drzwiami, węsząc i nadsluchując. Jak dotąd nie napotkali niczego, żadnego zamieszania czy poruszającego się skafandra. Nie zapominając o życiu tętniącym w ścianach wokół nich, Iftowie przemierzali przestrzenie równie opustoszałe jak te, które wiodły od imitacji Wielkiej Korony.

Dotarli do miejsca, gdzie Ayyar był świadkiem tworzenia wizerunków. Stół tym razem pozostawał pusty, nie było też żadnych luster na ścianach. Za to stały tu dwa kombinezony kosmiczne.

Ayyar gestem nakazał reszcie, aby zachowali ostrożność. Kombinezony były wprawdzie człekokształtne, ale oba nieznanego mu typu. Pierwszy z nich miał wykręcone i wyrwane ramię nieco poniżej naramiennika. Uszkodzenie kończyło się zgrubieniem stopionego metalu. Drugi nie miał hełmu.

Żadna z tych metalowych kalek nie poruszyła się, więc Ayyar zdecydował, że nie są niebezpieczne. Rizak zbliżył się ostrożnie, aby je zbadać. W przeszłości był astronawigatorem, toteż o wiele lepiej znał się na wyposażeniu statków kosmicznych niż Ayyar. Ale i on potrzęsął bezradnie głową.

— Nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego.

Ayyar podszedł do stołu, nachylił się i głęboko wciągnął powietrze w nozdrza. Nic, tylko nie zagłuszony żadnym innym zapachem odór osadników i mieszkańców portu. Nie wyczuwał Iftów, a więc zapewne nie było ich tutaj ostatnio.

A jednak Illylle musiała zostać przyniesiona właśnie tutaj! Z pokoju luster Ayyar pospieszył do laboratorium, w którym był świadkiem hodowania imitacji. Fala cuchnącego smrodu wionęła mu prosto w twarz, ale i tu stoły były puste, ani śladu bulgocącej galarety.

Pomimo typowej dla Ifta ostrożności, Kelemark wciągnął powietrze głęboko w płuca.

— Coś w rodzaju sztucznego ciała... protoplazma? — stwierdził.

Ayyar przypomniał sobie trzecią salę, w górze korytarza. Widział tam, jak wyposażano imitację w oprogramowanie. Po sprawdzeniu okazało się, że również tam nie ma nikogo.

— Gdzie się wszyscy podzieli?

— Było to pytanie retoryczne, gdyż nie liczył na to, że Jarvas lub inni udzielą mu lepszej odpowiedzi niż ta, której byłby w stanie sam sobie udzielić. Jako ostatnia deska ratunku pozostał im węch!

Na korytarz wychodziło wiele drzwi, ale tylko zza jednych z nich wydobywał się zapach tak słaby, że omal nie ginął wśród panującej tam duchoty. Illylle — to na pewno Illylle!

Analizując zapachy jeden po drugim, Ayyar skradał się wzdłuż korytarza. Wyczuwał Illylle albo innego Ifta, ale również inne zapachy — silne, drażniące do bólu, jeśli się je wdychało. Osadnicy... tutaj... tutaj... Stał niezdecydowany w holu pomiędzy parą drzwi znajdujących się naprzeciw.

Illylle! Ift! Na prawo! Wparł ręce w drzwi i nacisnął ze wszystkich sił, próbując najpierw otworzyć je do środka, a następnie poruszyć w prawo lub w lewo. Ani drgnęły, trwały nieporuszenie jak przyspawane. Lokatath, a następnie i pozostali pospieszyli mu z pomocą. Wszyscy wyteżali siły, przyzywani tym samym znajomym zapachem.

— Nie da się otworzyć — zdecydował Jarvas.

— Poczekajcie!

Jakbyśmy mogli zrobić cokolwiek innego, pomyślał niecierpliwie Ayyar. Rizak zawrócił i pobiegł do sali luster, a Ayyar nie przestawał szarpać i pchać upartych drzwi, niepotrzebnie tracąc siły. Wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie wyczerpała się moc, którą obdarzyło ich Zwierciadło... Thanth!

Zaprzaśtał bezskutecznej szarpaniny z drzwiami i spojrzał na Jarvasa:

— Jesteś przecież Mistrzem Zwierciadła. Czy istnieje coś, co mógłbyś wezwać na pomoc? Zaskoczony Jarvas utkwiał w nim wzrok; następnie spojrzał z namysłem na drzwi.

— Jeśli nie utrzymałeś ofiarowanej ci mocy, to Thanth nie może działać już nic więcej...

— Nic?

Zwierciadło obdarzyło go swoją siłą, a następnie Illylle, wysyłając go na wyprawę, przekazała mu również swoją moc. Nie potrafił wypełnić misji, zawiódł — musiał ustąpić przed zablokowanymi schodami. Z każdym krokiem oddalającym go od miejsca porażki, moc odpływała i ginęła bezpowrotnie, pozostawiając go słabego jak nigdy dotąd. Wołał bezgłośnie: Przecież wróciłem! Jestem tu, aby uwolnić Janusa od złego czaru rzuconego na tę ongiś nieskalaną i piękną planetę. Nie zdezerterowałem, nie uciekłem — wróciłem wraz z całym oddziałem!

Zamknął oczy, starając się przywołać obraz ogromnego, iskrzącego się jezora powstającego z powierzchni Zwierciadła, aby ich, wybrańców Thanth, napełnić swą mocą. Nieświadomie wyciągnął swój miecz, i stanął pewnie na rozstawionych stopach, z obu dłońmi zaciśniętymi na rękojeści białej w ziemię broni.

Dawno temu, gdy stał i obserwował piętrzące się Zwierciadło poznał co to groza, uwierzył w istnienie czegoś niepoznawalnego, niewytłumaczalnego. Nie miał pojęcia czy odziedziczył ową wiarę po tym Ayyarze, którym niegdyś był. A może tamtego dnia, gdy nawiązali kontakt ze Zwierciadłem, uwierzył w jego potęgę widząc jak wielką czcią i uwielbieniem otaczali je współtowarzysze?

Zwierciadło... sięgający po nich jezora, a może palec, skrzęcej się wody wyrastający coraz wyżej i wyżej nad nimi... Ayyar próbował przywołać z powrotem deszcz, jaki w nim wywołało tamto przeżycie.

Nagle znalazł się poza swoim ciałem, unosząc się nad znajomą planszą do gry. Miejsce to jednak niezrozumiale zmieniło się od poprzedniego tu pobytu i chociaż nadal nie widział swego oponenta, to wyczuwał wyraźnie, że i on nie jest już taki sam...

Zielono wschodzi głęboko zasadzone ziarno.

Wysokie Drzewo — Iftów nadzieją.

Słodki jest wiatr, a cichy deszcz —

Żyzna gleba czeka na ziarno...

Zieleń otaczająca jego stopy rosła coraz wyżej. Znał te rośliny bez patrzenia — były tak samo częścią jego osoby, jak krew, ciało i kości. Czyżby teraz on zapuścił korzenie w ziemi, czerpiąc z niej siły żywotne? Wiejący wokół wietrzyk pieścił jego wargi i policzki delikatnym tchnieniem lata, karmił go ożywczą wilgocią, zaspokajał dręczące pragnienie i głód.

Prosty miecz, a klinga ostra.

Liście wciąż nie bledną.

Spokojnie Zwierciadło śpi,

A księżyc z wysoka dotyka

Srebra zawartego w Zwierciadle.

Staw się, Ifcie, bez lęku.

Nie widział Thanth oczami swego ciała, ale było ono tutaj — głębokie, mroczne, a jednocześnie lśniącossrebrne od odbitego w nim księżyca. Jego drżący obraz na tafli ciemnej wody pękł na tysiąc srebrnych kawałków, które nagle uwolnione rozpląnęły się swobodnie, a następnie uniosły w powietrze, by stać się jednym z wiatrem i aksamitnym deszczem. Powstały dla Ayyara, otoczyły jego ciało wnikać...

Ifta miecz, ręka Ifta,

Serce Ifta — Ifta plemię!

Szykowany w ukryciu

Schłodzony przez księżyc...

Były to słowa Pieśni o Kymonie, o Kymonie, który jako jedyny dotąd przebył posępny szlak wiodący do serca Wroga, a następnie powrócił stamtąd z Kłatwą zapewniającą bezpieczeństwo jego plemieniu. I to nie Ayyar ją śpiewał — sama napłynęła skądś spoza granic poznawalnego świata.

Narodzi się Wojownik i stanie do boju —
Kiedy drzewo urośnie, a Nienazwane szeźnie.
Iftów miecze, ręce Iftów —
Ocalcie i oczyśćcie ziemię!

Ponownie przeniknęło go srebrnoskrzące się tchnienie Thanth. Jak poprzednio, poczuł, że jednoczy się z jakąś obcą formą życia. Otworzył oczy i ujrzał naprzeciwko siebie Jarvasa, dawnego Mistrza Zwierciadła, patrzącego na niego ze skupieniem. Usta jego poruszyły się, ale z początku nie wydobył z siebie ani słowa. Po chwili przejęty przemówił na głos:

— Bracie, moc powróciła i znów jest z tobą.
— Tak, to prawda.

Ayyar, na nowo pełen ufności we własne siły, podniósł miecz i powiódł nim wokół drzwi. Za dotknięciem podążyła jaskrawa smuga, roztopiając twardą substancję. Wyciągnął dłoń i drzwi runęły do środka komnaty — dokładnie w chwili, gdy nadszedł Rizak z blasterem jednego ze skafandrów w ręce. Jarvas gestem nakazał mu się odsunąć i weszli do pokoju.

Leżeli na podłodze, jakby bez ostrzeżenia rażeni piorunem — kobiety, dzieci. Mogli to być osadnicy widziani przez Ayyara w dolinie kopców, ale jego nos wyraźnie wyczuwał w tym gronie obecność Ifta. Po chwili znaleźli ją w odległym kącie pomieszczenia — niedbale ciśniętą między pozostałych jak zepsutego, nieużytecznego dla Nienazwanego, robota.

Jarvas wziął jej bezwładne ciało na ręce i wyniósł na korytarz, gdzie Ayyar delikatnie ujął jej zwisające bezsilnie ręce w swoje dłonie. W ten sposób miał zamiar przekazać jej moc, którą napełniło go ponownie Zwierciadło. Usłyszał, jak pozostali cicho recytują:

Najpierw ziarno, potem kielek.
Od zakorzenienia do rozkwitu.
Soki pnia, szum liści,
Ift za Drzewo, Drzewo za Ifta!

Kelemark uniósł butelkę i począł ostrożnie, kropla po kropli wsączać sok między jej rozchylone wargi. Illylle uchyliła powieki i spojrzała na nich — zrazu niewidzącym wzrokiem, jak gdyby wciąż miała przed oczami miejsce, w którym wędrowała tak długo.

— Illylle! — Ayyar przemówił do niej łagodnie, ale i zarazem ponaglająco.

Ujrzała go, poznała i nagle poruszyła się w ramionach Jarvasa. W jej oczach pojawił się niepokój.

— Czy wy tego nie czujecie? — Jej ochryply głos zdradzał wielkie napięcie. — Nienazwane wie!

Rozejrzeli się wokół, jakby szukali otaczającej ich wrogiej armii. Illylle miała całkowitą rację! Ta cisza, lekceważący brak elementarnej czujności, wszechogarniające uczucie pustki — wszystko to zniknęło bez śladu. Zostali odkryci.

— Chodź.

Jarvas, podtrzymując Illylle, prowadził ich z powrotem przez kolejne pomieszczenia. Ayyar ujrzał w pewnej chwili jak Rizak i Lokatath zostają z tyłu, a potem wbiegają do

jednego z pomieszczeń. Gdy wrócili, nieśli nie tylko blaster, znaleziony poprzednio przez Rizaka, lecz również dwa dziwnie wyglądające przedmioty, najwyraźniej służące jako broń.

Cały czas obserwowali drogę przed i za sobą, wypatrując i nasłuchując. Dotarli bez przeszkód do imitacji lasu, w pełni jednak świadomi, że Nienazwane doskonale zdaje sobie sprawę z ich obecności na jego terenie. Pełen złych przeczuć Ayyar dziwił się, dlaczego niepodzielny pan tych podziemi nadal powstrzymuje się od ataku. Zmieść ich z powierzchni ziemi byłoby dziecinnie proste, gdyż z mocą Zwierciadła czy bez niej — nie poradziliby sobie z pozaplanetarną bronią z arsenału Nienazwanego.

W lesie nastąpiła jakaś nieuchwytna zmiana. Zaszedł kojący oczy księżyc i zapanowały głębokie ciemności jak podczas burzowej nocy. Na szczęście jego nagi miecz otaczała mglista poświata, która umożliwiała poruszanie się przez tonący w mroku las.

Illylle wyciągnęła lewą dłoń i położyła ją na ramieniu Ayyara, mówiąc:

— Chwyćmy się wszyscy za ręce, bracia. Nie pytajcie, skąd wiem, ani jak i dlaczego to się stanie — ale jestem pewna, że w ciągu najbliższej godziny wstąpi w nas to, co przemawia poprzez Zwierciadło. Być może nawet wykorzysta tutejsze pierwotne moce, aby się nimi karmić i rosnąć w potęgę! Połączmy ręce tak, aby moc swobodnie mogła przepływać przez nas wszystkich!

Wbrew oczekiwaniom Ayyara dotyk palców Illylle nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Jedyne co poczuł, to ciepło i lekki wzrost pewności siebie. Zamiast wejść w las, podążali przed siebie najkrótszą drogą do drzewa będącego nikczemną parodią Wielkiej Korony.

Coś pierzchało na boki spod ich stóp, spłoszone krokami lub światłem pochodni. W pewnej chwili usłyszeli zawodzący jęk, wydany głosem Ifta, ale nie zdołali zrozumieć ani słowa. Illylle zwróciła wówczas głowę w stronę poszycia lasu, z którego dobiegał ów dźwięk. Wyrecytowała odpowiedź — przeciwzakłęcie lub ostrzeżenie. Ayyar doskonale wiedział, że nie były to słowa zaczerpnięte z języka codziennego. Był absolutnie pewny, iż wyłoniły się one z mroków zamierzchłej przeszłości, z czasów, kiedy Illylle była Siewczynią Nasion, a więc osobą mającą przemożny wpływ na początki życia. Miejsce, w którym teraz przebywali, przeczyło życiu, tworząc jego oszukańczą imitację.

Podążali bez przeszkód w kierunku drzewa i miejsca, w którym stały zamarłe na zawsze szeregi Iftów i Larshów. Cały czas Ayyar podświadomie oczekiwał jakichś oznak zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Przechodząc między długimi szeregami, Illylle i Jarvas, zainspirowani prastarymi misteriami, których byli ongiś częścią, zwrócili głowy do poszczególnych Iftów i witali ich używając ich imion tonem tak szczególnym, że Ayyar prawie spodziewał się, że lada chwila postacie te opuszczą swych towarzyszy i przyłączą się do nich.

Następnie przez salę maszyn i korytarzem w dół dotarli do rozległej sali pełnej luster. Tam Illylle po raz pierwszy zawahała się. Puściła ręce Ayyara i Jarvasa, przerywając łańcuch, jaki tworzyli. Zasłaniając oczy, jakby nie śmiała spojrzeć na półki, wykrzyknęła:

— Oto są dzieci Nienazwanego! Niechaj zostaną roztrzaskane na tysiące kawałków i niech to wszystko się skończy!

Wówczas ponownie drżącymi dłońmi złapała Ayyara i Jarvasa. Nie spojrzała więcej na lustro, mocno zaciskając powieki, pozwalając się biernie prowadzić. Drżała na całym ciele, dopóki nie opuścili pomieszczenia.

Pierwszy raz od dawna usłyszeli dźwięki i z przodu, i z tyłu. Rzucili się biegiem do miejsca, w którym zostawili Myrika i Drangara. Dobiegały stamtąd odgłosy walki. Niespodziewanie miecz rozjarzył się łagodnym, nie drażniącym oczu światłem.

Na podłodze korytarza ujrzeli splątaną masę poskręcanych i pourywanych kabli, wywleczonych z tunelu naprawczego. Pośrodku tego leżał martwy Drangar. Myrik natomiast rozplaszczyl się na podłodze między cewkami, unieruchomiony przez ślące błyskawice i skręcające się jak kłębowisko rozwścieczonych węży końce kabli. Jak na dany znak wszyscy

nowo przybyli padli na podłogę, chowając się, gdzie kto mógł. Rizak i Jarvas wyciągnęli blastery i osłonili ogniem pozostałych.

Myrik uniósł głowę i słabym głosem powiedział:

— Przejdźcie kanałem prawie odblokowane... Jeśli tylko damy radę przecisnąć się...

Z powodzeniem używając znalezionych narzędzi, wyrwali do reszty kable i instalacje wypełniające szyb. Ayyar zawahał się przed zejściem w nieznane — nie miał pojęcia, jakie niebezpieczeństwo może czyhać na nich na dole. Z drugiej jednak strony pozostać tutaj jako ostatni, najbardziej narażony na napaść z tyłu...

— Idę! — Lokatath wpełzł w otwór tunelu nogami do przodu i zniknął.

— Teraz ty... — Ayyar popchnął lekko Illylle ku jedynej drodze ucieczki.

Weszła bez słowa protestu, a za nią podążyli Myrik i Kelemark. Jarvas zwrócił się do Ayyara:

— Twoja kolej!

Cały ten czas wraz z Rizakiem osłaniał promieniami blasterów pozostałych. Ayyar wy dobył miecz z pochwy i wślizgnął się w otwór. Kanał nie był aż tak ciasny, jak się tego spodziewał, a sterczące ze ścian pozostałości wyrwanych instalacji dawały oparcie rękom i stopom. Po chwili natrafił na płataninę kabli, przez którą był zmuszony torować sobie drogę do bliźniaczego korytarza poniżej. Czekali tam już pozostali towarzysze. Cała otaczająca ich przestrzeń aż pulsowała, przepelniona obecnością tej samej siły, której przerażającą obecność wyczuwali w ścianach podziemi. Ayyar zaryzykował dotknięcie ściany i krzyknął, gdy ból wielitościwie przeszył jego ramię. Instynktownie druga dłoń powędrowała na rękojeść broni. Nieoczekiwanie z pochwy miecza począł wydobywać się dym.

Zieleń i błękit pokryły całą długość wspianale wykutej broni, mieszając się spływały strużkami po ostrzu, kapiąc na podłogę i znikwały. Ayyar nie kontrolował tego procesu i stracił orientację, czy właśnie traci, czy zyskuje energię. Narastało w nim przekonanie, że jest tylko zabawką w ręku jakiejś potężnej mocy. Pod wpływem przymusu, jaki odczuwał, zawrócił i oddalając się od reszty towarzyszy, pomaszerował z powrotem.

Spodziewał się niebezpiecznej konfrontacji, a więc nie zdziwił się ani zaniepokoił, gdy z mroku wyłoniły się jakieś sylwetki. Zbliżali się miarowym, nieustępliwym krokiem. Raptem broń w jego ręce uniosła się i czubkiem wskazała prosto przed siebie. Ayyar nie był już w stanie utrzymać miecza w spoczynku, gdyż jego moc rosła z sekundy na sekundę i osiągnęła taką potęgę, że miotła nim na wszystkie strony. Jedyne, co mu pozostało, to kołysać się wraz z nim w prawo i w lewo.

Sylwetki okazały się uzbrojonymi, maszerującymi sztywnym, grzmiącym krokiem maszynami. Tańczący, kołyszący się miecz wytworzył własną barierę, która zatrzymała i następnie zaczęła wysysać energię, karmić się siłą Wroga. To wszystko było w Ayyarze. Kiedyś był człowiekiem, potem Iftem; teraz stał się zbiornikiem energii zaczerpniętej od Wroga, aby pobić go jego własną siłą.

Maszyny nie przerwały ataku aż do chwili, gdy bezpośrednio na nie padło światło miecza. Oślepiająco roziskrzyły się zwarte kable, wokół rozszedł się obrzydliwy smród spalenizny. Stąpając po nich, przepychając się wśród wraków maszyn, Ayyar ruszył dalej.

Nie liczył, ile ich pozostało zgromadzonych w korytarzu, nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Jedyne, co czuł, to wewnętrzny przymus, aby dążyć przed siebie w poszukiwaniu animatora tamtych maszyn, owej złej mocy — sprawcy wszystkich ich nieszczęść.

Korytarz skończył się u wejścia do ogromnej komnaty. Ayyar stał prawdopodobnie na jakiejś wysuniętej platformie, blisko jej sklepienia. Kręcone schody biegnące z niej, zanurzały się w ciemność poniżej i tonęły w nieprzeniknionym mroku. Miecz wskazał w dół i wyznaczył mu dalszą drogę. Całe to miejsce było wręcz naładowane energią i Ayyar niejasno zastanawiał się, czy nie zakończy życia jako człowiek czy Ift, spopielony przez własną broń, dotąd jeszcze ani razu nie użytą zgodnie z jej przeznaczeniem. Schodził bez końca w dół, w

kółko stopień za stopniem. Jego oczy, nie oślepiane teraz światłem, nieoczekiwanie ujrzały, co znajdowało się poniżej, ustawione pod ścianami — brzęczące i migoczące światełkami, wypełniając całą tę rozległą przestrzeń niskim pomrukiem. Całe sektory były ciemne i martwe — być może nawet od setek lat. Natomiast czynna reszta robiła w jakiś niepojęty sposób wrażenie wrogiej wszelkim formom prawdziwego życia. Ayyar wprawdzie nigdy nic widział czegoś podobnego, ale Naillowi rozpoznanie urządzenia nie stanowiło żadnego problemu — była to niewątpliwie maszyna specjalnie zaprojektowana przez ludzi jako uzupełnienie ich umysłu. Miał właśnie okazję zbliżyć się do największego komputera, jaki kiedykolwiek ludzkość mogłaby sobie wyobrazić...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

— Komputer! — Głos Myrika wybił się ponad szum wypełniający pomieszczenie.

Ayyar stanął naprzeciw niezliczonych szeregów błyskających światełek. To tu przywiodły go broń i zawarta w nim samym moc. Jak jednak miałby użyć miecza przeciw takiemu przeciwnikowi? Jak go unieszkodliwić? Chyba że... Przecież musi istnieć ktoś, kto powołał do życia ten gigantyczny umysł! Oto prawdziwy Wróg!

Ruszył szybkim krokiem wzdłuż maszyny, górującej nad nimi jak wieża. W rogu pomieszczenia ściana skręcała pod kątem prostym, a on mijając kolejne sektory biegł dalej i dalej. W końcu dotarł z powrotem do swych towarzyszy stojących tuż przy schodach. Nie znalazł żadnego innego wyjścia z tego pomieszczenia i nic poza maszyną — częściowo czynną, a częściowo martwą. Oszłupiał, zatrzymał się, wciąż niezdolny uwierzyć, że oto Wroga nie ma, a więc również nie ma komu stawić czoła.

— Komputer — Jarvas pilnie przyglądał się ścianom dookoła — i to zaprogramowany.

Myrik śladami Ayyara raz jeszcze obszedł salę wokół, analizując dokładnie każdą mijaną sekcję.

— Owszem, to komputer, ale nigdy i nigdzie dotąd nie widziałem podobnego typu. A na dodatek ktoś musiał go zaprogramować i teraz, przynajmniej częściowo, działa. Ponadto jestem przekonany, że kiedyś raptownie przerwano mu zadanie, które wykonywał. Popatrzcie tylko...

Posłusznie aczkolwiek nieco bojaźliwie podążyli za nim w kierunku jednej z wygaszonych sekcji. Tam wskazał na ślady ognia na powłoce urządzenia oraz na wyraźne pozostałości napraw dokonanych obok. Zapewne zakończyły się one sukcesem, gdyż światełka wyraźnie wskazywały, że sekcja działa.

— Maszyny pokonane przez Ayyara w korytarzu — stwierdził Myrik — służyły do obsługi i napraw komputera. Założę się, że wykonywały one swoje obowiązki znacznie dłużej, niż moglibyśmy w pierwszej chwili przypuszczać.

— Kymon! — wykrzyknęła przejmująco Illylle. — Kymon był tutaj! Ale czym jest ta maszyna...?

Jarvas przesunął się na środek sali:

— Komputer z pewnością został zaprojektowany do wykonania jakiegoś wielkiego i ważnego zadania. Następnie został częściowo zniszczony, a teraz pracują tylko jego poszczególne sekcje. Widzieliśmy rezultat jego działań. On po prostu stara się wykonać swój program...

— Lecz kto go uruchomił? — zapytała Illylle. — Kim lub czym jest Nienazwane?

Rizak zbliżył się do najbliższej ściany i przez chwilę obserwował migające światełka.

— Uważam — powiedział powoli — że to, czego szukaliśmy, znajduje się przed nami.

— To jest to, na poszukiwanie czego mnie wysłano! — przerwał Ayyar z taką pewnością w głosie, jakby słuchał odpowiedzi wewnętrznego głosu.

— Nie wierzę, aby to zostało zaprogramowane na Janusie — dodał Jarvas. — Jeśli Iftowie pochodzą stąd, a wszystkie ich przystosowania do życia na to wskazują, to komputer jest dla planety i dla nich kompletnie obcym tworem, przybyszem z obcego świata...

Rizak uśmiechnął się, podniecony:

— Czy kiedykolwiek przyszło wam, na myśl, bracia, że to, przed czym teraz stoimy, może po prostu być częścią statku kosmicznego, przybyłego tu przed wiekami?

— Statku? — powtórzył za nim Kelemark. — Tej wielkości?! Jaki statek kosmiczny mógłby być aż tak ogromny?

Lokatath, dawniejszy osadnik, zaryzykował odpowiedź.

— Statek przewożący kolonistów?

Jarvas odwrócił się szybko, ale Rizak ubiegł go i odparł:

— To całkiem możliwe! Statek wiozący komputer zawierający sztuczną inteligencję, zaprogramowany dla przeprowadzenia kolonizacji, prawdopodobnie nie był nigdy przeznaczony dla Janusa, ale awaryjnie lądował na jego powierzchni. A wówczas uszkodzony komputer zainicjował program osadnictwa, zupełnie nie dostosowany do tutejszych warunków.

Jarvas podjął wątek, kierując się wiedzą Pate'a Sissionsa, uczestnika Pierwszego Zwiadu, który przecież wykonywał ongiś analogiczne zadanie dla swego gatunku.

— On próbuje przystosować naszą planetę do potrzeb i oczekiwań obcych kolonistów i jest gotów zniszczyć wszystko, co uzna za niekorzystne lub niebezpieczne dla procesu kolonizacji...

— Na przykład Iftów! — wtrącił się Lokatath. ‘

— Kymon musiał jakoś dostać się tutaj — dodała szybko Illylle — i wyposażony w moc Thanth dokonał prawdopodobnie tych zniszczeń widocznych dookoła — wskazała na całe obszary noszące ślady pradawnej bitwy. — Po upływie drugiego czasu szkody zostały częściowo naprawione. Jakim jednak cudem wszystko to ruszyło i działa?

— Być może cały ten czas ciężko uszkodzone urządzenie pozostawało w stanie uśpienia — rzekł Ayyar — i nie wyczuwało obecności wroga, dopóki ponownie nie pojawili się nowi Iftowie, tacy jak my? Ciekaw jestem, dlaczego komputer nie obudził kolonistów; czyżby nie przeżyli katastrofy?

— Lustra! — Oczy Dlylle otworzyły się szeroko. — Koloniści są tymi postaciami w lustrach!

— To brzmi całkiem prawdopodobnie — zgodził się Kelemark. — Pozwólcie teraz mi zgadywać. Miałaś rację, Jarvasie, twierdząc, że szeregi Iftów i Larshów mają o wiele większe znaczenie, niż nam się wydawało na pierwszy rzut oka. Na temat Iftów nie potrafię nic powiedzieć, natomiast Larshowie stali we właściwej kolejności! Początek jako koniec, a koniec jako początek!

Zdawało się, że Jarvas rozumie sens tej wypowiedzi, gdyż skinął głową potakująco. — To nie była ewolucja. W tym przypadku wystąpił proces odwrotny. Komputer obudził grupę pasażerów i okazało się, że na Janusie nie może on się ani przebudować, ani odnowić. Myślę, że od tej chwili wszystkie pozostałe zapasy energii zostały przeznaczone na ten cel...

— O czym ty mówisz? — zapytał zdumiony Lokatath.

— Obudzeni przez komputer koloniści nie pozostali tacy sami jak na początku — wyjaśnił Jarvas. — Pokolenie po pokoleniu cofnęli się od cywilizowanych ludzi, jeśli tak ich nazwiemy, do prymitywnych, przypominających zwierzęta Larshów, takich jakich my znamy. Po czym wysłano ich przeciw nam, z zadaniem oczyszczenia Janusa ze wszystkich, którzy mogliby mieć jakiś wpływ na życie planety. W tym czasie komputer zajęty był kreowaniem świata, któremu mógłby bezpiecznie przekazać swe brzemie. Na swoje nieszczęście został poważnie uszkodzony, być może właśnie przez Kymona z legendy.

Jarvas spojrział na stare ślady.

— Zapewne nigdy nie dowiemy się, czy są one pozostałością po herosie z naszych podań, czy nie. Bez wątplenia ktokolwiek tego dokonał, działał rozmyślnie i celowo. Późniejsza naprawa, choćby i niepełna, musiała zająć bardzo dużo czasu.

— Ale i tak nie udało się go zniszczyć całkowicie... — powiedział zamyślony Myrik.

— Pewnie — wtrącił się Rizak — zrobił to Ift, a nie ktoś rozumiejący, przed czym właściwie stoi. Mógł siać energią dookoła, rażąc na oślep, ale fatalnym zbiegiem okoliczności nie niszcząc korzeni. Dokładniej mówiąc: aby unieszkodliwić to urządzenie, trzeba dobrze rozumieć, jak ono działa i gdzie uderzyć.

— A Klątwa? Czymże więc była Klątwa? — spytała Illylle. Jarvas wzruszył ramionami.

— Któraż opowieść nie obrasta w ozdobniki, stając się legendą o bohaterze? Myślę, że Kymon, Ift, nie potrafił nikomu — nawet sobie samemu — wyjaśnić, z czym miał tu do czynienia. Zresztą nie wiadomo, jak właściwie stał się z potęgą Nienazwanego. Teraz nadszedł czas na ostateczną decyzję. Myrik, Rizak — co robimy?

— Oczywiście możemy ponownie spróbować unieszkodliwić komputer. Jednakże, w dłuższej perspektywie czasu — mam na myśli stulecia — raz jeszcze może się to okazać rozwiązaniem tymczasowym. Jeśli prawidłowo odgadliśmy, do czego służy to urządzenie, to z całą pewnością wyposażono je w strażników, obronę i roboty naprawcze. Nie mamy najmniejszego pojęcia, co jeszcze leży w dalszych partiach podziemi. Nie, musimy koniecznie odnaleźć serce tego systemu i wypalić je raz na zawsze!

— Jarvas? — Illylle podeszła bliżej i położyła rękę na jego ramieniu. — Co stanie się z tymi, których on kontroluje, zamienionymi w lustrzane wizerunki, a następnie w roboty? Czy i będzie można ich uwolnić, ocalić?

Jarvas unikał jej wzroku.

— Może tak, a może nie. Aby to rozstrzygnąć, potrzeba znacznie więcej czasu i wiedzy. Musimy się śpieszyć, gdyż nieprzyjaciel włada niepodzielnie podziemiami i Pustkowiec i w każdej chwili jest w stanie wysłać przeciw nam potężną armię. Najpierw skończmy z tą maszyną, z komputerem...

Wszyscy byli co do tego zgodni. Ayyar podniósł miecz i już miał zamiar zaatakować najbliższy sektor, gdy nagle napotkał na swej drodze wyciągnięte ramię Rizaka.

— Nie tam! — Nie patrzył na Ayyara, lecz na sektory błyskających światełek na najbliższej ścianie.

— Więc gdzie? — zapytał Ayyar. Znał się na obsłudze komputerów, ale nie na zasadach ich działania.

— Nie mamy pojęcia — powiedział Myrik. — To zarządza całym podziemiami, czyli ma pod kontrolą systemy wentylacyjny i inne. Uderz, a zamknie drzwi, odetnie dopływ powietrza, pochowa nas żywcem... i może się okazać, że wcale go nie zniszczyliśmy raz na zawsze. Nie możemy nic zrobić dopóki się nie upewnimy...

— Patrzcie! — krzyknęła przeraźliwie Illylle. Wskazywała na jeden z uprzednio martwych sektorów. Przeleciała prędkością błyskawicy i znikła równie szybko, jak się pojawiła. Zaobserwowali, jak cała sekcja mrugnęła światłem, powracając na moment do życia, i zgasła. Niby drobiazg — zaledwie kilka iskerek pojawiło się na mgnienie oka i jeszcze szybciej zgasło... ale zgodnie uznali to za wiele mówiące ostrzeżenie.

— Wycofujemy się... — powiedział Jarvas szeptem, jakby obawiał się, że mogą zostać podsłuchane, zanalizowane i zrozumiane przez ową sztuczną istotę. Ayyar przez chwilę czuł to samo. Wolał stawiać czoła przeciwnikowi, który nadchodzi, nie maskując się. Na przykład skalec, fałszywy Ift czy ożywiony skafander kosmiczny — wiadomo, czym były i jak mogły się zachować. Światelka na panelu komputera — wszyscy byli przekonani, że oznaczają nadchodzące niebezpieczeństwo — to coś całkiem innego.

Światelka zapaliły się trzykrotnie, za każdym razem budząc do życia nowy wzór na panelu, a i kolory nie pozostawały te same. Za pierwszym razem dominował jasnoniebieski, za drugim jego ciemniejszy odcień, który z kolei ustąpił miejsca szkarłatowi. Ayyar wyczuwał napięcie, które ogarnęło ich wszystkich, gdy wysilając wszystkie zmysły próbowali zidentyfikować nadchodzące niebezpieczeństwo.

— Myrik, gdzie twoim zdaniem może znajdować się jednostka sterująca? — szepnęła Jarvas, ledwie poruszając ustami.

— Gdziekolwiek; przecież nie jestem ekspertem w dziedzinie komputerów zaprojektowanych przez obcych.

— Ayyar, czy jesteś w stanie zlokalizować źródło mocy? — Mistrz Zwierciadła zwrócił się do niego.

Zapytany uniósł miecz i wycelował jego czubek w nowo włączoną sekcję komputera. Poczuł przyływ swej własnej siły wzbierającej w całym ciele, gotowej na spotkanie obcej mocy.

Z zamkniętymi oczami obracał się powoli wkoło, i używając miecza jako przewodnika, analizując przyływy i odpływy energii, starał się ustalić jej źródło — serce Nienazwanego. Przy obrocie w prawo odczuł niewielką, ledwie zauważalną zmianę. Obracał się nadal i za każdym razem, w tym samym miejscu, napotykał zmianę w natężeniu mocy. Odpływ, a po nim przyływ, znowu odpływ — i zupełny spokój. Otworzył oczy. Znajdował się naprzeciw martwego sektora, oznaczonego starymi, krzyżującymi się bliznami cięć, na którym nie było widać ani śladu napraw.

Instynktownie zamknął znów oczy — nie miał pojęcia, dlaczego to takie ważne, ale w ten sposób lepiej wyczuwał obcą moc. W miarę jak się obracał, docierały do niego zmienne sygnały: nagle odpływy i przyływy, czasami tak silne, że mogłyby zwalić go z nóg. Mocno, jeszcze mocniej, płynie... płynie... słabnie, odpływa, znów wzbiera...

Tak wiele wiedział teraz o żywotności poszczególnych sektorów, ale nie przyszło mu do głowy, że inni także mogli coś zauważyć. Otwierał usta by przemówić, gdy niespodziewanie odezwała się Illylle:

— Spróbuj pod stopami.

Nie miał pojęcia, dlaczego to zasugerowała. Zrobił krok czy dwa do przodu i nagle miecz w jego ręce skierował się w dół, tym razem celując czubkiem w podłogę. Ponownie powoli zakoleysał się, zwracając ku kolejnej ścianie — tak jak poprzednio — przyływ, odpływ...

Został pociągnięty do przodu, jakby trzymał linę. Padł pośpiesznie na kolana, a czubek miecza wbił się w podłogę.

Otworzył oczy. Znajdował się u stóp drabiny, która ich tu przywiodła. Podłoga w miejscu, w którym broń jej dotykała, rozjarzyła się oślepiająco, a z ostrza trysnęły wysoko iskry. Nie mógł wytrzymać oślepiającego blasku i zaniknął oczy. Raptem miecz zagłębił się w podłodze jak w miękkim piasku, potem zostało połknięte ostrze, a za nim zaczęło pogrążyć się ramie Ayyara.

— Tnij! — Jarvas unikając deszczu iskier, pośpiesznie ukląkł obok. Wyciągnął rękę, jakby miał zamiar ująć w nią rękojeść broni, ale wzdrygnął się i poniechał próby.

Nie do końca rozumiejąc co robi, Ayyar spróbował poruszyć ostrzem, które nieco ustąpiło pod naciskiem dłoni. Ciął z łatwością przez substancję tworzącą podłogę, a może po prostu ustępowała ona, unikając wszelkiego kontaktu z ostrzem. Otwór poszerzał się, a on nieprzerwanie ciął w prawo, w lewo, w przód i tył... Nagle szarpnął się i odskoczył, nie unikając jednak bolesnego kontaktu z kłębami gorącej pary buchającymi spomiędzy czerwonych i rozżarzonych krawędzi otworu.

Strumień energii, dotąd uwięziony w jego ciele, spłynął do miecza, ostatecznie pomagając otworzyć przejście; był tak silny, namacalny, że prawie go widział. Otwór był teraz dostatecznie obszerny, aby zmieścić człowieka; wydobywał się z niego mocny zapach topionego metalu.

— Na schody, ostrożnie! — zawołało któreś z nich ostrzegawczo.

Promień światła wystrzelił niespodziewanie, połączył brzegi otworu i zwał się z iskrami sypiącymi się z miecza, które rozblysnęły razem w oślepiającym wybuchu jaskrawości.

Oślepiony Ayyar krzyknął przeraźliwie z bólu. Miecz ciągnął go i nie dawał się puścić. Gorąco przepelniło jego ciało, nie miał pojęcia, że ból tak wielki może w ogóle istnieć... Oślepiony, upadł pod ciężarem miecza, nad którym nie panował ani nie mógł go wypuścić z ręki. Uderzył się o coś dotkliwie i leżał teraz, zwijając się z bólu. Broń nadal ciężka, nie pozwalała się podnieść — nawet ręka, w której ją trzymał, pozostawała bezwładna. Ponownie opuściła go energia. Coś się paliło — czuł gryzący, duszący dym...

Siedział przy planszy z grą — wszystkie te dziwne linie, pola i kropki, których nie umiał zinterpretować, jaśniały. Nienazwane — jego dotychczasowy przeciwnik, którego dotąd nigdy nie widział, a tylko wyczuwał jego obecność — było tu, ale nie zwracało na niego najmniejszej uwagi. Nie, nie wycofało się — Ono zamknęło się w sobie. Spojrzał w dół na planszę i zobaczył, że wszystkie obce figury — skafandry, Larshowie i inni — leżały poprzewracane, tocząc się w różne strony. Tu i ówdzie któraś z nich podnosiła się, ale tylko po to, aby po chwili ponownie upaść.

Natomiast po jego stronie drzewa i krótki szereg drżących z przerażenia Iftów, trwał nieporuszenie.

Nienazwane, jeszcze przed chwilą prowadzące nieznaną grę z wielką pewnością siebie — teraz wycofywało się w głąb siebie, zapadało w niebyt... Mimo to zagrożenie nie znikło, Ayyar wyraźnie wyczuwał niebezpieczeństwo, gdyż teraz Nienazwane było... obłąkane!

Obejmowały, podtrzymywały go czyjeś ramiona. Plansza znikła. Trzeba im koniecznie powiedzieć...

— Ono... jest... szalone...

Ciągnęli go dokądś, ciało przeszywał straszliwy ból, nic nie widział...

— Pozwólcie mi...

Lecz oni nie słuchali jego prośb. Był zaledwie pustą skorupą, cała energia, jaką w sobie nosił, została zużyta w walce, nie był w stanie ani błagać ani, wyrwać się.

— Wynieśmy go na powietrze. Uwaga! Zniszcz to! Ruszajmy!

Nic nie znaczące słowa wypowiedane wysokim głosem. Nie miały one znaczenia — nic nie miało znaczenia. Zagubił się, istniał tylko on i ból — czasem ostro szarpiący, a czasem tępy i przytłumiony, ale wciąż obecny. Po chwili zakrztusił się, rozkaszał i znów zachłysnął powietrzem — ależ to bolało! Jedyne, do czego tęsknił, to aby kojąca ciemność zamknęła go w szczelnym kokonie.

— Ono oszalało... Ach! — Głos, przenikliwy i ostry, zdołał przebić ciemność wokół niego. — Rizak, strzeż się drzew

Ayyar mógł teraz łatwiej oddychać. Coś się zmieniło.. Czyjeś ręce trzymały go mocno. Przelknął chłodny płyn zwilżający mu usta, ściekający po brodzie.

Chłód koił poparzone powieki; wziął głęboki oddech i po czuł się nieco lepiej.

Ziemia pod stopami zakołysała się, usłyszał zgrzyt, a następnie przeraźliwy krzyk dobiegający gdzieś z daleka. Nie mógł się ruszać, choć poczuł wewnętrzny przymus, by zerwać się i w panice biec, byle dalej od tego przekłętego miejsca. Trzymające go ręce zaciskały się, potęgując przeraźliwie kłujący ból w ramionach i klatce piersiowej. Starał się odezwać, ale wszystko zagłuszył narastający wokoło tumult. Ziemia znów drgnęła pod stopami i coś potwornie huknęło...

Zamrugnął, próbując skupić wzrok i zorientować się, co się dzieje wokół, ale nie na wiele się to zdało. Na jasnym tle przesuwały się jakieś cienie. Obok niego przepłynęło coś dużego i czarnego, usłyszał trzask jakby pęknięcia...

W uszach brzmiał mu ostrzegawczy krzyk: — Uciekaj cię! To pułapka! — Dwaj towarzysze ponieśli go, trzymając pod ramiona, ze stopami wlokącymi się bezwolnie po ziemi

Kiedy przystanęli, instynktownie spodziewał się kołysania ziemi pod stopami, lecz nic takiego nie nastąpiło. Poczuł czyjeś ręce opasujące go ciasno taśmą tuż pod ramionami i wkrótce poczęto go wciągać na górę. Ponownie fala nieznośnego bólu rzuciła go w czarną otchłań niebytu.

— Ayyar... Ayyar...

Leżał w ładowni statku kosmicznego, zmarznięty, półmartwy. Nazywał się Naill Renfro i zaciągnął się do prac; na odległym świecie. Obudzono go zbyt wcześnie. Teraz umierał powoli, głęboko w kapsule, która miała go we właściwym czasie zanieść na powierzchnię

planety. Jego płuca domagały się powietrza, a ciało przemarzało na wylot w kosmicznej próżni. Walczył z kapsułą, próbując wyciągnąć ręce, rozpostrzeć ramiona...

Wciąż ciemno, ale nieco cieplej... Łagodna wilgoć na wargach, oczach, twarzy. Usłyszeli go... ze statku nadeszło wybawienie! A więc będzie żył!

Odczekał, aż owa substancja spłynie, i otworzył oczy. Widział — wprawdzie mgliście, ale widział!

To nie oficer ze statku... nie służba medyczna... Zielonoskóra owalna twarz o skośnie osadzonych oczach. Twarz delikatna, o szczerym wyrazie. Brak rzęs, brwi i włosów nad szerokim czołem...

— Ayyar... — Wyszeptały jego wargi.

Ayyar? Czy to powitanie? Pytanie, imię? Pragnął dowiedzieć się, zapytać, lecz nie znajdował siły, by wydobyć z siebie głos.

Za plecami pochylonego nad nim stworzenia wyrosła druga postać.

— Jak się czuje?

— Myślę, że się ocknął. — Wyczuł wahanie w głosie pierwszego, bliższego.

— Ayyar?

Nowo przybyły zniknął gdzieś z pola widzenia, ale przed oczami Ayyara przesunęła się zielona ręka. Powiódł za nią oczami.

— On widzi! — obserwator wyprostował się, zadowolony. — Ayyar? — Tym razem pytanie zadano z większym naciskiem.

Ayyar? Kim... czym był Ayyar? Ayyar z Iftcanu! Pamięć triumfalnie zwróciła mu tożsamość. To... on... był Ayyarem! Odczuł ogromną radość i podniecenie.

— Wie, pamięta... znów jest Ayyarem!

Pierwszy z Zielonych ludzi... Zielonych Ludzi? Iftów! Znów pamięć podsunęła mu nazwę, i to właściwą.

— Ayyar, musimy natychmiast iść!

Wyższy z Iftów podniósł go i wspierając ramieniem umożliwił mu rozejrzeć się dookoła. Ziemia podskoczyła dziko pod stopami i zamarła. Czerwone i czarne, zwęglone podłoże wyglądało jakby jakiś gigant przemieszał je z wielkim zapalem, używając do tego wiosła lub miecza.

Miecz? Dłoń jego powędrowała bezwiednie w poszukiwaniu wiernej broni.

— Miecz? — Prawdopodobnie zadał to pytanie na głos gdyż zauważył nagłą troskę w oczach bliższego Ifta, który odpowiedział szybko:

— Przepadł w starciu z Nienazwanym. Uczynił to, czego nie dokonała w swoim czasie klinga Kymona...

— Później przyjdzie czas na snucie legend — przerw; im Ift, który podtrzymywał Ayyara — ale teraz ruszajmy.

Drugi Ift pomógł podtrzymywać Ayyara, który uparcie wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Wreszcie pamięć podsunęła imiona:

— Jarvas... Kelemark...

Uśmiechnęli się do niego radośnie, jakby te słowa sprawiły im ogromną przyjemność. Bardzo szybko jednak trudy poruszania się w dół, po zrytym terenie, starły uśmiech z ich twarzy.

Ayyar miał wrażenie, że podczas powolnej i bolesnej wędrówki kilkakrotnie zapadał w sen. Raz zdawało mu się, że przemknął obok nich jakiś ryczący i zgrzytający obiekt przed którym schronili się w zagłębieniu terenu. Innym razem przycupnęli między skałami, ukrywając się przed zielonymi ludźmi, podobnymi zewnętrznie do Iftów. Poruszając się na oślep wpadali oni na siebie, walcząc zajadle. Inni ranili się dotkliwie na skałach. Wszystko to wziął za marę senną i nie czuł obawy przed tym, co widział.

Okoliczny teren tu i ówdzie pokryty był zielenią, która, choć jeszcze rzadka i mizerna, wiele obiecywała. Na gałązkach pojawiły się zawiązki liści, przenikane światłem księżyca. Pączki na wiotkich jeszcze łodygach i gałązkach. Powietrze przesiąkało delikatnymi woniami... Ayyar, choć słaby ciałem, nareszcie czuł, że umysł ma jasny, a pamięć sprawną. Zapragnął się podnieść.

Na widok jego niezdarnych prób, podeszła Illylle i pomogła mu usiąść. Uklękła, trzymając drewnianą butelkę, podała mu sok i dała się napić. Poddał się po raz kolejny jego odświeżającemu działaniu, czując, jak rozchodzi się on po całym ciele. Poczawszy się pewniej, wstał, pomagając sobie rękami. Znajdowali się na polanie w lesie — dookoła królowała wiosna w pełnym przepychu. Czy to sen...?

— Gdzie jesteśmy? — zapytał, chcąc się upewnić, że na pewno wydostali się z podziemi. Illylle przysiadła na piętach i zamykała właśnie butelkę; uśmiechnęła się do niego:

— Na dzikich terenach północy.

— Iftcan!

— Nie. Nie ma i nigdy już nie będzie Iftcanu. — Cień smutku padł na jej twarz. — Nie odrodzi się już, a więc trzeba nam zasiać nowe życie, a nie liczyć na powrót starego.

Ayyar nie próbował nawet zrozumieć jej słów — wystarczyła mu błoga świadomość, że są znów w prawdziwym lesie. Ten stan zadowolenia nie trwał jednak zbyt długo. Gdy pozostali Iftowie nadeszli drogą między pączkującymi drzewami, zapragnął dowiedzieć się więcej.

— Odnieśliśmy zwycięstwo nad Nienazwanym — powiedział Jarvas. — A raczej to moc przekazana twemu mieczowi przez Thanth zwyciężyła, gdyż to ona odnalazła i spopielila jednostkę sterującą sztuczną inteligencją. Po tym, jak zabrakło centrum dowodzenia, Nienazwane oszalało i teraz nikt nie ma kontroli nad jego pozostałościami. Nie mamy pojęcia, co uniknęło zagłady i nadal nam zagraża. Imitacje Iftów oraz maszyny, które im służyły, wymknęły się spod kontroli i niszczą się wzajemnie. Dotąd nie wiemy, jaki to wszystko ma wpływ na zniewolonych ludzi. Oddział, który udał się do portu, zbada, czy nie ma tam imitacji mieszkańców, i postara się przejąć kontrolę nad miastem. Minie trochę czasu, zanim poznamy, w jakim stopniu Janus odzyskał wolność i niezależność — potrząsną: głową.

— W zasadzie to prawda — ciągnął po chwili. — Nie nazwane nie odrodzi się po tym, jak wypaliliśmy mu serce. Pozostawiło po sobie chaos i zniszczenie. W razie gdyby nie udało się nam wyswobodzić ludzi, przygotowaliśmy drugi plan. Pozostawimy w porcie nagranie, szczegółowo opisujące co się wydarzyło, i taki sam zapis wyślemy również w przestrzeń kosmiczną. Swój sekret — mam na myśli fakt że podlegliśmy przemianie — zachowamy na razie dla siebie. Lecz będziemy rozmawiać z każdym, kto uważa się za rdzennego mieszkańca planety. Jeśli nie da się pomóc więźniom, odpłyniemy za wielką wodę.

Spoglądał w dal, gdzieś za Ayyarem, jakby szukając wzrokiem czegoś zaginionego lub dawno minionego, za czym bardzo tęsknił.

— Iftcan przepadł i nigdy już się nie odrodzi. Może z pomocą ludzi spoza planety moglibyśmy dowiedzieć się więcej o przeszłości Iftów badając Pustkowie i podziemia. Powołamy do życia nową rasę i nigdy nie będzie ona nosić piętna Nienazwanego. Ale wszystko to po kolei — jedna rzecz na raz. Siewu i wzrostu nie można przyspieszać, nie przyniosłoby to nic dobrego.

Zamilkł, a Ayyar, który musiał zapomnieć, że nigdy nie był Naillem, uniósł głowę i wystawił twarz na chłodny, przyjemny wiatr, niosący słodkie obietnice nadchodzącej wiosny. Odpoczywali na ruinach swego świata, podczas gdy dookoła budziło się do życia nowe, pokrewne im, życie. Ayyar poczuł, że wewnątrz zaczyna się proces wielkiej odnowy, porównywalny ze strumieniem energii bijącym ze Zwierciadła. Iftcan umarł, lecz Wielkie Korony znów wzrosną pod niebo i kiedyś słuchać będą pieśni o ich wyprawie. Kto wie czy słowa jej pozostaną dla słuchacza czytelne, gdyż legenda rządzi się własnymi prawami i tak wikła wątki, że po wiekach prawda ledwie przeziiera spod mitu.

Ifta miecz, ręka Ifta,
Serce Ifta — Ifta plemię!
Szykowany w ukryciu,
Schłodzony przez księżyc,
Jad Zła, ostateczne przeznaczenie.
Zrodzone z wojownika, który stanie
przed Wrogiem z mieczem w ręce...

Illylle śpiewała słodko i radośnie, a jej pieśń wyrażała nastrój ich wszystkich. Ayyar potrząsnął głową.

— Ja nie będę bohaterem pieśni o herosie — nie jestem Kymonem i nie byłem sam.

Jarvas roześmiał się.

— Osąd pozostaw potomnym. Może byśmy tak dla odmiany zajęli się dniem dzisiejszym?

Wyciągnął rękę, którą Ayyar ujął, czując, jak udziela mu się siła Mistrza Zwierciadła, przenikając go aż do stóp. Drugą rękę chwyciła Illylle. Powędrowali przed siebie, śpiewając „Pieśń o Kymonie”, jako że pasowała na dzień zwycięstwa jak żadna inna.